

Klaudia Bianek
**Nie ma większej
miłości**



***Nie ma większej
miłości***

Klaudia Bianek
***Nie ma większej
miłości***

Strona redakcyjna

Copyright © Klaudia Pankowska-Bianek, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Zuzanna Sołtysiak

Marketing i promocja: Aleksandra Wróblewska Redakcja: Ewelina Sikora-Chodakowska

Korekta: Joanna Pawłowska, Marta Akuszczyńska Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka |
panbook.pl Projekt okładki i stron tytułowych: Marta Urbaniak-Cerba | Myartuse Fotografia
autorki: © Agnieszka Werecha-Osińska | Foto Do Kwadratu Konwersja publikacji do wersji
elektronicznej: Dariusz Nowacki Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67616-86-7

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

dedykacja

Moim Córkom –
jesteście moimi Słońcami i sensem życia

motto

*You are my sunshine
My only sunshine
You make me happy
When skies are grey
You'll never know, dear
How much I love you
Please don't take my sunshine away...
Christina Perri, You are my sunshine*

Byliśmy niby podobni, a jednak zupełnie różni.

Przede wszystkim nierozłączni.

Tak wiele razy słyszeliśmy, że bliźnięta mają ze sobą specyficzną, trudną do opisania więź. Potrafią porozumiewać się bez słów, bezbłędnie odczytują swoje nastroje, głęboko współodczuwają ze sobą.

My tego wszystkiego doświadczyliśmy osobiście. Każdego dnia, tygodnia i miesiąca wspólnego życia. Ze sobą i obok siebie. A nawet wtedy, gdy dzieliły nas kilometry. On był moim bratem i najlepszym przyjacielem. Ja byłam jego siostrą i najlepszą przyjaciółką. Od początku we dwoje, ramię w ramię szliśmy naprzeciw całemu światu.

Był starszy o pięć minut i czternaście sekund. Z tego powodu sądził często, że może mnie pouczać i traktować jak smarkulę. A ja tak bardzo się na niego za to wkurzałam.

I gdyby ktoś teraz słyszał moje myśli, mógłby zapytać: dlaczego mówisz o tym wszystkim w czasie przeszłym?

Odpowiedziałabym: bo jego już nie ma. Odszedł.

1. Zośka

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie tę chwilę. Radek miał wrócić z pracy, ja miałam postawić przed nim talerz z jego ulubionym spaghetti, życzyć smacznego, a po skończonym posiłku poinformować, że nasze marzenie się spełni. Zostaniemy rodzicami.

Byłam w ciąży.

Rzeczywistość dość brutalnie zweryfikowała te plany. Gdy drzwi od mieszkania otworzyły się kwadrans po siedemnastej, od wejścia rozległy się głośne rozmowy i ochryple śmiechy, a po chwili kanapa w naszym niewielkim salonie została zajęta przez mojego chłopaka i jego trzech mało kulturalnych kolegów.

Stałam w progu, czując, jak zalewa mnie bolesne uczucie rozczarowania. Trzej mężczyźni przywitani mnie pospieszonymi machnięciami ręki, za to Radek nawet mnie nie spostrzegł, pochłonięty odpalaniem gry na PlayStation. Odchrząknęłam, by zwrócić na siebie jego uwagę.

– Cześć, kochanie – rzucił od niechcena, podając chłopakom pady do gry.

– Nie wspominałeś, że będziemy mieli gości – odpowiedziałam, darując sobie powitanie.

Byłam zła i rozżalona jednocześnie. Ostatnio zbyt dużo czasu poświęcał kolegom i innym rozrywkom, a zbyt mało naszemu wspólnemu życiu.

– Spontanicznie zaproponowałem wspólne granie u nas – odparł ze wzruszeniem ramion.

– Aha.

Obróciłam się na pięcie i opuściłam salon. W kieszeni mojej sportowej szarej sukienki spoczywały dwie plastikowe płytki potwierdzające obecność nowego życia, które rozwijało się w moim ciele. Byłam oszołomiona, ale w tym całkowicie pozytywnym sensie.

Poczułam się, jakbym otrzymała znak od jednej z najbliższych mojemu sercu osób...

Spaghetti zjadłam w towarzystwie mojej adoptowanej czarnej kotki Prymulki, która szukała bezpiecznego schronienia na moich kolanach. Słuchałam śmiechów, przekleństw i przekrzykiwań dochodzących z salonu. Radek jeszcze nie wiedział, że te jego męskie spotkania przy grach będą musiały się skończyć. Gdy na świecie pojawi się dziecko, całe nasze życie ulegnie zmianie i przewartościowaniu.

Bo moje było od czterech miesięcy czymś w rodzaju czarnej dziury.

Nie potrafiłam podnieść się po tym, co nas spotkało. Tak nagle i zupełnie bez ostrzeżenia. Ból przetaczał się przeze mnie niezliczonymi falami każdego dnia. Wspomnienia raniły do żywego, natrętne myśli nie pozwalały odpocząć. I gdy już myślałam, że nic dobrego mnie więcej nie spotka... wykonałam test ciążowy.

Miałam zostać mamą. A Radek, który właśnie rzał jak koń z kolejnego sprośnego żartu swojego kolegi... będzie ojcem.

Przecież o tym marzyliśmy. Wprawdzie nasza ostatnia rozmowa dotycząca rodzicielstwa miała miejsce jeszcze przed śmiercią Sebastiana, ale dziecko to jednak nowy początek i radość, niezależnie od tego, w jak trudnym okresie wieść o nim się pojawia.

Mój partner bardzo mocno przeżył to, co wydarzyło się cztery miesiące temu. To właśnie po tych tragicznych doświadczeniach tak się zmienił, a nasz związek wszedł w fazę trudnego do przewyciężenia kryzysu. Oddalaliśmy się od siebie, choć wcześniej

zawsze dobrze nam się układało, nie licząc drobnych kłótni, które przecież pojawiają się w każdym związku. Byliśmy ze sobą od trzech lat, zamieszkaliśmy razem ponad dwa lata temu. Myśleliśmy poważnie o przyszłości i założeniu rodziny.

Radek i Sebastian trzymali się razem, najlepsi przyjaciele. Jak bracia. Nagła śmierć mojego bliźniaka odbiła się mocno zarówno na mnie, jak i na Radku. Zaczął sprowadzać do mieszkania kumpli, zatracać się w świecie gier komputerowych, szukać rozrywek w alkoholu i szwendaniu się po mieście.

To małe dziecko, które nosiłam właśnie pod sercem, miało być naszym ocaleniem.

*

Koledzy Radka opuścili mieszkanie, gdy akurat brałam prysznic. Było już naprawdę późno. Moja złość nie dawała się ukoić w żaden sposób. Miałam dość tych wizyt, krzyków, ochrypłych śmiechów i rozmów poniżej pewnego poziomu. Nie poznawałam własnego faceta, odkąd zadał się z tymi kolesiami...

Wysłałam z łazienki i owinęłam się szlafrokiem. Z nietęgą miną zajrzałam do salonu i krew w moich żyłach ponownie zawrzała od gniewu. Kilkanaście pustych butelek po piwie stojących na stoliku kawowym, opakowania po chipsach, popcorn walający się wokół

kanapy... A na niej rozwalony w najlepsze Radek, odpalający właśnie jeszcze jedną rundę swojej durnowatej gry. Włożyłam dłoń do kieszeni szlafroka i zacisnęłam palce na testach ciężowych. Przez cały dzień nosiłam je przy sobie, jakbym się bała, że znikną, jeśli tylko je gdzieś zostawię. Zmrużyłam oczy i podeszłam bliżej do mojego partnera, lecz on nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem.

Zadziałałam pod wpływem kumulowanych od dłuższego czasu emocji – w złości rzuciłam w Radka dwoma testami ciężowymi. Zęby zacisnęłam tak mocno, że aż zgrzytnęły.

– Ej, co jest?! – warknął i popatrzył na mnie rozeźlony.

– Ocknij się wreszcie, człowieku! – powiedziałam ostro.

– Zośka, powariowałaś?!

Nie był pijany, tylko lekko podchmielony, dlatego mimo wszystko postanowiłam nie czekać dłużej i skonfrontować go z naszą nową rzeczywistością. Podeszłam do telewizora i skorzystałam z przycisku

„wyłącz” znajdującego się na tylnym panelu obudowy. Oburzony krzyk z kanapy w ogóle nie zrobił na mnie wrażenia. Założyłam ręce na piersi, falującej pod wpływem przyspieszonego oddechu, i uniosłam lekko jedną brew.

– Zobacz, co leży na twoim brzuchu – poleciłam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Szlag by to trafił... Nie tak miała wyglądać chwila, w której dowie się, że zostaniemy rodzicami, ale wszystko spieprzył, a ja po dniu pełnym zarówno tych dobrych, jak i złych emocji miałam już po prostu dość i chciałam to z siebie wyrzucić.

Radek zmarszczył czoło i sięgnął po dwie plastikowe prostokątne płytki. Przez kilka sekund, które zdawały mi się wiecznością, wpatrywał się w nie, jakby nie dostrzegał, co wskazują. Minę miał

nieodgadnioną. Wreszcie powoli podniósł głowę i spojrzał na mnie z czymś, co przypominało niezrozumienie.

– Co to jest? – zapytał głupkowato.

– Nie wiesz?

– Gdybym wiedział, tobym nie pytał – odgryzł się.

Parsknęłam pod nosem cichym, ironicznym śmiechem. Co za niedorzeczna sytuacja...

– To jest test ciążowy. A w zasadzie dwa. Na obu wynik jest pozytywny – wyjaśniłam powoli, jakbym mówiła do kogoś z ograniczonymi zdolnościami rozumienia ludzkiej mowy. W tej chwili trochę tak się czułam, jakbym miała przed sobą nierozgarniętego osobnika.

– Żartujesz sobie?

Kolejna fala wściekłości zalała mnie bez ostrzeżenia.

– Ja sobie żartuję?! – zachnęłam się. – Będziesz ojcem. Jak dobitniej mam ci to przekazać?!

Radek gwałtownie wstał i rzucił testy na kanapę. Wsunął palce w swoje przydługie rudawe włosy i pociągnął tak, jakby chciał je sobie wyrwać z głowy. Był w szoku.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał i popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. W jednej chwili całkowicie wytrzeźwiało.

– A co miałabym zrobić? Urodzę. Przecież kilka miesięcy temu właśnie o tym marzyliśmy. Co to w ogóle za pytanie?!

– Ty niczego nie rozumiesz... – warknął. – Sytuacja się zmieniała. To nie jest dobry moment na dziecko. Jesteśmy w żałobie. Skombinuję pieniądze i musisz jak najszybciej pojechać za granicę, by załatwić tę sprawę...

Mówił jak opętany. Stałam skamieniała na środku salonu i nie wierzyłam własnym uszom. Serce zaczęło tłuc mi się w piersi niczym oszalałe, a adrenalina wypełniła moje żyły. On naprawdę proponował mi...

– Sugerujesz aborcję?! – krzyknęłam z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że tak. To jedyne wyjście – odpowiedział bez cienia wątpliwości.

Cios, który mi zadał, był tak silny, że omal nie skrzywiłam się z bólu. Pod powiekami zaczęły szczypać mnie zdradliwe łzy, których Radek w tej chwili nie powinien zobaczyć. Gdyby Sebastian żył, prawdopodobnie teraz pomimo całej sympatii do mojego partnera dałby mu w pysk.

– Wybij to sobie z głowy – wycedziłam. – Myślałam, że się ucieszysz... – dodałam ciszej przez ściśnięte gardło.

Popatrzył na mnie z politowaniem.

– Ucieszyłbym się kilka miesięcy temu, a nie teraz, gdy wszystko się tak spierdoliło. Niedawno straciłaś brata, a już pocieszasz się myślą o dziecku? To słabe.

Chciał mnie w ten sposób złamać. Dowalić mi tak bardzo, że upadnę i przystanę na jego wołającą o pomstę do nieba propozycję.

Jednak znałam Sebastiana lepiej niż on i wiedziałam, że cieszyłby się na wieść o mojej ciąży. Nigdy nie wpadłby na pomysł usunięcia maleństwa, bo „to nie jest odpowiedni moment”.

– Wiesz, co jest słabe? To, że zachowujesz się jak gówniarz.

Mieszkamy razem, żyjemy pod jednym dachem, a ty od jakiegoś czasu myślisz tylko o rozegraniu kolejnej rundy swojej głupiej gry i wypiciu piwa z koleżkami, którzy w swoich słownikach nie mają słowa „kultura”. A teraz, gdy miałaś szansę zachować się jak na prawdziwego faceta przystało, ty wypalasz z aborcją. Sebastian by ci tego nie podarował... – Mówiąc to, cały czas mierzyłam go pełnym pogardy spojrzeniem. Robiłam wszystko, żeby nie był świadomy tego, jak ogromnie mnie zranił.

– Nie zaakceptuję tego dzieciaka... – Powiedział to tak pewnie, że po plecach przebiegł mnie dreszcz.

– A ja nie usunę ciąży. I jeśli będzie trzeba, to wychowam je sama

– odpowiedziałam twardo, po czym odwróciłam się na pięcie i zniknęłam w naszej sypialni, trzaskając drzwiami.

Zwinęłam się w kłębek na łóżku i przepłakałam całą noc. Wtulałam policzek w miękką sierść Prymulki, której milcząca obecność dodawała mi odrobiny otuchy. A on nie przyszedł. Najwyraźniej po raz kolejny w ostatnim czasie umościł się na kanapie, byleby tylko nie spędzić nocy ze mną.

*

Miałam złudną nadzieję, że gdy minie pierwszy szok, Radek ocknie się i zmieni zdanie co do powiększenia naszej rodziny. Mijały dni, a on traktował mnie, jakbym była niewidzialna. Wyprowadził się z sypialni i na dobre rozgościł w salonie, co straszliwie łamało mi serce.

Próbowałam do niego dotrzeć, lecz pozostawał nieugięty.

Zapytałam, czy będzie chciał iść ze mną na pierwszą wizytę do lekarza. Stanowczo odmówił.

To nie tak miało wyglądać. Odkąd oboje zadeklarowaliśmy chęć posiadania dziecka, przestaliśmy się zabezpieczać. Ja odstawiłam tabletki antykoncepcyjne, on zaś nie sięgał już po prezerwatywę.

Spodziewał się, że można uprawiać seks bez konsekwencji?

Mój humor daleki był od radosnego, lecz w końcu zmobilizowałam się na tyle, by po powrocie z pracy udać się do apteki i kupić kwas foliowy. Jeszcze tego samego dnia napisałam wiadomość do mojego ginekologa i poprosiłam o umówienie wizyty. Miała się odbyć równo za tydzień.

Od dwóch lat pracowałam jako przedszkolanka, więc dzieci otaczały mnie na co dzień. Lubiłam się nimi opiekować, patrzeć na te urocze, roześmiane buzie, choć skłamałabym, twierdząc, że ta profesja nie wiązała się z pewnymi trudnościami. Ja i moje koleżanki byłyśmy częściowo odpowiedzialne za wychowanie tych maluchów.

Musiałśmy mieć mnóstwo cierpliwości i pomysłowości. A grupa naszych niesfornych czterolatków nie zawsze chciała współpracować.

Ale gdy w życiu przestało mi się układać i smutek stał się nieodłącznym elementem mnie, to zawsze miałam coś, co pomagało mi choć na chwilę się rozchmurzyć. Grupę moich małych, słodkich krasnoludków.

*

Doktor Marek Dziekańczyk był wysokim i bardzo szczupłym mężczyzną, który wyglądał młodziej, niż zapewne wskazywała na to jego metryka. Wprawdzie nie wiedziałam, ile ma lat, lecz biorąc pod uwagę długość studiów medycznych wraz ze specjalizacją oraz lata doświadczenia w zawodzie, które pozwoliły mu objąć stanowisko ordynatora oddziału ginekologiczno-położniczego w naszym szpitalu

powiatowym, przypuszczałam, że oscylował w okolicach czterdziestki. Byłam pacjentką Dziekańczyka już od dłuższego czasu.

Prowadził prywatną praktykę lekarską w nowocześnie urządzonej przychodni, a jego profesjonalizm i serdeczne podejście sprawiły, że nigdy nie myślałam, by udać się gdziekolwiek indziej.

Do tej pory przychodziłam do ginekologa tylko raz do roku, na kontrolę, dziś jednak siadałam przed jego białym, trójkątnym biurkiem ze świadomością, że przez kolejne dziewięć miesięcy będę tutaj gościć częściej.

– Pani Zofia Kulińska – powiedział pod nosem, sięgając do organizera po moją kartę. – Słucham, z czym pani do mnie przychodzi?

– Kilka dni temu wykonałam dwa testy ciążowe i oba wyszły pozytywnie. Chciałam potwierdzić ciążę – odpowiedziałam spokojnie.

Lekarz zanotował coś szybko pismem, którego nie sposób rozczytać.

– Dobrze. Kiedy zaczęła się pani ostatnia miesiączka? I czy od tego czasu wystąpiły jakieś krwawienia, bóle podbrzusza i tym podobne?

– Nie było żadnych bóli ani krwawień. Ostatnią miesiączkę miałam jedenastego marca – odpowiedziałam ze skupieniem i patrzyłam, jak w mojej karcie pojawiają się kolejne notatki.

– Dobrze. Proszę się przygotować do badania. Zaraz sprawdzimy, jak wygląda sytuacja.

Przytaknęłam i zniknęłam za drzwiami przylegającej do gabinetu łazienki. Odświeżyłam się i już chwilę później leżałam na fotelu ginekologicznym. Denerwowałam się i modliłam w ciszy, by z dzieckiem wszystko było dobrze. Po chwili doktor Dziekańczyk potwierdził powiększenie macicy normalne dla wczesnej ciąży i poprosił, bym przeszła na kozetkę, przy której stał nowoczesny sprzęt do USG. Położyłam się i spojrzałam na sufit, gdzie znajdował się monitor z podglądem całego badania. Przez kilka sekund obraz

był niewyraźny i niczego nie mogłam dostrzec, ale po chwili wszystko się ustabilizowało i lekarz zaczął spokojnym głosem wyjaśniać:

– Pierwsza i najważniejsza informacja: mamy duży, zdrowo wyglądający zarodek. Jeden. Obok znajduje się pęcherzyk żółciowy, pomiar USG wskazuje, że ma obecnie sześć milimetrów. To szósty tydzień i trzeci dzień ciąży, więc widzimy także, że serduszko już bije.

Dostrzega pani ten migający punkcik? – zapytał i popatrzył na mnie z uśmiechem.

Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Bałam się, że jeśli otworzę usta, to nie dam rady powstrzymać łez. Tych dobrych, radosnych i świadomych, bo oto jest... Moje dziecko. Moje maleństwo. Stało się czymś więcej niż dwoma kreskami na domowym teście ciążowym.

Było doskonale widoczną plamką z bijącym serduszkiem.

Przytaknęłam na potwierdzenie i nadal wpatrywałam się w obraz na monitorze. To było niewiarygodne uczucie. Coś tak niesamowitego, będącego połączeniem wielu różnych emocji. Po części niedowierzania, ogromnej radości, wzruszenia, a ponad wszystko pragnienia, by patrzeć i patrzeć, by w każdej kolejnej sekundzie ta świadomość o rozwijającym się we mnie nowym życiu stawała się coraz silniejsza.

Kilka chwil później badanie zostało zakończone, a ja mogłam pójść się ubrać. W łazience popatrzyłam w swoje lustrzane odbicie i zobaczyłam tę doskonale znaną twarz, która w ostatnim czasie stała się szczuplejsza oraz nieco poszarzała od nieustającego smutku i niemożliwej do ukojenia tęsknoty za bratem, jednak w tej chwili moje oczy błyszczały. Miałam wrażenie, jakby Sebastian wysyłał mi dziś uśmiech z nieba... Może to tylko zbieg okoliczności, a może znak. Przecież o ciąży dowiedziałam się w czwartą miesięcznicę jego śmierci...

Wróciłam do gabinetu i ponownie zajęłam miejsce przed biurkiem.

Lekarz od razu wręczył mi zdjęcie z USG, a ja miałam ochotę przytulić je do piersi. Jakoś się powstrzymałam i skupiałam na

słowach Dziekańczyka. Wy tłumaczył mi, co mnie czeka w najbliższym czasie, przepisał kompleks witamin dla kobiet w ciąży oraz przekazał listę badań, które musiałam wykonać przed kolejną wizytą. Z racji mojego wieku – miałam trzydzieści dwa lata –

konieczne było wykonanie badań prenatalnych przed ukończeniem pierwszego trymestru, by ocenić prawdopodobieństwo wystąpienia wad genetycznych płodu, takich jak chociażby zespół Downa.

– Proszę o siebie dbać i zdrowo się odżywiać. Możliwe, że niebawem pojawią się mdłości i wymioty. Gdyby dolegliwości były zbyt dokuczliwe lub wydarzyło się cokolwiek niepokojącego, proszę niezwłocznie się ze mną skontaktować. Na ten moment wszystko wygląda prawidłowo, jednak pierwsze tygodnie ciąży to zawsze czas wzmożonego ryzyka, dlatego musi być pani ostrożna – polecił. –

Czym zajmuje się pani zawodowo?

– Jestem przedszkolanką.

– Rozumiem. Z racji pani zawodu dam pani zwolnienie lekarskie.

Nie oponowałam. Praca w przedszkolu sprawiała mi dużo radości i nie było to nic ciężkiego, jednak zdarzały się sytuacje, gdy musiałam pobiec za jakimś wyjątkowo niesfornym podopiecznym, wziąć któreś dziecko na kolana czy nawet na ręce, by uspokoić głośny płacz. Poza tym maluchy ciągle zarażały – i siebie nawzajem, i nas – różnymi infekcjami, a tego ryzyka jako ciężarna też powinnam unikać.

Spodziewałam się, że moja szefowa nie będzie zadowolona, gdy otrzyma informację o zwolnieniu. Mieliśmy braki kadrowe, bo w ostatnim czasie dwie nauczycielki złożyły wypowiedzenia, więc zwiększyła się liczba dzieci przypadających na jedną osobę.

Oczywiście placówka niezwłocznie rozpoczęła poszukiwania nowych pracowników, ale to nigdy nie było łatwe, bo każda kandydatka musiała spełniać określone wymogi. Chodziło przecież o wykonywanie zawodu wiążącego się z ogromną odpowiedzialnością. Pracowałyśmy z dziećmi, istotami wymagającymi bezustannej uwagi i opieki.

Miałam mnóstwo wątpliwości i rozterek, bo nie chciałam zostawiać moich dwóch koleżanek samych na placu boju z gromadką rezolutnych czterolatków, ale z drugiej strony... Chodziło o dobro mojego maleństwa. Nie po raz pierwszy w życiu musiałam wybrać między tym, co ważne i ważniejsze.

Zapłaciłam za wizytę i podziękowałam lekarzowi, po czym opuściłam gabinet, a chwilę później znalazłam się na ruchliwej ulicy, skąpanej w wiosennym słońcu. Ostatni kwietniowy dzień był ciepły i przyjemny. Na moich ustach błąkał się lekki uśmiech. Spojrzałam w bezchmurne niebo, wzięłam głęboki oddech i ruszyłam spacerem przed siebie. Tuż za rogiem stała budka z przepyszными lodami naturalnymi. Postanowiłam skorzystać z tej małej przyjemności, gdyż już wkrótce jedzenie mogło się stać moim największym wrogiem.

Poprosiłam miłą młodą ekspedientkę o gałkę lodów pistacjowych.

Delektowałam się nimi podczas spokojnej przechadzki w kierunku cmentarza powiatowego. Miałam ogromną potrzebę znalezienia się jak najbliżej Sebastiana.

Cmentarz dzielił się na kilka sekcji poprzecinanych niezliczoną ilością brukowanych ścieżek, więc łatwo można się było zgubić.

Punkt orientacyjny stanowiła znajdująca się naprzeciwko bramy głównej maleńka biała kapliczka, w której odprawiano msze żałobne.

Ostatnie pożegnanie Sebastiana też miało miejsce tutaj. Ja jednak szłam na pamięć. Mój brat został pochowany w nowej części cmentarza, tej najbardziej oddalonej od głównego wejścia.

Minęło niewiele ponad cztery miesiące, a mogiła mojego brata nie posiadała jeszcze marmurowego nagrobka. Tylko drewniana skrzynia oraz krzyż z czarną tablicą i białymi

napisami. Imię i nazwisko. Data urodzenia i śmierci. A pod spodem słowa Ojciec nasz. Dla innych ludzi był to jeden z tysięcy takich samych grobów, dla mnie zaś – symbol jednej z czterech największych strat, jakich doświadczyłam w swoim trzydziestodwuletnim życiu.

Świat tak już został skonstruowany, że gdy jedni mieli mnóstwo szczęścia, innych prześladował bezduszny pech. Niestety ja należałam do tej drugiej grupy.

Krótko po moich i Sebastiana osiemnastych urodzinach zmarła ukochana babcia Kazia, mama mamy. Brała czynny i ważny udział w naszym wychowaniu i kochaliśmy ją ze wszystkich sił. Była ciepła, dobra i troskliwa. Koła nasze smutki i zawsze miała dla nas czas.

U schyłku życia nie radziła już sobie z najprostszymi czynnościami, a wtedy my mogliśmy odwdziaczyć się jej za całą opiekę, którą latami nas otaczała. To przy mnie, przy Sebastianie i przy naszej mamie wydała swoje ostatnie tchnienie, łamiąc nam serca swoim odejściem.

Ponad pięć lat temu spadł na nas kolejny cios. Anna i Jacek Kulińscy, nasi rodzice, zginęli w wyniku zezadzenia kamienicy. Mieli po pięćdziesiąt lat, mnóstwo planów i chęci do życia. W tamtej niespodziewanej tragedii zginęła jeszcze trzyosobowa rodzina. Ból był nie do opisania...

Po śmierci rodziców oboje z bratem wylądowaliśmy na terapii u psychologa. Sebastian uznał, że dla niego to za mało, i poszedł do psychiatry. Nie potrafił się po tym wszystkim podnieść. Był cieniem samego siebie, nie umiał cieszyć się życiem, normalnie funkcjonować. Stracił dziewczynę, którą bardzo kochał, bo nie radziła sobie z jego pogłębiającą się depresją. Chodziłam wokół niego na paluszkach i starałam się zrobić wszystko, byleby tylko stanął na nogi. Pilnowałam, by nie ominął żadnej wizyty u psychiatry, sprawdzałam po kryjomu, czy przyjmuje przepisane leki. I gdy myślałam już, że jest lepiej, wtedy on...

Po prostu odebrał sobie życie. Bez żadnego pożegnania, bez wcześniejszych znaków ostrzegawczych. Zniknął z dnia na dzień.

Znalazł go Radek. Wokół wałały się tabletki antydepresyjne.

Świadomie przedawkował. Zatrzał się i zapadł w swój ostatni sen. Na kanapie, na której wiele razy wcześniej siedzieliśmy wszyscy razem i oglądaliśmy głupie komedie, byleby tylko trochę się rozluźnić.

Zaśmiewaliśmy się z prostych jak drut dialogów, jedliśmy popcorn, chłopacy zawsze pili piwo, ja bezalkoholowe, dla towarzystwa.

Miał tylko trzydzieści dwa lata. Mój bliźniak, moja bratnia dusza, najbliższa mi osoba. Tyle jeszcze go czekało, tyle mógł doświadczyć, zobaczyć, przeżyć. Ze wszystkiego zrezygnował.

Byłam wściekła, że zachował się tak samolubnie. Byłam skrzywdzona, bo mi siebie odebrał. W dniu pogrzebu chciałam krzyczeć tak głośno, by ten krzyk poniósł się ponad granice cmentarza. Płakać palącymi łzami w złudnej nadziei, że przyniosą ulgę. Zamknąć się w sobie na tysiąc spustów i nie myśleć już o niczym.

Choć emocje i ból tamtych dni były we mnie wciąż świeże, to tego dnia tliło się w moim sercu coś nieśmiałego... Myśl, świadomość, delikatna iskierka nadziei.

Dziecko. Moje dziecko. I to maleńkie, bijące już serduszko.

– Wiesz co, braciszku? Teraz tylko ono będzie trzymać mnie na powierzchni – wyszeptalam pod nosem, wpatrując się w tabliczkę przytwierdzoną do krzyża z jasnego drewna, i dotknęłam delikatnie swojego brzucha, z czułością i miłością mogącą zbawić mój cały świat.

*

Zrobiłam na obiad pierogi ruskie i z duszą na ramieniu czekałam na powrót Radka. Postanowiłam podjąć ostatnią próbę dotarcia do niego. Miałam już oficjalnie potwierdzoną ciążę i zdjęcie z USG.

Myślałam, że może to go obudzi. Był początek tygodnia, więc liczyłam na to, że nie sprowadzi do naszego mieszkania swoich kolegów. Jeśli tak, to zamierzałam ich po prostu wyprosić. Nie miałam nic do stracenia, sytuacja była do granic możliwości patowa.

Wrócił sam. Słyszałam, jak zdejmuje buty w korytarzu, a chwilę później wszedł do kuchni i posłał mi krótkie, oschłe spojrzenie. Ja natomiast wpatrywałam się w niego uparcie. Na stole czekały już dwa talerze z parującymi, pachnącymi pierogami.

– Zapraszam na posiłek – powiedziałam spokojnie.

Wziął głęboki oddech i niechętnie usiadł ze mną do stołu.

Atmosfera zgęstniała od napięcia. Zaczęliśmy jeść w całkowitej ciszy.

Radek ostentacyjnie okazywał mi swoje niezadowolenie. Nie był w tym momencie mężczyzną, w którym się zakochałam, który zawsze otulał mnie swoją czułością i troską. Teraz wydawał mi się jakby... pusty. Szlag... Jak to bolało.

Serce ścisnęło mi się ze strachu.

– Byłam dziś u lekarza – zaczęłam w końcu, a on nie zareagował. –

Potwierdził ciążę. Dziecko jest zdrowe i rozwija się prawidłowo. To szósty tydzień. Serduszek bije i nawet mam tutaj zdjęcie z U...

– Nie interesuje mnie to – odpowiedział ostro i spojrzał mi prosto w oczy. Jego tęczywki wypełniał lód.

– Jak możesz tak mówić? Będziesz ojcem. – Staralam się zachować spokój, choć czułam wzbierający w piersi płacz.

– Nie chcę tego dziecka, rozumiesz? Nie jestem gotowy. To nie jest dobry moment. Musisz usunąć ciążę, w przeciwnym razie...

– Nie usunę ciąży. – Kolejny raz musiałam uświadomić go o tym, co dla mnie było od samego początku oczywiste.

Czułam, że nigdy mu nie wybaczę tego, że w ogóle śmiał wyjść z taką propozycją. Nasza relacja właśnie bezpowrotnie się zmieniała.

Ulegała zniszczeniu nienadającym się do naprawy.

– Nie? – Uniósł brwi i wykrzywił usta w grymasie. Odrzucił widelec, a ten upadł na talerz z głośnym brzdęknięciem. Dwóch ostatnich pierogów, które zostały, Radek najwyraźniej nie zamierzał już zjeść.

– Nie. – W to jedno krótkie słowo włożyłam całą swoją odwagę.

– Wobec tego nadszedł czas, żebyś wyprowadziła się z mojego mieszkania. – Wstał od stołu, a ja popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Żartujesz sobie? – wydukałam.

– Jestem całkowicie poważny. Dałem ci wybór. Jeśli nie zamierzasz usunąć tego dzieciaka, to nie ma dla ciebie miejsca w moim życiu.

To się nie działo naprawdę. Właśnie ze mną zrywał w najgorszy możliwy sposób. Brutalnie i bez jakichkolwiek uczuć. Gdzie się podział mężczyzna, którego znałam i kochałam?

Zerwałam się od stołu i podeszłam do Radka tak blisko, że dzielił nas zaledwie krok. Musiałam patrzeć pod górę, bo był dużo wyższy ode mnie. Adrenalina napędzała mnie do

działania, a serce szalało w piersi, jakby właśnie rozpoczęło swój najważniejszy wyścig.

– Masz kogoś, tak? To dlatego postanowiłeś się nas tak po prostu pozbyć? – wycodziłam i zmrużyłam oczy, grając pozę twardzielki, choć w środku szlochałam z bólu złamanego serca i zawiedzionego zaufania.

– Nie mam nikogo. Nasz związek to już fikcja. Odkąd nie ma Sebastiana...

Nie wytrzymałam i przerwałam mu, strzelając go z otwartej dłoni prosto w twarz.

– Nie wycieraj sobie gęby moim bratem. Wiem, że jego śmierć zmieniła nas na zawsze, ale wiesz co? On nigdy by ci nie wybaczył tego, że porzucasz mnie w takim momencie. Gdy noszę pod sercem twoje dziecko. Nasze dziecko. – Miałam nadzieję, że te ostre jak brzytwa słowa rozplatają mu serce na drobne kawałki.

Radek wydawał się jednak niewzruszony. I to było najgorsze.

Przegrywałam tę bitwę, ponieważ zależało mi bardziej niż jemu.

I w tym tkwił cały szkopuł. On już zdecydował, a znałam go na tyle długo, by wiedzieć, że nie zmieni zdania. Po prostu mnie odprawiał.

Miałam wynieść się z jego życia, przekreślając te wspólne lata, przeżycia i doświadczenia.

– Wiem, że niedawno zakończyła się umowa z lokatorami wynajmującymi mieszkanie po twojej babci. Będziesz miała gdzie pójść – powiedział na odchodne.

To przelało czarę goryczy. Definitywnie. Zaciśnęłam usta w wąską linię, wyminęłam go i wyszłam z kuchni.

Jeszcze tego samego dnia zabrałam swoje najpotrzebniejsze rzeczy, spakowałam mojego kota i postanowiłam, że nigdy więcej nie będę o niego walczyć. Tylko o siebie i tę małą istotkę, która była moim nowym początkiem.

2. Zośka

Moje motto życiowe zawsze brzmiało: nic tak naprawdę nie dzieje się bez przyczyny.

Od dnia, w którym te słowa stały mi się bliskie, nigdy nie zwątpiłam w ich sens. Aż do dziś. W chwili, gdy pakowałam dwie niewielkie torby do bagażnika mojej czerwonej toyoty yaris, wątpiłam, że to, co się właśnie wydarzyło, rzeczywiście było po coś.

W jednej chwili, w ciągu krótkiej rozmowy, straciłam partnera życiowego i zostałam sama z rozwijającym się we mnie dzieckiem.

Czy Radek postąpiłby tak samo, gdybym nie miała się gdzie podziąć?

Wsiadłam za kierownicę, lecz minął prawie kwadrans, zanim odjechałam spod bloku. Hamowane od dłuższego czasu łyzy zalewały mi twarz, a szloch dławił w piersi prawie do bólu.

Tylko on mi został po tym, jak umarł Sebastian. On i koleżanka z pracy, Wera. Byłyśmy ze sobą na tyle blisko, że nie bałam się jej zwierzyć z trudnych emocji po samobójstwie brata. A ona z ogromnym wyczuciem potrafiła okazać mi wsparcie, za co byłam jej niewypowiedzianie wdzięczna. Na szczęście nie musiałam jej teraz prosić o pomoc, miałam się dokąd udać.

Na rok przed śmiercią babcia spisała testament, przekazując swoje miejsce na ziemi mnie i bratu. Gdy otrzymaliśmy spadek, Seba wynajmował kawalerkę bliżej pracy, a ja pokój u koleżanki, skąd miałam blisko na uczelnię. Później przeprowadziłam się do Radka,

więc od początku oboje zgodnie uznaliśmy, że najlepiej będzie wynajmować naszą wspólną własność. Ostatni lokatorzy wyprowadzili się tydzień temu. Byli nimi przemili młodzi ludzie z Ukrainy. Zawsze płacili czynsz na czas i niczego nie zniszczyli (w przeszłości bywało z tym różnie i Sebastian nie raz musiał się użerać z najemcami), a do tego pozostawili wszystkie pomieszczenia w nieskazitelnej czystości. Dobrze, że w międzyczasie nie znalazłam nikogo na ich miejsce...

Pół godziny później przekroczyłam próg mieszkania. Nadal czułam tu obecność babci, choć od czasu jej śmierci wewnątrz przeszło gruntowne zmiany. Postawiłam torby na wyłożonej płytkami podłodze korytarza. Otworzyłam drzwiczki transportera, by dać Prymulce czas na oswojenie się z nowym miejscem – była po przejściach, więc potrzebowała czasu i cierpliwości z mojej strony. Po lewej znajdowała się łazienka, na wprost – fajnie urządzonej kuchnia, natomiast dwie pary drzwi po prawej prowadziły do pokoi. Pierwszy od wejścia – duży, ustawny, z balkonem – mógł z powodzeniem pełnić rolę salonu oraz jadalni. Drugi był o połowę mniejszy, tam babcia miała swoją sypialnię.

Rzuciłam kluczyki na komodę stojącą przy wieszaku na kurtki.

Czułam się straszliwie zagubiona, choć znałam to miejsce jak własną kieszeń. Przecież było moje. Z oczu ponownie popłynęły mi łzy.

W uszach wciąż dźwięczały słowa Radka, ostre niczym nóż raniący mnie prosto w serce. Zachował się bezdusznie, jak nie on. Zamknął

się przede mną całkowicie i miałam wrażenie, że już nieodwracalnie.

Mama wielokrotnie mi kiedyś powtarzała, że bym nigdy nie walczyła o związek za dwoje, bo to nic nie da i niczego nie zmieni. Ale akceptacja zaistniałej sytuacji była tak trudna...

Bolało tak straszliwie, tak bardzo.

Weszłam do kuchni. Pierwszym, co rzuciło mi się w oczy, były odłączone od prądu sprzęty. Lokatorzy nawet o tym pamiętali, choć zazwyczaj nikt tej naszej prośby nie spełniał. Wsunęłam kolejno wszystkie wtyczki do kontaktów: od lodówki, kuchenki, mikrofalówki.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na prostokątny dziedziniec, który w ostatnim czasie został przekształcony w nowoczesny plac zabaw dla dzieci. Wokół rozstawiono ławki i posiano trawę, o którą ktoś nieustannie musiał dbać. Był nawet chodnik, po którym – mogłam to sobie wyobrazić – za kilka miesięcy będę spacerować z wózkiem.

Znałam niektórych sąsiadów dzięki wieloletnim odwiedzinom u babci, choć prawie cała stara gwardia tamtego okresu odeszła już z tego świata, a na ich miejsce wprowadzili się młodszy: dzieci, wnuki, prawnuki. Nie miałam tutaj nikogo bliskiego, z kim mogłabym porozmawiać przy porannej kawie lub herbacie.

Ale pewnie ktoś taki się pojawi, prawda? Kiedy już się tutaj zadomowię. Dawniej ja i Sebastian mieliśmy tu wielu przyjaciół, ale czy ktoś z nich nadal mieszkał w kamienicy? Nie miałam pojęcia.

Teraz to był mój nowy-stary dom. Doskonale znane mury, okolica kojarząca się z najlepszymi momentami dzieciństwa...

Bolało tylko, że jestem tutaj sama. Bez babci, bez Sebastiana, bez rodziców.

Bez Radka. A przecież kiedyś rozmawialiśmy, że przeprowadzimy się do tego mieszkania i na dobre zapuścimy tu korzenie. Wszystkie plany i marzenia szlag trafił. Pozostała tylko brutalna rzeczywistość, której musiałam stawić czoła.

*

Wieczór okazał się najgorszy, pustka była jeszcze bardziej dojmująca niż wcześniej. Położyłam torby z moimi rzeczami w sypialni, nawlekłam świeżą pościel na kołdrę oraz poduszkę, na materac naciągnęłam grafitowe prześcieradło. Wszystkie czynności

wykonywałam machinalnie. Cichy głos rozsądku szeptał mi, że powinnam pójść do sklepu i zrobić jakieś zakupy, bo lodówka świeciła pustkami, ale zignorowałam go. Choć burczało mi w żołądku, zmobilizowałam się zaledwie do zagotowania wody na herbatę.

Wzięłam prysznic, po czym zwinęłam się w kłębek w ciemnożółtym fotelu uszaku i długo wpatrywałam się w przypadkowy punkt na przeciwległej ścianie, drapiąc za uchem Prymulkę, która ułożyła się tuż obok mnie. Nie czułam już złości do Radka. Trawił mnie ból rozczarowania i złamanego serca. Naprawdę kochałam tego człowieka, choć po śmierci Sebastiana nasza relacja znacząco się pogorszyła. Już nie byliśmy tak beztroscy i zapatrzeni w siebie, bo padł na nas cień straty, z którą oboje nie potrafiliśmy sobie poradzić.

Sądziłam jednak, że dziecko będzie naszą wspólną szansą, nowym początkiem, że wspólnie otoczmy tego maluszka bezgraniczną miłością. Radek sprowadził mnie na ziemię bez jakichkolwiek skrupułów.

Sięgnęłam ręką po leżący na parapecie telefon. Nie było żadnych połączeń czy pełnych skruchy SMS-ów, na które po cichu liczyłam.

Wzięłam głęboki oddech, otarłam pojedyncze łzy z policzków i wybrałam numer do Wery. Minęła dwudziesta, miałam nadzieję, że to dobra pora i odbierze.

- Halo? – odezwała się już po pierwszym sygnale.
- Hej – przywitałam się przyciszonym głosem. – Masz może chwilę?
- Jasne. Właśnie położyłam dzieciaki spać i chwyciłam komórkę, a ty akurat zadzwoniłaś – roześmiała się.

Miała niesamowicie miły głos. Przedszkolaki zawsze uwielbiały, gdy czytała im bajki, bo potrafiła to robić jak nikt inny.

– Od jutra nie będzie mnie w pracy przez dłuższy okres –

zaczęłam. Chciałam powiedzieć jej o ciąży sama, zanim dowiedziałyby się od dyrektorki.

– Dlaczego? Co się stało?

Jej niepokój rozczulił mnie do granic możliwości.

– Jestem w ciąży. Dziś byłam u lekarza i dał mi potwierdzenie – odpowiedziałam i instynktownie położyłam dłoń na podbrzuszu. To tam znajdowało się moje maleństwo.

– O matko! To cudowna wiadomość! Z całego serca ci gratuluję!

Który to tydzień?

Rozentuzjasmowany ton Wery sprawił, że uśmiechnęłam się pomimo smutku. Często była moim pocieszeniem, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Dopiero początek. Szósty. Na szczęście póki co wszystko jest dobrze, serduszko bije – ogłosiłam, przywołując w pamięci obraz wyświetlany przez podwieszony pod sufitem monitor w gabinecie lekarskim.

– Z jednej strony jest mi smutno, że nie będziemy się widywać w pracy, a z drugiej tak bardzo się cieszę, że będziesz mamą! – powiedziała wzruszona.

– Mam nadzieję, że wiesz, ale jeszcze ci tylko przypomnę, że gdybyś czegoś potrzebowała, to możesz do mnie śmiało dzwonić, okej?

– Pamiętam i jestem ci za to ogromnie wdzięczna – odparłam i poczułam, że zbiera mi się na płacz. Najwyraźniej burza hormonów już dawała mi się we znaki, normalnie nie byłam taką beksą...

– Możesz liczyć na mnie tak, jak ja mogę na ciebie – zadeklarowała.

Rzeczywiście, byłam skora do pomocy. Czasem przypilnowałam jej dzieci, gdy musiała lub chciała gdzieś wyjść, sama czy z mężem, innym razem przejęłam jej grupę, bo pilnie wezwano Werę do szkoły.

Troszczyłam się też o to, by codziennie wypić ciepłą kawę. To takie drobnostki, a jednak wpływały na to, że nasza więź stawała się coraz silniejsza.

Teraz dotarło do mnie, że nie jesteśmy już koleżankami z pracy, bliżej nam do prawdziwych przyjaciółek, takich, które podnoszą się wzajemnie, gdy ich skrzydła zapominają, jak latać...

– Zawsze – wyszeptalam niemal bezgłośnie.

– Zawsze – odparła, a w jej głosie wyczuwalny był uśmiech.

*

Najsilniejszą psychicznie osobą w naszej rodzinie była babcia. Zaraz po niej tata, bo on także nie dawał się złamać życiowym trudnościom. Mama natomiast bardzo łatwo popadała w stany załamania nerwowego, gdy coś się nie układało, a przez kilka ostatnich lat swojego życia korzystała z pomocy specjalisty i leczyła się na depresję. Sebastian miał wysoką wrażliwość po niej. Dlatego ostatecznie nie poradził sobie ze stratą rodziców, choć walczył o siebie dzielnie przez bardzo długi czas. Ja też miałam swoje załamania, lęki, o których nigdy nikomu nie mówiłam. Odkąd zmarła babcia, bałam się odwiedzać mieszkanie, które nam pozostawiła.

Trudno to wyjaśnić, nie chodzi o to, że uroiłam sobie jakieś historie z duchami, po prostu nie wiedziałam, jak zareaguję na widok tych doskonale znanych pomieszczeń bez niej, jej fizycznej obecności.

Dlatego to Sebastian przez lata ogarniał formalności z lokatorami, doglądał remontów, wydawał oraz odbierał klucze. A gdy mojego brata zabrakło, musiałam zdobyć się na odwagę (choć nie było to łatwe) i przejąć po nim te obowiązki. Bolało za każdym razem, gdy przekraczałam ten próg. Ból był zwielokrotniony, bo przypominał nie o jednej stracie, a wszystkich, których doświadczyłam. Od śmierci Seby zachodziłam tu tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, i zawsze na krótką chwilę.

W pierwszą samotną noc w tym mieszkaniu nie zmrużyłam oka.

Nie mogąc zasnąć, powtarzałam sobie, że muszę wziąć przykład z babci i taty, oni mieli wielką siłę, która i we mnie z pewnością drzemie, dlatego dam sobie radę i stworzę tu dla mojej pociechy taki dom, z jakiego bliscy byliby dumni. Motywowałam się, przywołując w pamięci słowa wsparcia, jakimi mnie dopingowali, gdy pokonywałam jakąś życiową trudność.

Ale nowy dzień nie przyniósł magicznego zastrzyku dobrej energii.

Snułam się jak cień. Wreszcie podeszłam do komody w sypialni i wypakowałam rzeczy w pośpiechu zabrane od Radka – odzież włożyłam do szafy, a kosmetyczkę z przyborami osobistymi ulokowałam na regale w łazience. A później mój żołądek zaczął

burczeć agresywnie, przypominając mi, że od wielu godzin nic nie jadłam. Z niewyobrażalnym trudem ubrałam się w to samo, co miałam na sobie poprzedniego dnia, i wyszłam do znajdującego się nieopodal osiedlowego marketu. Nie miałam ochoty na nic konkretnego, z czystego przyzwyczajenia wrzucałam do koszyka standardowe produkty: mleko, płatki, chleb, masło, ser żółty, wędlinę. Byleby przeżyć te pierwsze, najgorsze dni. Zamyślona wręczyłam ekspedientce banknot stużłotowy. Gdyby mnie nie zatrzymała, to prawdę podobnie nie zabrałabym ze sobą reszty.

Zapakowałam moje skromne zakupy do papierowej torby i ruszyłam z powrotem do mieszkania.

Na nerwy działało mi wszystko... Świejące słońce, śpiewające ptaki, bezchmurne niebo, jeżdżące samochody. A nawet to, że ktoś śmiał się głośno po drugiej stronie ulicy. Mnie nie było do śmiechu.

Chciało mi się naprzemiennie ciskać gromy w otaczający mnie świat i płakać, użalając się nad sobą. Byłam pod wpływem skrajnych emocji, dodatkowo buzowały mi hormony, mnóstwo spraw zważyło mi się na głowę w jednym czasie. Miałam prawo nie ogarniać i wyglądać jak chodzące nieszczęście. A przynajmniej tak sobie wmawiałam.

Nagle gdzieś za plecami usłyszałam krzyk:

– Hej!

Nie poświęciłam temu większej uwagi, szłam dalej ze zwieszoną głową. Przedstawiałam sobą obraz nędzy i rozpacz, słowo daję.

– Hej, zaczekaj!

Zatrzymałam się i spojrzałam przez ramię. Ktoś za mną biegł.

W moim kierunku zmierzał szybko mężczyzna ubrany w niebieską koszulę w kratę, czarne spodnie i klasyczne trampki. Trzymał w dłoni... mój portfel.

– To chyba twoje – powiedział, podając mi moją własność.

– Dziękuję. Nawet się nie zorientowałam, że go nie mam.

Musiałam zostawić go przy kasie – wydukałam oszołomiona i schowałam czerwony portfel do kieszeni.

– Tak właśnie było. Sprzedawczyni przypomniała ci o reszcie, ale dopiero jak wyszłaś, zauważyła, że zostawiłaś portfel – wyjaśnił nieznajomy i lekko się uśmiechnął.

Przytaknęłam i zmrużyłam oczy, by przyjrzeć się mężczyźnie. Był dużo wyższy ode mnie. Stałam pod słońce, więc nie widziałam dokładnie jego twarzy, natomiast jego krótkie ciemne włosy i prawie całkowicie wygolone boki skojarzyły mi się z fryzurami amerykańskich żołnierzy – wyglądał trochę jak Channing Tatum w filmie Stop Loss, który oglądałam przynajmniej pięć razy i jeszcze nie miałam dosyć. Zaraz parsknęłam w duchu na swoje niedorzeczne myśli i porównania.

Co za idiotyzm...

– Dziękuję raz jeszcze za zwrócenie portfela – powiedziałam i wykonałam krok w tył, szykując się do odejścia. Już tylko kilkaset metrów dzieliło mnie od wejścia do kamienicy. – Do widzenia.

Zamknę się w mieszkaniu, wcisnę w siebie kromkę chleba i nadal będę lizać rany zadane przez Radka. Zanim uda mi się je zaleczyć, minie sporo czasu...

– Idę w tym samym kierunku. – Mężczyzna znów wyrwał mnie ze świata moich ponurych myśli, a ja zdałam sobie sprawę, że zrównał ze mną krok i maszeruje obok, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi.

3. Kuba

Myślałem, że aż tak bardzo się nie zmieniłem i z pewnością mnie pozna, ale ewidentnie nie miała bladego pojęcia, kim jestem. A ja od razu skojarzyłem twarz tej zamyślonej, zapominalskiej kobiety, która zostawiła portfel w markecie.

Lata temu Zośka i jej brat Sebastian co roku spędzali wakacje u swojej babci, pani Kazi. Oni wraz z rodzicami mieszkali w miasteczku oddalonym od nas o kilkanaście kilometrów, więc w ciągu roku nie mieliśmy zbyt wielu okazji do wspólnego spędzania czasu. Latem zaś widywaliśmy się często, byliśmy w jednym towarzystwie, jak to dzieciaki z tego samego osiedla. Nasza grupka liczyła dziesięć osób, włóczyliśmy się razem całymi dniami, bo pomysłów na atrakcje – nie zawsze mądre – nie brakowało.

Jednak po śmierci starszej sąsiadki zmieniło się w zasadzie wszystko. Zaczęliśmy dorosłe życie, to oczywiste, ale poza tym paczka nam się rozpadła, a rodzeństwo Kulińskich przestało spędzać w naszej dzielnicy tyle czasu co wcześniej. Od osób postronnych dowiedziałem się, że pani Kazia przepisała swoje mieszkanie na wnuki, a oni wyremontowali je pod wynajem. Raz czy dwa spotkałem Sebę, rzuciliśmy sobie szybkie „cześć” i poszliśmy każdy w swoją stronę. Zośka zupełnie przepadła. Ostatni raz mignęła mi gdzieś w tłumie na pogrzebie swojej babci. I tyle.

Zmieniła się z wyglądu, to oczywiste. Dojrzała i z młodej, wiecznie uśmiechniętej dziewczyny stała się dość poważną kobietą. Nadal miała te swoje sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, więc przy moim metrze dziewięćdziesiąt wypadła na maluszka. Kiedyś lubiła eksperymentować z kolorem włosów – raz były brązowe, innym razem czarne, a nawet czerwone – teraz najwyraźniej postanowiła pozostać przy swoim naturalnym blondzie, i była to dobra decyzja. Kosmyki zaplecione w luźny warkocz mimowolnie przywodziły mi na myśl wspomnienia młodzieńczych lat, gdy ze zwykłej złośliwości i dla draki ciągnąłem ją za końcówkę splotu, a Zośka w zabawny sposób się na mnie wkurzała. Jej znakiem rozpoznawczym od zawsze były duże oczy w kolorze błękitnego nieba. Wyglądały niesamowicie na drobnej twarzy o wystających kościach policzkowych. I mały, okrągły pieprzyk nad lewą brwią.

Kiedyś go nienawidziła i zarzekała się, że jak tylko skończy osiemnaście lat, to pójdzie usunąć znamię, by zapomnieć o nim raz na zawsze. A jednak tego nie zrobiła.

Uśmiechnąłem się pod nosem na tę myśl.

Choć nabrała kobiecych kształtów i ewidentnie nie miała już sylwetki nastolatki, to nadal była szczupła. Na szczęście nie w ten przesadny sposób, jak większość dziewczyn, które za wszelką cenę chciały wpisać się we współczesny kanon piękna. Wyglądała na spiętą i ogólnie odniosłem wrażenie, że jest smutna. Nie dostrzegłem w niej tamtej dawnej pozytywnej energii, która – jak Zosia sama mawiała – była jej integralną częścią.

Gdy zrównałem z nią krok i oznajmiłem, że idziemy w tym samym kierunku, zdziwiła się. Nadal mnie nie rozpoznała. Tylko czekałem na jej minę, kiedy uświadomi sobie, kim jestem. Chyba niemożliwe, żeby całkowicie wymazała mnie ze swojej pamięci?

– Naprawdę mnie nie kojarzysz? – odważyłem się zapytać kilka sekund później.

Z zaskoczenia aż przystanęła.

– Słucham? – zapytała i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.
– Nie pamiętasz mnie. – Tym razem stwierdziłem to, co było całkowicie oczywiste.
– A powinnam? – Uniosła wysoko brwi.
Uśmiechnąłem się. Teraz widziała mnie lepiej, bo nie stałem pod słońce. Przypatrywała mi się ze skonfundowaną miną.
– Kuba Zawielak, wnuk Adeli i Tadeusza Broniszów. Mówi ci to coś?
Rozchyliła lekko usta, jakby w jednej chwili ją olśniło. Przytaknęła powoli, nie spuszczać ze mnie wzroku.
– Teraz już kojarzę. Wybacz, ale w ogóle cię nie rozpoznałam – przyznała szczerze z lekkim zakłopotaniem.
– Aż tak się zmieniłem? – Znowu błysnąłem uśmiechem, ale ona i tym razem tego nie odwzajemniła.
Szkoda.
– Być może nie, po prostu chyba nie mam zbyt dobrej pamięci do twarzy. – Wzruszyła ramionami. – Nie widzieliśmy się od bardzo dawna – dodała w ramach usprawiedliwienia.
To prawda. Minęło sporo czasu.
– Co u ciebie? Co u Sebastiana? – zapytałem, by jakoś pociągnąć temat, bo Zosia nie sprawiała wrażenia, jakby chciała wyjść z inicjatywą.
Zacisnęła usta w wąską linię i wciągnęła głęboko powietrze przez nos, a później powoli je wypuściła. Spojrzała gdzieś pod nogi.
Zmarszczyłem brwi, bo taka reakcja na moje zupełnie luźne pytanie wydała mi się dziwna.
– U mnie w porządku – mruknęła zdawkowo.
– A u Seby?
Odchrząknęła i przestąpiła z nogi na nogę. Spięła ramiona w nienaturalny sposób. Nie wiedzieć czemu poczułem się nagle zestresowany w jej obecności.
– Mój brat nie żyje.
To zdanie zawisło nad naszymi głowami jak gęsta mgła. Ostatnie dwa słowa uderzyły we mnie z ogłuszającą siłą. Zniknęły nagle
dźwięki samochodów jadących ulicą, słońce przestało sprawiać przyjemność swoimi promieniami...
Myślałem, że się przesłyszałem. Cholera, ja naprawdę chciałem się przesłyszeć. Ale wystarczyło jedno spojrzenie w wypełnione łzami oczy Zośki, by wiedzieć, że to żaden ponury żart, a najmroczniejsza prawda.
Ja pierdolę... Seba. Naprawdę?
Dlaczego? Co się stało? Jak mogłem wcześniej o tym nie wiedzieć?
Pytania eksplodowały, ale nie odważyłem się zadać żadnego na głos.
– Tak mi przykro... Choć te słowa ani trochę nie oddają tego, co właśnie czuję – wydukałem z trudem i pokręciłem głową. Nie mogłem uwierzyć.
Byliśmy kiedyś bardzo bliskimi kumplami. W zasadzie przyjaciółmi.
Szliśmy ramię w ramię, on wstawiał się za mną, a ja za nim. Dorosłe życie zweryfikowało tę znajomość, ale nic nie mogło umniejszyć mojej sympatii do tego gościa. Uważałem go za jednego z najfajniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem. Dogadywałem się z nim o niebo lepiej niż kiedykolwiek z moim rodzonym, młodszym bratem. Ja i Darek od zawsze nadawaliśmy na zupełnie innych falach.

– Pójdę już – powiedziała pospiesznie Zośka. – Miło było cię spotkać – dodała grzecznościowo, choć nie sposób było się doszukać w tych słowach szczerości.

Nie zatrzymałam jej. Szybkim krokiem podeszła do drewnianych drzwi kamienicy i zniknęła za nimi, nie oglądając się za siebie. Gdy odprowadzałam ją wzrokiem, w moich uszach cały czas dudniły słowa, które wypowiedziała...

Dopiero po dłuższej chwili, gdy tak stałem na środku chodnika, mijany przez dziwnie patrzących na mnie ludzi, zdałem sobie sprawę, że Zośka wróciła do mieszkania swojej babci. Zrobiła zakupy i weszła z nimi do kamienicy. Przecież nie niosłaby śniadania nowym lokatorom, prawda?

Chociaż kto wie, mogłem się mylić.

*

Martyna krzątała się po mojej niewielkiej kuchni, a zapachy, które docierały do salonu, były naprawdę smakowite. Od dłuższego czasu siedziałem w fotelu przy wyłączonym telewizorze i analizowałem dzisiejsze spotkanie z Zośką sekunda po sekundzie. Moja narzeczona cały czas coś do mnie mówiła, a ja tylko bezmyślnie przytakiwałem, wiedząc, że w ten sposób igrzm z ogniem. Bardzo się wkurzy, gdy się zorientuje, że moje zaangażowanie w rozmowę bliskie jest zeru.

– Kuba! Słyszysz mnie? – Wyjrzała z kuchni, podpierając się pod boki.

– Pewnie, że tak, kochanie – odpowiedziałem machinalnie i spróbowałem przybrać skupiony wyraz twarzy.

Za późno. Znała mnie zbyt dobrze i zdążyła dostrzec uciekającą w popłochu zadumę.

– Pytałam, czy skontaktowałeś się już z orkiestrą, którą poleciła koleżanka mojej mamy. – Zmarszczyła złowrogo brwi.

Znałem tę minę, nigdy nie wróżyła niczego dobrego.

– Wiem, że miałem to dzisiaj zrobić. Przepraszam. Zadzwoń jutro

– odparłem ugodowo i wstałem z fotela, po czym podszedłem do Martyny i pocałowałem ją czule w usta.

Była piękną kobietą. Kochałem jej długie, ciemne włosy i intensywnie brązowe oczy. Wąską talię, długie nogi, idealne biodra i biust, który mógł wodzić na pokuszenie. A ponad wszystko te naturalnie pełne usta, którymi kokietowała mnie za każdym razem, gdy decydowała się użyć swojej ulubionej krwistoczerwonej szminki.

Zaręczyliśmy się pół roku temu. Byliśmy parą od trzech lat, a poznaliśmy się przez naszych wspólnych znajomych. Przepadłem w niej od pierwszego wejrzenia – słowo daję, nie ma w tym żadnej przesady. Oczarowała mnie do granic możliwości. A w grudniu tego roku miała zostać moją żoną.

– Siadaj do stołu, kolacja gotowa – poleciła, po czym chwilę później wróciła z dwoma nakryciami, talerzem kanapek i apetycznie wyglądającą sałatką. – Smacznego.

– Dziękuję. Tobie również, kochanie – odpowiedziałem i posłałem jej czule spojrzenie.

Choć nie mieszkaliśmy razem, to staraliśmy się spędzać ze sobą jak najwięcej czasu. Martyna dbała o mnie, jak umiała. Niejednokrotnie proponowała, bym się do niej przeprowadził, jednak to było mieszkanie po moich dziadkach, miejsce, w którym się wychowałem, moja bezpieczna przystań. Wiedziałem, że Martyna nigdy nie zgodzi się tutaj zamieszkać. Dwa pokoje, kuchnia i łazienka zdecydowanie nie stanowiły szczytu marzeń mojej narzeczonej. Jeszcze nie wiedziałem, jak po ślubie zdołam rozstać się z tym mieszkaniem.

Póki co nie wyobrażałem sobie tego. Może to mało męskie, ale byłem cholernie sentymentalny. Dla jednych dom to tylko cztery ściany, a dla mnie mój stanowił symbol dobrego życia, pamięci o dziadkach i miłości, którą obdarowali mnie oraz moje rodzeństwo.

Martyna nie potrafiła tego zrozumieć.

– Możesz mi powiedzieć, co sprawiło, że siedziałeś taki zamyślony?

– zagadnęła spokojnie, choć pytania o emocje nigdy nie były w jej przypadku rzucone ot tak. Bardzo dużą wagę przywiązywała do uczuć i szczerości między nami.

– Spotkałem dziś przypadkiem starą znajomą z nastoletnich lat.

Kiedyś ona i jej brat bliźniak przyjeżdżali do swojej babci na całe wakacje, więc się razem szlajaliśmy, jak to młodzież. Nie widziałem Zośki od kilkunastu lat, kontakt całkowicie mi się z nimi urwał.

Czasem tylko spotykałem Sebę i byliśmy na „część”. A dziś dowiedziałem się, że on nie żyje.

– Och... Wiesz, co się stało? – zapytała ze zmartwioną miną.

– Nie pytałem. Prawie zaczęła płakać, więc postanowiłem nie drażnić, sama rozumiesz. Po prostu tak mnie to zaskoczyło, wiesz?

Byliśmy kiedyś najlepszymi kumplami. On był rok młodszy ode mnie i... już go nie ma. – Ta świadomość wywoływała we mnie dziwną, bolesną pustkę.

– Rozumiem, że ta wiadomość cię przybiła. – Współczujący i wyrozumiały wzrok Martyny, a także dotyk jej cieplej, delikatnej dłoni przypomniały mi po raz kolejny, dlaczego jest moją opoką.

Resztę wieczora spędziliśmy na kanapie we wzajemnych objęciach, oglądając kolejny odcinek miniserialu na podstawie książki Harlana Cobena. Lubiliśmy takie kryminalne klimaty i zagadki, więc i tym razem od początku się wkręciliśmy. Później wspólnie analizowaliśmy każdy szczegół i próbowaliśmy rozwikłać tajemnicę przed obejrzeniem ostatniego odcinka. Czasem się udawało, innym razem nie, ale jedno było pewne...

Pomimo kilku różnic i zgrzytów tworzyliśmy naprawdę zgrane narzeczeństwo.

*

Z zawodu i pasji byłem fotografem. Od prawie trzech lat prowadziłem własną firmę, zajmowałem się robieniem profesjonalnych sesji zdjęciowych i filmów z imprez okolicznościowych. W ofercie miałem sesje biznesowe, ale i rodzinne, ciążowe albo noworodkowe. Zostałem dobrze przyjęty na rynku i na brak klientów zdecydowanie nie mogłem narzekać. Poza tym ta branża przynosiła naprawdę dobre zarobki i mogłem to stwierdzić, zatrudniając jeszcze trzech pracowników oraz inwestując w coraz to nowy sprzęt. Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli robisz to, co kochasz, to nie przepracujesz ani jednego dnia. I ja zgadzałem się z tym w stu procentach. Szedłem codziennie do studia z ciekawością, a kolejnym zleceniom oddawałem się z pełnym zaangażowaniem. Byłem

świadkiem jubileuszów, sukcesów i wzruszeń, gdy rodzice tulili w ramionach swoje długo wyczekiwane dziecko. Choć w czasach licealnych miałem opinię łobuza i złego chłopca, to jako dorosły mężczyzna pozwoliłem dojść do głosu wrażliwości, którą zaszczerpiła we mnie babcia. Dzięki temu potrafiłem za pomocą aparatu uwiecznić piękno i ulotne chwile.

Miałem dwójkę rodzeństwa: młodszego o dwa lata brata Darka i młodszą o siedem lat siostrę Sabinę. Byłem w gimnazjum, gdy rodzice ogłosili nam, że wyjeżdżają do pracy za granicę. Chcieli nas ze sobą zabrać, ale doszli do wniosku, że lepiej, byśmy ani ja, ani Darek nie zmieniali szkoły i nie musieli opuszczać kolegów. Sabina też została, dzięki czemu rodzice

mogli w pełni poświęcić się zarabianiu pieniędzy. Opiekę nad nami przejęli dziadkowie. Kochana babcia Adelka i najlepszy na świecie dziadek Tadek. Pamiętałem doskonale noce, gdy Sabina przychodziła do pokoju, który dzieliłem z bratem, i z tęsknoty za mamą i tatą płakała tak długo, aż nie zmorzył jej sen. To były trudne chwile, ale im więcej czasu mijało, tym normalniejsze stawało się dla nas to, że jesteśmy wychowywani przez dziadków, a nie rodziców. Oni tylko od czasu do czasu dzwonili, wysyłali pieniądze i fajne zagraniczne prezenty. Przyjeżdżali kilka razy do roku, a my zawsze, jak to dzieci spragnione miłości ze strony dwóch najważniejszych osób, witaliśmy ich z otwartymi ramionami i coraz bardziej gasnącą nadzieją, że tym razem zostaną z nami na zawsze.

Osiedli w Niemczech na dobre. Przesiłąli tamtą kulturą, zapuścili korzenie. Po latach udało im się zdobyć lepszą pracę, a przez to i wyższe zarobki. Stać ich było na porządne auto, parę lat temu kupili nawet dom. Co jakiś czas zapraszali nas w odwiedziny, lecz tylko Darek skorzystał. Pojechał do nich kiedyś na tydzień w okolicach Bożego Narodzenia.

Martyna wiedziała, że moje relacje z mamą i tatą dalekie są od ideału, ale zapytała kiedyś, czy po ślubie pojechalibyśmy do nich na parę dni, by mogła ich bliżej poznać. Początkowo zwlekałem z jednoznaczną odpowiedzią, ale przyparty do muru, w końcu złożyłem obietnicę, której obawiałem się dotrzymać. Jakoś ciężko mi było na myśl o zetknięciu się z rzeczywistością, w której rodzice postanowili żyć bez nas.

Od czasu do czasu do siebie dzwoniliśmy. Tylko na krótką chwilę, wymieniając szereg suchych informacji z życia. Wiedzieli już, że pod koniec roku zamierzałem wziąć ślub i że zostaną na niego zaproszeni. Niezwłocznie poinformowali, że przyjadą, lecz od razu po weselu będą zmuszeni wracać. Martyna wiedziała więc, że podczas naszego wyjątkowego dnia nie będzie miała szansy poznać ich lepiej.

Od czasu, gdy straciliśmy dziadka i babcię – zmarli dokładnie w takiej kolejności, w odstępie niespełna roku po sobie – podchodziłem do rodziców z jeszcze większą rezerwą.

Moja narzeczona myślała jednak, że jeszcze wszystko można między nami naprawić. Wierzyła niekiedy w garbate aniołki, a ja, widząc te roziskrzony oczy pełne nadziei, nie miałem sumienia sprowadzać jej na ziemię.

4. Zośka

Nie minął nawet tydzień od potwierdzenia ciąży, a już przekonałam się na własnej skórze, czym są poranne mdłości i jak bardzo potrafią zepsuć dzień. I że wcale nie muszą być poranne. Naszły mnie także koło południa, a później jeszcze raz późnym wieczorem. I niestety wyglądało na to, że z tym mało przyjemnym stanem będę musiała zaprzyjaźnić się na dłużej.

Większość czasu spędzałam w bujanym fotelu wiklinowym na balkonie. Mieszkanie po babci znajdowało się na pierwszym piętrze, więc kiedy nie czytałam książek na czytniku, to w ramach rozrywki obserwowałam spacerujących przed kamienicą ludzi, drapałam Prymulkę za uszkiem i z nudów liczyłam przejeżdżające drogą samochody. Przy balustradzie od lat rósł rozłożysty i bujny lilak pospolity; jedna z jego gałęzi wkradła się pomiędzy szczebelki i w okolicach maja zdołała balkon swoimi pięknymi, ciemnofioletowymi gromadami bzu. Uwielbiałam zapach tych drobnych, pięknych kwiatków, były dla mnie symbolem mojego ulubionego miesiąca. Planowałam w najbliższym czasie osiatkować balkon dla bezpieczeństwa mojej kotki i miałam nadzieję, że firma, która się tym zajmie, nie zniszczy tego pięknego towarzysza podarowanego przez matkę naturę.

W tym roku krzew rozkwitł niemal na moich oczach, co przypomniało mi o babci i o tym, jak go kochała. Nigdy nie wyraziła zgody, by choć kawałek uciąć, nawet wtedy, gdy gałąź dość mocno zachodziła już na teren balkonu. Nigdy też nie zrywała kwiatów, czasami tylko dotykała ich delikatnie palcami, wdychała ich zapach i robiła zdjęcia na pamiątkę. Nas od najmłodszych lat prosiła o takie samo poszanowanie dla tej rośliny. Jej wrażliwość na piękno przyrody była tak autentyczna i szczerą, że żadne z nas nigdy nawet przez chwilę nie pomyślało, by postąpić inaczej, niż mówiła.

Kiedyś co roku organizowaliśmy z Radkiem jakiś wypad majówkowy w większym gronie – czy to nad jezioro, czy to w góry, czy wspólne grillowanie za miastem. Zawsze towarzyszył nam Sebastian. Ale w tym roku... było zgoła inaczej.

Pierwszego maja od rana zaliczyłam męczącą wizytę w toalecie, a później leżałam na kanapie w salonie i pustym wzrokiem patrzyłam w telewizor, tak naprawdę cały czas skupiona na męczących mnie mdłościach. Później przeczytałam w internecie parę artykułów o tym, jak radzić sobie z dolegliwościami ciążowymi za pomocą naturalnych sposobów. Imbir – w zasadzie tylko to nadawało się do stosowania w ciąży. Niestety w domu niczego takiego nie miałam, a markety były zamknięte. Gdybym znalazła w sobie więcej siły, mogłabym pójść do apteki po jeden z kilku dopuszczonych dla ciężarnych suplementów diety, jednak moja głowa była zbyt ciężka, a ciało niewiarygodnie zmęczone. Gdybym miała obok siebie faceta gotowego stanąć na wysokości zadania... Ale niestety.

W którymś momencie zaczęła opanowywać mnie senność.

Przymknęłam powieki, a ból pustego żołądka stał się jakby lżejszy i łatwiejszy do zniesienia. Zakolatała mi myśl, że powinnam napić się choć kilka łyków wody, ale zniknęła szybko, a ja odpłynęłam z ulgą w sen.

*

Myślałam, że pukanie do drzwi tylko mi się przyśniło. Zmarszczyłam brwi i powoli otworzyłam oczy. Przez chwilę nie wiedziałam, co się

dzieje. Leżałam jak kłoda i patrzyłam w sufit. Jednak stukot ponownie się powtórzył i teraz był znacznie wyraźniejszy.

Z niemal katorżniczym wysiłkiem podniosłam się do pozycji siedzącej, a później powoli dźwignęłam na nogi.

Kto mógł się tutaj zjawić? Tylko Radek wiedział, że tu jestem. Ach, no i Kuba...

Zerknęłam przez przeziernik i omal nie rozdziawiłam ust na widok Wery. Stała po drugiej stronie drzwi z wyczekującą i zaniepokojoną miną, a ja zastanawiałam się, skąd ona, do cholery, wiedziała, że się przeprowadziłam. Przecież nie powiedziałam jej o tym, że mój partner... w zasadzie wyrzucił mnie z mieszkania. Bo nie chciał zaakceptować faktu, że noszę pod sercem jego dziecko.

Otworzyłam powoli.

– No nareszcie! – powiedziała z ulgą Wera i bez zaproszenia wtargnęła do mieszkania, jakby bała się, że postanowie zatrzasnąć jej drzwi przed nosem. – Myślałam, że zaraz padnę na zawał, kobieto!

– Wybacz. Przysnęło mi się – wyjaśniłam cicho i potarłam zmęczoną twarz.

Wera przyjrzała mi się z zatroskanym wyrazem twarzy. Zdawałam sobie sprawę, że nie wyglądam najlepiej.

– Mdłości. Zaczęły się? – zapytała.

– No niestety, jest kiepsko. Wymiotuję i nie mogę nic przełknąć – odparłam słabo i poczułam, jak zaczyna mi się kręcić w głowie, więc szybko opadłam na kanapę, by przypadkiem nie klapnąć koleżance pod nogi.

– Pijesz chociaż wodę?

Zaprzeciłam ruchem głowy. Zmarszczyła brwi i położyła przyniesioną ze sobą papierową torebkę na stoliku kawowym.

Zaręczam, że wcześniej jej nie zauważyłam. Ze środka Wera wyciągnęła korzeń imbiru, a także gumy do żucia dla ciężarnych i jakieś tabletki.

– To powinno choć trochę ci pomóc, chociaż wymioty w ciąży to cholerstwo i często bywa tak, że nic nie przynosi ulgi.

Coś o tym wiedziała. Jej ciąża z bliźniakami należała do najtrudniejszych, o jakich kiedykolwiek słyszałam. Nie dość, że do szóstego miesiąca każdego dnia wisiała z głową nad toaletą po kilka, a nawet kilkanaście razy, to jeszcze na początku i pod koniec musiała leżeć, by utrzymać maluchy pod sercem. To pewnie dlatego przysłała mi z pomocą, choć nawet nie dałam jej znać, że takowej potrzebuję.

Była prawdziwym aniołem.

– Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz? – zapytałam z trudem, bo znów zaczynało mnie okrutnie mdlić.

– Pojechałam do ciebie tam, gdzie zawsze. Otworzył Radek i oznajmił mi, że już z nim nie mieszkasz i mam cię szukać w mieszkaniu po babci, i podał adres. Miał taką minę, że wołałam nie zadawać więcej pytań. Odwróciłam się na pięcie i oto jestem. Na szczęście dobrze zapamiętałam numer budynku i mieszkania, na pamięć nie mogę narzekać. I dzięki Bogu, bo gdyby było inaczej, to przy bliźniakach... – Machnęła ręką i zaśmiała się, lecz szybko spoważniała i spojrzała mi w oczy. – Czemu się od niego wyprowadziłaś?

To była ta chwila, kiedy musiałam zdecydować, czy sprzedam jej możliwie jak najlepiej brzmiącą historyjkę, która nie będzie miała zbyt wiele wspólnego z prawdą, czy może powiem o wszystkim tak, jak to miało miejsce, i zrzucę nieco ciężaru z własnych ramion.

Zwierzanie się innym ludziom nigdy nie było dla mnie proste. Przez lata o wszystkich moich troskach i sekretach wiedziała tylko babcia.

Z bratem aż tak się każdą emocją nie dzieliłam.

Wzięłam głęboki oddech, na chwilę zamknęłam oczy i zaczęłam mówić:

– Powiedziałam Radkowi o ciąży. Myślałam, że się ucieszy, bo jakiś czas temu rozmawialiśmy o dziecku i oboje marzyliśmy o tym samym. A wiesz, jak zareagował? – zapytałam z goryczą w głosie, bo nie potrafiłam wracać do tamtych chwil z neutralnym podejściem.

– Nie był zachwycony? – mruknęła pod nosem Wera.

– To mało powiedziane... – westchnęłam. – Stwierdził, że to nie jest dobry czas na dziecko, bo on nadal nosi żałobę po Sebastianie.

Jakbym ja już jej nie miała... – Parsknęłam suchym, pozbawionym wesołości śmiechem. – Kazał mi usunąć. Rozumiesz?

– Co za kutas! – Moja koleżanka nie przebierała w słowach, gdy byliśmy poza miejscem pracy.

– Po wizycie u ginekologa było jeszcze gorzej. Powiedział, że mam się wyprowadzić. Mieszkaliśmy u niego, więc nie miałam wyjścia i nie chciałam robić z siebie żalostnej idiotki, która błaga o jeszcze jedną szansę. Jego zdaniem wybrałam dziecko, którego on nie chce, więc sytuacja jest oczywista.

Wera otworzyła usta, a jej twarz stężała od złości. Zaraz jednak powstrzymała się i po prostu usiadła obok mnie na kanapie, po czym objęła ramieniem i przez kilka długich, dobrych i spokojnych chwil trwałyśmy w przyjacielskim uścisku.

Niemal od razu pojęłam, jak potrzebne było mi wsparcie innej osoby. A ona znów pojawiła się w odpowiedniej chwili i w odpowiednim miejscu, choć wcale jej o to nie prosiłam. Była jedną z najlepszych kobiet, jakie dane mi było poznać. Zero zazdrości, zawiści, rywalizacji... Chodzący dowód, że popularne ostatnio hasła o siostrzeństwie mogą mieć przełożenie na rzeczywistość.

– Głupio mi tak narzekać i marudzić przed tobą, że mi źle, że mam mdłości i tak dalej... Ty miałaś jeszcze gorzej przy swoich bliźniakach

– wyznałam. Doskonale pamiętałam jej opowieści, nie tylko o mdłościach, ale jeszcze później, gdy jej brzuch rósł, rósł i rósł, a ona musiała borykać się z okropną zgagą, trudnym do zniesienia bólem kręgosłupa i straszliwą opuchlizną nóg.

– To, że ja przesłam sporo, nie umniejsza tego, co ty przechodzisz

– odpowiedziała wyrozumiale i uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco. – Jesteś w ciąży i masz pełne prawo narzekać do oporu. Kto jak kto, ale ja cię w pełni rozumiem i będę wspierać, jak tylko potrafię.

I zaraz dowiodła, że nie rzuca słów na wiatr – kiedy pięć minut później zerwałam się z kanapy i pobiegłam do toalety, Wera pojawiła się od razu obok mnie. Trzymała mnie za ramiona, potem pomogła się podnieść, asekurowała, gdy płukałam usta, i odprowadziła z powrotem do salonu. Na koniec okryła mnie kocem, bo pomimo pogodnego dnia i przyjemnej temperatury zarówno na zewnątrz, jak i w mieszkaniu, trzęsłam się z zimna. Byłam wymęczona i znów zachciało mi się spać.

5. Kuba

Spędziliśmy z Martyną i naszymi znajomymi fantastyczną majówkę nad jeziorem. Wróciliśmy tu po raz drugi. Rok temu, za pierwszym razem, było świetnie: domek letniskowy blisko czystej plaży, spokój, piękne okoliczności przyrody, długie ścieżki spacerowe i wiele innych atrakcji. Miejscówka znajdowała się niespełna pięćdziesiąt kilometrów od naszego miasta, więc jak moglibyśmy nie powtórzyć zeszłorocznego wypadu. Zafundowaliśmy sobie idealny trzydniowy reset, spędziliśmy miło czas, rozluźniliśmy się. Wypiliśmy trochę alkoholu, ale było bardzo kulturalnie i grzecznie – jako towarzystwo po trzydziestce etap głupich wybryków mieliśmy już dawno za sobą.

Po powrocie do domu od razu wziąłem się do pracy, bo miałem zdjęcia z trzech sesji biznesowych do obrobienia i oddania na już.

Trochę nieodpowiedzialnie przełożyłem je na czas po wyjeździe, więc nic dziwnego, że klienci zdążyli już wysłać mi ponaglące maile na skrzynkę. Zarwałem nockę i nad ranem przesłałem zleceniodawcom pakiety zdjęć, przepraszając za zwłokę.

Gdy nadszedł moment, w którym wreszcie mógłbym położyć się spać, zrobiłem sobie kawę i z parującym kubkiem wyszedłem na balkon. Ptaki rozpoczynały już swoje trele o świcie, w oddali słychać było samochody, ale plac zabaw i ścieżka spacerowa świeciły pustkami. Niebo jaśniało już porannymi promieniami słońca. Idealna pora do zdjęć, piękne światło. Chwyciłem aparat i wycelowałem obiektyw, gdy kątem oka dostrzegłem jakiś ruch w oknie naprzeciwko mojego. Mieszkanie na pierwszym piętrze.

Zdziwiłem się, widząc, jak drobna dłoń wyłania się zza firanki, przekręca klamkę i otwiera okno na całą szerokość. Znałem odwrócony układ mieszkań po drugiej stronie. My mieliśmy balkony od podwórza, a mieszkańcy tamtego budynku od drogi. Okno, które właśnie w tej chwili, kilka minut po piątej rano, otworzyła Zośka, wychodziło z jej kuchni. Okolica była jeszcze zaspana, ja sam w normalnych okolicznościach zatapiałbym się teraz w pościeli.

Dlaczego więc ona nie spała? Wstawała tak wcześnie do pracy? Czy może był inny powód?

Rozważania na temat Zośki pociągnęły za sobą myśli o Sebastianie.

Udawało mi się je od siebie skutecznie odsuwać przez całą majówkę, ale teraz wróciły i były jakby bardziej nieustępliwe niż wcześniej.

Kumplu z nastoletnich lat, jak to, kurwa, możliwe, że ja tu jestem, a ciebie już nie ma?

W czasach naszej przyjaźni uważaliśmy się za niezniszczalnych, nieśmiertelnych. Panowie świata, ot co. Mieliśmy głupie pomysły, często nakręcaliśmy się wzajemnie do różnych mało bezpiecznych wyzwań, razem po raz pierwszy spróbowaliśmy wódki czy fajek. Były też takie tajemnice, którymi w tamtym czasie dzieliłem się tylko z Seba, bo z nikim innym bym nie mógł. I chociaż nasze drogi się rozeszły, to jakoś nigdy nie brałem pod uwagę, że któreś z tych przypadkowych spotkań na szybkie „ześć” może być ostatnim. No bo jak to? Oboje młodzi, zdrowi, pełni życia...

Co się stało, że go zabrakło? Zachorował? Stał się ofiarą nieszczęśliwego wypadku? Jedno albo drugie musiało być przyczyną.

Przecież młodzi ludzie nie umierają z innych powodów. To zawsze choroba lub fatalne zrządzanie losu.

Nawet nie wiedziałem o jego pogrzebie. Przecież rzuciłbym wszystko i pojechał złożyć mu ostatni hołd. Kiedy odszedł? Co tego dnia robiłem?

Pytania. Więcej pytań. I jeszcze więcej. Mnożyły się, męczyły mnie, zaczynały dusić.

Wypiłem na raz pół kubka przestygniętej nieco kawy i wszedłem do pokoju. Otworzyłem leżące na biurku laptopa i wszedłem na Facebook. Właśnie wpadłem na pomysł, by tam poszukać jakichkolwiek informacji.

Po plecach przeszedł mnie dreszcz, gdy wpisywałem imię i nazwisko dawnego przyjaciela w wyszukiwarce.

Sebastian Kuliński

Wyskoczyło kilku użytkowników o takich danych, ale szybko się zorientowałem, że żaden nie jest tym, którego szukam. Idąc za ciosem, postanowiłem poszukać Zofii Kulińskiej. Ona miała konto na profilu społecznościowym i pojawiła się nawet informacja, że mamy dwóch wspólnych znajomych. Pewnie ktoś z dawnej paczki.

Kliknąłem, by wyświetlić więcej. Na zdjęciu profilowym widniała ona, siedząca nad brzegiem morza podczas zachodu słońca i patrząca w dal. Na głowie miała okulary przeciwsłoneczne, nogi podkulała pod siebie i obejmowała je ramionami. Nagie stopy mokre były od wody, podobnie jak końcówki nogawek od dżinsów. Zadumana, zerkąła w bok, ekspozując swój łagodny podbródek, lekko zadarty mały nos, naturalną wypukłość ust. Jako fotograf zwracałem uwagę na takie kwestie, dlatego instynktownie wyłapałem to i tym razem.

Fotografię dodała trzy lata temu, ale od razu byłem w stanie stwierdzić, że nie zmieniła się zbyt wiele od tamtego czasu. Miała kilkadziesiąt polubień. Na zdjęciu w tle także widok na morze, tym razem przy bezchmurnym niebie. Dwustu dwóch znajomych, ogólne informacje, kilka udostępnień zbiorów na potrzebujące zwierzęta, cała reszta została ukryta. Najechałem kursorem myszki na przycisk

„Dodaj do znajomych”. I się zawahałem. Powinienem to zrobić po tym naszym krótkim, zakończonym niezbyt fortunnie spotkaniu pod marketem? Owszem, dawno temu się znaliśmy, ale teraz byliśmy dla siebie obcy, więc mogłaby to źle odebrać. Z drugiej jednak strony

zawsze warto spróbować. Może mnie przyjmie, może odzyskam na jej tablicy wzmiankę o Sebastianie i dowiem się, kiedy zmarł. Wtedy byłoby mi łatwiej znaleźć jego grób na stronie internetowej miejskiego cmentarza.

Chciałem kupić znicz i pójść go pożegnać po swojemu. Teraz, gdy już wiedziałem, że nie żyje, nie mogłem po prostu odpuścić.

Jeśli sam do niego nie trafię, to czy odważę się poprosić Zośkę, żeby mi pomogła?

Ostatnio sama wzmianka o Sebie doprowadziła ją do łez. Bałem się ujrzeć je znowu. Cholernie.

Wstrzymałem oddech i wysłałem jej zaproszenie do grona znajomych. Raz się żyje. Co ma być, to będzie, i takie tam...

*

Maj był idealnym, wręcz wymarzoną miesiącem na sesje rodzinne i ciążowe w plenerze. Towarzyszyło nam już słońce i przyjemne ciepło, a jednocześnie nie dręczyła duchota, jak latem. Przez minione lata pracy na swoim zdążyłem poznać kilkanaście pięknych miejscówek na zdjęcia. Wszystko zależało od tego, jak daleko klient był gotowy dojechać. Lubiłem tak pracować. To zawsze dawało więcej możliwości niż studio, choć oczywiście stwarzało też

pewne trudności. Najtrudniej fotografowało się w parkach. Wtedy zawsze ktoś nieproszony wszedł w idealny kadr i musieliśmy powtarzać ujęcie. Kilka razy przed obiektyw wprosił się też jakiś rozentuzjasmowany psiak albo zdarzyło się, że akurat w momencie robienia fotki wiewiórka musiała zejść z drzewa i przycupnąć w pobliżu klientki prezentującej ciężowy brzuszek. Co prawda w przypadku wiewiórek (a czasem też i psiaków) ludzie byli zachwyceni tymi nie planowanymi ujęciami i prosili, by dołączyć je do albumu, ale ogólnie praca w parkach bywała dość nieprzewidywalna.

I chociaż wydawałoby się, że fotograf każdego dnia robi to samo, to tak naprawdę codziennie działo się coś innego, coś zaskakującego. Ludzie byli różni: jedni serdeczni, ugodowi i uśmiechnięci, inni niezdecydowani, sztywni lub przerażeni wizją pozowania, a wreszcie tacy, którym nie podobało się zupełnie nic i ciągle kręcili nosem. Przerobiłem już niezliczoną ilość ludzkich charakterów, pracowałem z różnymi typami urody i stwierdziłem któregoś dnia, po pewnej bardzo trudnej i uciążliwej sesji, że nic mnie już nie zaskoczy. Jednak szybko okazywało się, że zaskoczeń w dalszym ciągu, pomimo lat w tym zawodzie, nigdy nie brakowało.

Dużo myślałem o swojej firmie, o zleceniach mogłem opowiadać godzinami. Dopiero ostatnio Martyna nauczyła mnie równowagi między życiem prywatnym i zawodowym. Uważała, że mam skłonność do pracoholizmu, dlatego w domu czy podczas wspólnych wypadów nie poruszaliśmy tematów zawodowych – dla higieny psychicznej.

Po zakończonych tego dnia sesjach umówiłem się z Sabiną na kawę. W naszym mieście były tylko dwie kawiarnie, wybraliśmy tę nowocześniejszą, z ciekawym wnętrzem urządzonym w stylu loftowym. Serwowali tu najlepszą szarlotkę, mocno cynamonową.

Siostra czekała już na mnie przy dwuosobowym stoliku pod ceglana ścianą, gdy zdyszany dotarłem na miejsce, poprawiając na ramieniu torbę ze sprzętem. Uśmiechnęła się na mój widok, a chwilę później przytuliliśmy się na powitanie.

– Już myślałam, że się ciebie nie doczekam – powiedziała.

– Spóźniłem się tylko pięć minut.

– Piętnaście – poprawiła mnie z uniesioną brwią.

Miała ciemne, sięgające ramion włosy i prostą grzywkę, która kojarzyła mi się z Kleopatrami. Jej duże, brązowe oczy i miękkie, niemal dziecięce rysy twarzy zawsze zwracały uwagę w pierwszej kolejności, a pod tym niepozornym wyglądem krył się jednak mały i rezolutny diabełek. Od poniedziałku do piątku Sabina pracowała

w recepcji lekarza rodzinnego, a weekendy spędzała na szalonych imprezach z koleżankami. Była jeszcze młoda, miała dwadzieścia sześć lat, twierdziła, że do trzydziestki zdąży się wyszumieć.

Zamówiliśmy po dużej filiżance americano i oczywiście dwie porcje szarlotki z lodami. Zawsze się nią zachwycaliśmy i nigdy nie mieliśmy jej dosyć.

– Zacniemy od standardowego pytania: co tam u ciebie, braciszku? – Sabina postukała swoimi długimi, pomalowanymi na czerwono paznokciami w porcelanę stojącej przed nią filiżanki.

– Sporo pracy, jak zawsze. Po majówce musiałem nadrobić kilka rzeczy na cito – odparłem zgodnie z prawdą, a ona wywróciła oczami.

– No właśnie, majówka! Jak było?

Westchnąłem przeciągle i pomyślałem o niedawnym spotkaniu z dawno niewidzianą znajomą.

– Opowiem ci coś innego – zacząłem.

– Co takiego? – Ciekawskie spojrzenie mojej siostry rozbłysło.

– Kilka dni temu spotkałem przypadkiem Zośkę Kulińską. Pamiętasz ją? Zmrużyła oczy i zagryzła lekko policzek, zastanawiając się.

– Coś mi to mówi, ale nie jestem pewna, skąd kojarzę to imię i nazwisko – przyznała po chwili.

– Zośka i Seba. Bliźniaki, z którymi włóczyłem się przed laty podczas wakacji – przypomniałem jej.

Otworzyła usta i uniosła palec ku górze, przytakując.

– No tak, rzeczywiście! Teraz już kojarzę. Sebastian... – westchnęła przeciągle i lekko teatralnie. – Podkochiwałam się w nim, a ty ciągle powtarzałeś babci i dziadkowi, że nie będziesz ciągnął za sobą smarkuli, gdy ja płakałam, że chcę pójść gdzieś z wami.

Uśmiechnąłem się, choć uśmiechem podszytym goryczą.

Wracaliśmy do przeszłości, w której mój kumpel był moim kumplem i przede wszystkim był wśród nas. Żywy. Teraz żył już tylko we wspomnieniach... Nadal nie mieściło mi się w głowie. Niestety, widok Zośki i jej oczu pełnych łez mi się nie przyśnił, nie wyobraziłem sobie tego. Mierzyłem się z okrutną prawdą.

– Chyba mi się nie dziwisz, że nie chciałem cię zabierać. To obciach. – Próbowałem pociągnąć rozmowę w żartobliwym tonie, jeszcze chwilę wspominając tamtą beztroskę, zanim powiem siostrze o Sebie.

– Gdyby nasze metryki były odwrotne, to ja bym cię zabierała na wypady z moimi koleżankami! – Poruszyła zabawnie brwiami, a ja zaprzeczyłem stanowczym ruchem głowy.

– Wolałbym sobie tego oszczędzić – stwierdziłem.

Sabina roześmiała się głośno. Doskonale wiedziała, co sądziłem o jej towarzystwie. Kiedyś uważałem te dziewczyny za wiecznie chichoczące nie wiadomo z czego małolaty. Dziś też były zupełnie inne niż ja. Żyły chwilą.

– No dobra, ale wracając... Co tam u Zośki? I jej brata? – Upiła łyk kawy z filiżanki i zabrała się do pałaszowania szarlotki, oczekując mojej relacji ze spotkania.

Wzięłem głęboki oddech.

– Wiesz, to była krótka rozmowa tak naprawdę. Wypatrzyłem ją w markecie. Zostawiła portfel, więc pobiegłem za nią, żeby jej go oddać. Nawet mnie nie poznała. Wygląda na to, że wprowadziła się do mieszkania po babci, bo wcześniej je wynajmowali. Zapytałem ją o Sebastiana i... – Urwałem, bo nagle w moim gardle pojawiła się trudna do przełknięcia gula.

– I co?

– Zośka powiedziała mi, że on nie żyje – wydukałem.

Sabina wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem.

– Ale przecież... on był młodszy od ciebie. Co się stało?

– Nie wiem. Nie chciałem pytać. O mało mi się tam nie rozplakała.

Zakończyła rozmowę i tyle ją widziałem.

– W głowie się nie mieści...

Moja ciągle roześmiana i zrelaksowana siostra, która miała milion pomysłów na minutę i niewieloma rzeczami się tak naprawdę przejmowała, teraz była szczerze poruszona. Dawno jej takiej nie widziałem.

– Też nie mogę dojść do siebie po tej informacji – przyznałem pod nosem i w końcu zatopiłem usta w kawie, by przez chwilę móc po prostu pomilczeć.

Atmosfera siadła. Przez resztę spotkania nie byliśmy już w stanie prowadzić rozmowy w lekkim tonie. Zawarliśmy też niewypowiedzianą na głos umowę, by zakończyć temat Sebastiana.

Towarzyszyła nam zaduma, choć mówiliśmy trochę o Martynie, a trochę o niesfornym psiaku mojej siostry. Nazywał się Warkocz, a to dlatego, że tamtego dnia, gdy Sabina go znalazła i przygarnęła, był tak dziki i przestraszony, że w szale przerażenia wgrzył się w warkocz jednej z jej koleżanek. Trzymał się go, jakby od tego zależało jego życie. Kaśka straciła wtedy sporo włosów, ale psa udało się okiełznać, zanim narobił więcej szkód.

Dawno tego sierściucha nie widziałem, a oboje bardzo się lubiliśmy.

*

Martyna miała swoje plany na ten dzień, spędzała czas z siostrą, Asią, dlatego samotny wieczór postanowiłem przeznaczyć na pracę.

Obrabiałem zaległe zdjęcia z sesji rodzinnych, gdy nagle zadzwonił mój telefon. Odebrałem bez zerkania na wyświetlacz.

– Halo?

– Wybacz, że zawracam ci głowę o tej godzinie, ale jesteś może w domu? – Po drugiej stronie odezwała się moja siostra.

– Jestem. Coś się stało?

– Nie. Mogę na chwilę wpaść?

Słyszałem w tle dźwięki samochodu, więc najwyraźniej już do mnie wyjechała, a dopiero później postanowiła zadzwonić.

– Jasne.

– Będę za pięć minut.

I rzeczywiście była. Zapukała do drzwi dwa razy, a ja wpuściłem ją do środka. Zdawała się dziwnie poruszona, a w rękach trzymała stare pudełko po butach.

– Mam nadzieję, że nie przerwałam ci niczego ważnego –

powiedziała na przywitanie i od razu wkroczyła do środka. Usiadła w fotelu i popatrzyła na mnie uważnie. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jej wzrok padł na mój otwarty laptop. – Nie musisz odpowiadać, zgaduję, że praca. W każdym razie nie chciałam z tym czekać.

Wcisnęła mi w ramiona pudełko i uśmiechnęła się lekko.

– Co to jest? – zapytałem. Zawartość była ciężka.

– Po naszej dzisiejszej rozmowie przypomniałam sobie, że wzięłam kiedyś do siebie zdjęcia z naszego dzieciństwa i czasów nastoletnich.

No i faktycznie... Sporo tam ciebie, Zośki i Seby. Może będziesz miał ochotę za jakiś czas do nich wrócić.

Zaskoczyła mnie. Całkowicie zapomniałem o tych fotografiach, a przecież było ich mnóstwo i miały dla mnie kiedyś ogromną wartość.

– Super, że mi to przyniosłaś – przyznałem ze wzruszeniem, do którego sam przed sobą nie chciałem się przyznać.

Ale Sabina wyglądała tak, jakby wiedziała, jakie emocje mi towarzyszą. Uśmiechnęła się z czułością, podeszła do mnie i przytuliła mocno, po czym uraczyła pospiesznym pożegnaniem i już jej nie było. Wpadła nagle, jak huragan, i z taką samą energią opuściła moje mieszkanie.

A ja znów zostałem sam.

Wtedy zamknąłem laptopa, usiadłem na kanapie i zacząłem przeglądać zawartość pudełka, fundując sobie wycieczkę do przeszłości.

6. Zośka

Wera dzwoniła codziennie i pytała, jak się czuję. A u mnie było bez zmian, czasem wydawało mi się, że nawet gorzej niż dzień wcześniej. Spędzałam całe dni na kanapie lub w łóżku, wstawałam tylko do toalety lub po wodę, co i tak zawsze kończyło się wymiotami. Wiadro stało się przedłużeniem mojej ręki. Pochylałam się nad nim tak często, że przestałam liczyć.

Dni upływały więc pod znakiem cierpienia. Ból żołądka, katorznicze mdłości, wstręt do jedzenia i zapachów... Każda, nawet najprostsza czynność wyduszała ze mnie siódme poty. Prysznic był męczarnią, a wstawienie lub wywieszenie prania czymś absolutnie niemożliwym – drażniły mnie aromaty proszku i płynu do płukania. Martwiłam się, że ta wątpliwej jakości przygoda z dolegliwościami wczesnej ciąży zakończy się dla mnie odwodnieniem i wizytą w szpitalu w celu podłączenia kroplówki. Piłam często i w niewielkich ilościach, lecz większość zwracałam w ciągu kilkunastu sekund od przełknięcia. Od rana byłam w stanie zjeść suchą kromkę chleba i połknąć witaminy ciążowe. Około południa zaczynała się prawdziwa męczarnia i trwała aż do samego wieczora.

Snułam się po domu w szarych, wypłowiałych spodniach dresowych i wyciągniętym podkoszulku. Moje włosy prosiły się już o umycie, twarz była blada jak kartka papieru, a worki pod oczami sprawiały, że mogłabym z powodzeniem straszyc w horrorach. Dni mijały, a w zasadzie to przeciekały mi przez palce, a Radek ani razu

się nie odezwał. Za każdym razem, gdy przychodziło jakieś powiadomienie na telefon, miałam nadzieję, że to on. Łudziłam się, że przemyślał naszą sytuację i postanowił wyciągnąć rękę na zgodę.

W rzeczywistości jednak poza Werą nikt nie interesował się moim losem.

Nie było babci, która otoczyłaby mnie swoją troską, ani rodziców, którzy cieszyliby się na wieść o wnuku. Ani Sebastiana, mojego ukochanego brata i najlepszego przyjaciela.

Nachodziły mnie przeróżne myśli. Jak chociażby takie, że gdyby nie rozmowy telefoniczne z Werą, to nawet nie miałabym do kogo otworzyć ust. Ta ciąża, dolegliwości i typowo kobiece narzekania byłyby zarezerwowane tylko dla mojego odbicia w lustrze.

Smutne, ale prawdziwe.

Samotność miała cholernie gorzki smak.

Ale gdzieś tam w głębi serca cieszyłam się, że nikt nie widzi mnie w tak koszmarnym stanie. Mogłam się zapaść bez obaw, że ktoś będzie mnie oceniał. Powtarzałam sobie, że kiedy poczuję się lepiej, doprowadzę siebie i mieszkanie do porządku. Zresztą czekała mnie przymusowa mobilizacja, musiałam powstać z martwych przed kolejną wizytą u ginekologa, która zbliżała się wielkimi krokami, a jeszcze wcześniej musiałam odwiedzić punkt pobrań, by zrobić niezbędne badania, zlecone przez lekarza na pierwszej wizycie.

Biorąc pod uwagę wyjałowienie mojego organizmu, bałam się, jak wypadnie morfologia... I czy w ogóle ktokolwiek będzie w stanie pobrać mi krew z tych zapadniętych od braku płynów żył.

Byłam bardzo zaskoczona, gdy w środowe popołudnie (a może jednak czwartkowe?) rozległo się pukanie do drzwi. Moja koleżanka pewnie dałaby znać, gdyby chciała wpaść w

odwiedziny, więc to nie mogła być ona, bo nie wspominała przez telefon, że ma zamiar mnie dziś odwiedzić. Listonosz? Chyba nie, on raczej nie chodził po siedemnastej.

Serce zabiło mi mocniej, gdy pomyślałam, że to może... Radek?

Z trudem usiadłam na kanapie i nerwowo przeczesalam palcami włosy, próbując je ugładzić, choć wyglądałam tak fatalnie, że na nic się to zdało, i pozostawało mi tylko się z tymże faktem pogodzić.

Na drżących, osłabionych nogach podeszłam do drzwi. Odsunęłam zasłonkę przeziernika, wstrzymując oddech. Mimowolnie rozdziawiłam usta z zaskoczenia, gdy okazało się, że na progu czeka Kuba. Spotkałam go kilka dni temu przed marketem, ale... po co miałyby przychodzić do tego mieszkania?

Stwierdziłam, że najlepiej będzie nie otwierać i udawać, że nikogo nie ma, lecz cofając się od drzwi, oparłam się o komodę i straciłam na podłogę wazon. Pukanie rozległo się ponownie. Zagryzłam lekko dolną wargę, bo mdłości zaczynały znów przybierać na sile; zbyt długo tkwiłam w pozycji stojącej i zaczynałam odczuwać tego przykre skutki. Do pełnej skali nieszczęścia brakowało jeszcze, bym zwymiotowała temu mężczyźnie pod nogi.

Wdech i wydech. Jeden, drugi.

Przekręciłam zamek w drzwiach, ściągnęłam zawleczkę łańcuszka zabezpieczającego i otworzyłam powoli z niemym pytaniem wypisanym na twarzy.

– Hej. Cześć – powiedział Kuba i z zakłopotaniem podrapał się po karku. Widziałam, jak jego wzrok przesuwają się po mojej twarzy, zmarszczenie brwi było zapewne wyrazem konsternacji na mój niechlujny wygląd. A mogłam jednak nie otwierać... – Przepraszam, że niepokoję, ale... – Uniósł lekko rękę, w której trzymał pudełko po butach. W pierwszej chwili nawet go nie zauważyłam. – Mam tutaj coś, co być może chciałabyś zobaczyć. Mógłbym zająć chwilę?

Najprościej byłoby powiedzieć, że jestem zajęta, żeby przyszedł innym razem. Wymyślanie wymówek wprowadzić nigdy nie było moją mocną stroną, ale sytuacja, w jakiej się znajdowałam, nie pozostawiała mi zbyt wielkiego wyboru. Nie wspominając o braku jakichkolwiek chęci do przyjmowania gości. Poza tym widok Kubę przywoływał wspomnienia, których nie chciałam. Tamte czasy... Tak

wiele się zmieniło. Niestety na gorsze. Otwierały się moje ledwie zasklepione rany...

Już miałam spławić dawnego kolegę, lecz wtedy znów poczułam bolesny skurcz żołądka. Raptownie odwróciłam się na pięcie i zniknęłam w łazience, by kolejny raz tego dnia zwrócić treść żołądkową, której w zasadzie nie było zbyt wiele.

Nie miałam czasu, by poczuć wstyd i martwić się otwartymi szeroko drzwiami od mieszkania, w których stał nieproszony gość.

Ból brzucha i przetyku sprawił, że po policzkach pociekły mi łzy, a usta zaczęły drzeć pod wpływem torsji. Po chwili z trudem podniosłam się znad toalety i stanęłam przy umywalce. Przemyłam twarz zimną wodą, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wszystko okej? – zaniepokoił się Kuba.

Odchrząknęłam, krzywiąc się z bólu.

– Tak. Przepraszam. Zaraz wychodzę – odpowiedziałam zachrypniętym głosem.

Możliwie jak najszybciej doprowadziłam się do względnego porządku, szybko umyłam zęby i poprawiłam rozczochrane włosy, które z trudem utrzymywały luźny, rozwalony kok. Było mi słabo i musiałam jak najszybciej usiąść.

Wysłałam na korytarz i napotkałam czekającego w mieszkaniu Kubę. Stał tam z dłońmi schowanymi w kieszeniach ciemnych dżinsów. Przyjrzał mi się z ustami zaciśniętymi w wąską linię i lekko zmarszczonymi brwiami. Pudełko po butach spoczywało na komodzie, tuż obok wazonu, który wcześniej strąciłam.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale... coś ci dolega? – zapytał cicho i tak nienachalnie, jak to tylko możliwe.

Raczej nie był wścibski, a zapytał z grzeczności. Może nawet z czegoś na kształt troski, o ile można troszczyć się o osobę, którą znało się dawno, dawno temu.

– Złapała mnie jakaś niestrawność, to nic takiego – odparłam wymijająco i machnęłam ręką. – Wybacz, ale muszę usiąść, bo inaczej...

– Czekaj, podtrzymam cię – zaoferował od razu i nie czekając na moją reakcję, ujął mnie pod ramię, po czym poprowadził do salonu i pomógł usadowić się na kanapie.

Choć nie należałam do osób, które łatwo przyjmują pomoc, w tej chwili byłam w takiej niedoli, że nie miałam siły, by zgrywać zosię-samosię. Serce biło mi w piersi bardzo szybko, co było wynikiem skrajnego osłabienia. Naprawdę zaczęłam się o siebie martwić.

Brałam pod uwagę to, że w końcu nie będzie już innego wyjścia, zadzwonię do mojego lekarza prowadzącego i prawdopodobnie trafię do szpitala. To nie były już tylko jakieś tam mdłości czy okazjonalne wymioty. Przechodziłam coś dużo gorszego, a na poprawę tego stanu się nie zanosilo.

– Rozumiem, że źle się czujesz, więc nie będę zabierał ci cennego czasu na odpoczynek, ale... – Kuba usiadł obok mnie na kanapie i wręczył mi to tajemnicze pudełko na buty. – Pamiętasz moją siostrę, Sabinę?

Zastanowiłam się przez chwilę, a w mojej pamięci pojawiła się ta mała dziewczynka z aparatem na zębach i okularami w różowych oprawkach, która zawsze chciała chodzić wszędzie razem z nami, a jej starszy brat nigdy na to nie pozwalał i kończyło się to płaczem.

Wielokrotnie było mi jej szkoda, ale Kuba miał rację, dzieliła nas zbyt duża różnica wieku, by mogła brać udział w naszych eskapadach.

– Tak – potwierdziłam. Chciałam z grzeczności zapytać, co u niej słyhać, lecz mój rozmówca od razu kontynuował:

– Podczas naszego ostatniego spotkania powiedziałem jej o Sebastianie. Przypomniała sobie o zdjęciach.

Podniósł wieczko pudełka, jakby spodziewał się, że ja sama tego nie zrobię. W środku rzeczywiście znajdowały się fotografie, kilkadziesiąt albo nawet więcej. Spojrzałam na Kubę i przełknęłam ślinę. Drapanie w gardle zeszło nagle na dalszy plan, a dłonie zaczęły mi lekko drżeć.

To pudełko skrywało mnóstwo dobrych wspomnień. Przyspieszony puls był tym razem wynikiem emocji, a nie tylko osłabienia.

Czy byłam gotowa zmierzyć się z tymi obrazami? Z beztroskim, młodzieńczym uśmiechem mojego kochanego brata? Czy byłam gotowa wrócić pamięcią do wspólnych przygód i wybryków, których przecież było tak wiele? Skonfrontować się z tym, co minęło i już nigdy nie wróci?

– Jeśli to za dużo... – zaczął Kuba, lecz ponownie na niego spojrzałam i lekko pokręciłam głową.

– Nie. Chcę to obejrzeć. Po prostu... – Urwałam, bo zabrakło mi słów.

– Daj sobie czas. – Powiedział to w taki sposób, jakby naprawdę rozumiał, co przeżywam. A przecież nic o mnie nie wiedział. Kiedyś sporo rozmawialiśmy, nie tylko wtedy, gdy był z nami Sebastian, ale również podczas tych wieczorów, gdy przesiadywaliśmy sami, bo mój brat akurat miał randkę z kolejną dziewczyną. Był rozchwytywany, odkąd wszedł w okres dojrzewania. W czasach licealnych uwielbiał wykorzystywać swoje powodzenie, co niejednokrotnie doprowadzało mnie do szału.

Zresztą Kuba też spotykał się z wieloma dziewczynami. Czasem wydawało mi się, że się prześcigają, kto złamie więcej niewieścich serc. Patrzyłam na to wszystko z boku, bo i tak nie słuchali głosu rozsądku, którym chciałam dla nich być. Porywał ich młodzieńczy zew przygody i jednorazowych romansów.

Ciekawe, na jakiego mężczyznę wyrósł mój dawny kumpel. Czy wydorósł, jak Sebastian, zanim... to się stało? A może nadal żył tak, jakby jutra miało nie być?

Pełna obaw, ale i ciekawości, sięgnęłam po pierwsze zdjęcie.

Przedstawiało naszą trójkę. Wszyscy szeroko się uśmiechaliśmy, wisząc na trzepaku. W latach dziewięćdziesiątych trzepaki i stoły pingpongowe stanowiły najbardziej popularne

Miejsca młodzieżowych spotkań. Tamtego słonecznego dnia miałam na sobie krótkie materiałowe spodenki i bluzkę odsłaniającą brzuch. Chłopcy ubrani byli w szorty i luźne koszulki. Skupiłam się na wesołej twarzy Sebastiana i z trudem powstrzymałam napływ pięknych łez.

Dopiero po dłuższej chwili i kilku głębokich oddechach przypatrzyłam się też młodszej wersji Kuby.

– Zapomniałam, że kiedyś miałaś długie włosy i nosiłaś kitkę – zauważyłam, by nie musieć w żaden inny sposób komentować naszego wspólnego zdjęcia.

Zaśmiał się lekko.

– Miało się te szalone pomysły w młodości – stwierdził pozornie lekkim tonem, choć odniosłam wrażenie, że i on czuje się trochę przytłoczony tym powrotem do przeszłości.

I tak po prostu lawina wspomnień ruszyła. Wyciągaliśmy fotografię za fotografią, oglądaliśmy siebie podczas naszych nielegalnych imprez z alkoholem, pikników, grilli i ognisk. Były też zdjęcia z wypadów rowerowych nad jezioro, wygłupów, nie brakowało śmiesznych min i dorabiania komuś rogów do zdjęcia. Emanowała z nas radość, beztroska, lekkość... To były piękne czasy, dobre dni, bezcenne chwile.

– Pamiętasz, jak Seba któregoś razu wjechał rowerem w błoto i później szedł przez pół miasteczka w uwalanych ubraniach? – zapytał Kuba, a rozbawione ogniki zatańczyły w jego oczach.

Dostrzegłam, że pojawiły mu się w kącikach delikatne zmarszczki, które jednak najprawdopodobniej nie świadczyły o upływie czasu, a po prostu skłonności do śmiechu. Nosił teraz zupełnie inną fryzurę niż kiedyś, bardzo krótką, żołnierską, i w tym wydaniu było mu zdecydowanie do twarzy. Nabrał powagi adekwatnej dla mężczyzny po trzydziestce.

– Tak, a my pokładaliśmy się ze śmiechu za jego plecami – odparłam i pozwoliłam sobie na słaby uśmiech.

Odważyłam się zrobić łyk wody i szybko tego pożałowałam.

Mdłości znów zaczęły atakować.

– Uwielbiałem go za to, że potrafił się z siebie śmiać – wyszeptał Kuba pod nosem, a moje serce przeszło gwałtowny ból powodowany nieukojoną tęsknotą.

– Miał do siebie zdecydowanie więcej dystansu, niż ja kiedykolwiek będę mieć – stwierdziłam to, co od zawsze było dla mnie oczywiste.

Spojrzałam na stojącą przede mną szklankę do połowy wypełnioną wodą. I zalała mnie fala ogromnego wstydu. Byłam tak skupiona na własnym osłabieniu i braku chęci do życia, że nawet nie zaproponowałam Kubie czegoś do picia. Początkowo, owszem, nie chciałam, żeby zostawał, ale gdy już się rozsiadł, a my zaczęliśmy wspólnie przeglądać te zdjęcia, cieszyłam się w duchu, że nie oglądam ich sama, bo mogłabym tego nie znieść z minimalną chociażby godnością.

W ostatnich dniach, które stały się już tygodniami, upadałam regularnie, niezliczoną ilość razy.

Byłam zapuszczona, osłabiona, zmęczona, wyjałowiona.

Opłakiwałam brata oraz byłego faceta, który w zasadzie nie zasługiwał na choć jedną moją łzę przez to, jak zachował się wobec mnie i swojego nienarodzonego dziecka.

O tej maleńkiej fasolce myślałam każdego dnia. Wyrzuty sumienia kłuły moje serce, gdy docierało do mnie, że w obecnym stanie nawet nie mam siły się z jej istnienia cieszyć.

– Bardzo cię przepraszam – wydukałam po chwili, bo nie mogłam przemilczeć mojego faux pas.

– Za co? – zdziwił się.

– Nie zaproponowałam ci niczego do picia.

– Daj spokój. Przecież widzę, że źle się czujesz, a ja miałem nie zawracać ci głowy.

Wybacz, że tak samowolnie się rozsiadłem przy tych zdjęciach – odparł kulturalnie i podrapał się krótko po karku, jakby był bardziej zakłopotany ode mnie.

– W zasadzie to cieszę się, że nie oglądałam ich sama. Mogłabym tego nie znieść – mruknęłam pod nosem i opuściłam wzrok. – Minęło

dopiero niewiele ponad cztery miesiące. Wszystko jest jeszcze zbyt świeże. Czuję się, jakby Sebastian po prostu mi siebie odebrał.

– Czy mogę o coś zapytać?

Spojrzałam na Kubę ze smutkiem.

– Pytaj.

– Co się stało?

To pytanie zabrzmiało, jakby wcześniej było bardzo długo i usilnie powstrzymywane. Mdlilo mnie coraz bardziej i błagałam w duchu swój organizm, żebym nie musiała przerywać tej rozmowy. Jeszcze tylko przez chwilę...

– Dwa lata temu nasi rodzice zginęli w tragicznych okolicznościach.

Sezon grzewczy, czad... – Odchrząknęłam. Nie mogłam wglębiać się w to bardziej. Po prostu nie. – Sebastian zachorował na depresję.

Leczył się dzielnie, chodził na terapię, brał leki. Pilnowałam go, sądziłam, że radzi sobie coraz lepiej. A w nim po prostu nagle coś pękło. Przyczyną zgonu było przedawkowanie leków. Umyślne.

Mój brat się zabił. Popęłnił samobójstwo.

To było tak straszne, jak brzmiało. Nie da się mówić delikatnie o odbieraniu sobie życia.

Kuba ukrył twarz w dłoniach. Słyszałam, jak głęboko wciąga powietrze, a później bardzo powoli je wypuszcza. Spojrzał na mnie oczami wypełnionymi bólem. Chyba nie tego się spodziewał. Brał pewnie pod uwagę jakiś nieszczęśliwy wypadek lub chorobę, bo najczęściej z takich powodów umierają młodzi ludzie.

A jednak to była śmierć, o której człowiek sam zdecydował.

Sebastian stał się kolejnym numerkiem w ponurych statystykach naszego kraju. O takich jak on mówiło się tylko za pomocą liczb. Nikt tak naprawdę nie roztrząsał prywatnych dramatów bliskich, którzy kochali samobójcę.

Moje spojrzenie padło ponownie na zdjęcia. Na te niezliczone uśmiechy mojego nastoletniego brata, które w obliczu ostatnich wydarzeń wydały mi się wręcz groteskowe. Jak to możliwe, że ktoś, kto tak kochał życie, czerpał z niego garściami, pewnego dnia poddał się w najgorszy możliwy sposób?

Nie zadawałam sobie obsesyjnie pytania, dlaczego to zrobił, tylko czasami jeszcze mi się zdarzało. Starłam się nie pogłębiać swojego smutku dywagacjami rozpoczynającymi się od słów „po co”. Obecnie czułam smutek. Przeogromny, nieokiełznany, niemożliwy do opisanego za pomocą jakichkolwiek znanych ludzkości słów. Spodziewałam się, że z czasem te uczucia będą się zmieniać. Być może przyjdzie czas na gniew, wyparcie, chwilowe zapomnienie.

Jednak to jeszcze nie teraz.

Pewnego dnia. Być może.

– W głowie mi się to nie mieści... – wydukał oszołomiony Kuba.

– Rozumiem cię – przyznałam.

– Chciałbym... – Urwał i z trudem przełknął ślinę, patrząc na mnie ukradkiem z dziwną ostrożnością. – Chciałbym pójść na jego grób.

Czy masz coś przeciwko?

Od razu zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Powinieneś do niego pójść – odpowiedziałam bez wahania, by rozwiać jego wszelkie wątpliwości.

– Dobrze to słyszeć. – Wstał z kanapy i popatrzył na mnie ze smutkiem, chowając dłonie do kieszeni dzinsów. – Teraz, gdy wiem, że już nigdy go nie spotkam, pluję sobie w brodę, że nigdy nie zdobyłem się na to, by go zatrzymać, gdy widywaliśmy się przypadkiem na osiedlu. Mówiliśmy sobie tylko „cześć” i każdy szedł

w swoją stronę, zamiast chwilę porozmawiać. Nie sądziłem, że któreś z tych spotkań będzie ostatnim.

Powiedziawszy to, ruszył do drzwi. Pożegnał się ze mną krótkim skinieniem głowy i wyszedł, pozostawiając mnie ze swoimi przemyśleniami.

Jak wiele razy coś w naszym życiu dzieje się po raz ostatni, a my nawet o tym nie wiemy? Nieświadomość odbiera nam zbyt wiele szans, by coś naprawić, zmienić, odbudować.

A śmierć zawsze, ale to zawsze otwiera oczy na to, co przepadło i już nigdy nie wróci.

7. Kuba

Szlag. Podobno łyż są niemęskie, a ja wróciłem do mieszkania i płakałem jak dziecko. Jak dobrze, że nikt mnie podczas tego upadku nie widział.

Musiałem opuścić mieszkanie Zośki, bo to, co mi powiedziała, całkowicie mnie rozwaliło. Wspólne oglądanie zdjęć poruszyło nas bardziej, niż się spodziewałem. A później zrzuciła na mnie bombę, mówiąc, że Sebastian popełnił samobójstwo.

On życia nie stracił.

Umarł, bo go nie chciał.

Wyobrazenie słabego emocjonalnie Seby, który się poddał, stało w ogromnej sprzeczności z tym, jak odbierałem go wiele lat temu.

Dla mnie był raczej szczęśliwym lekkoduchem, z którym można konie kraść. Co się z nim stało, że załamał się do takiego stopnia? Co wydarzyło się w jego głowie, że przestał być dawnym sobą i nic, nawet leki i regularna terapia go nie ocaliły? Przecież zawsze był siłą, zazdrościłem mu tego. Emanował energią, z której uwielbiałem czerpać. Choć... miewał też i gorsze dni. Ale o tym nie lubił rozmawiać. Zamykał się wtedy, prosił o czas. Jakby zmieniał się w kogoś, kogo zupełnie nie znałem. Nie lubiłem tego odległego Seby... Ale później zjawiał się ze swoim zaraźliwym uśmiechem i łobuzerskim stylem bycia i wszystko wracało do normy.

Następnego dnia zebrałem się w sobie i postanowiłem pójść na cmentarz. Zapytałem Martynę, czy chciałaby mi towarzyszyć, lecz

miała inne plany, a wtedy w mojej głowie pojawił się pomysł, by zaproponować to samo Zośce. Nie chciałem, by pomyślała, że się jej narzucam, ale bałem się stanąć nad grobem Sebastiana w pojedynkę. Sam do końca nie rozumiałem tego strachu. Z kimś u boku zdecydowanie byłoby różnie... No i z Zosią nie musiałbym szukać pomnika w ciemno.

Poszedłem do niej około trzynastej. Z balkonu widziałem, że zamknięte dotąd okno jest teraz uchylone, dlatego liczyłem, że ją zastanę. Z moich obserwacji wynikało, że w ogóle często jest w domu, jakby nie wychodziła do pracy. Zastanawiałem się, czym się zajmuje. A może choruje?

Zapukałem do jej mieszkania z duszą na ramieniu, niepewny, czy mi otworzy. Po chwili jednak rozległ się dźwięk odsuwanej łańcuszka zabezpieczającego. Zobaczyłem Zośkę i uśmiechnąłem się lekko. Zauważyłem, że wygląda nieco lepiej niż wczoraj. Nadal była blada i miała podkrążone oczy, ale nie słała się na nogach.

– Cześć, wybac, że to znowu ja, ale...

– Hej. Coś się stało? – zapytała swoim delikatnym głosem.

Zawsze lubiłem jej głos. Był melodyjny, dziewczęcy, przyjemny dla ucha. I choć minęło tyle czasu, a my dorośliśmy, to jedno w ogóle się nie zmieniło.

– Wybieram się na cmentarz. Może... miałabyś ochotę pójść tam ze mną? – zaproponowałem ostrożnie, bo nie miałem pojęcia, jak zareaguje na tę propozycję.

Zagryzła lekko dolną wargę i uciekła spojrzeniem w bok, jakby chciała odmówić, tylko nie wiedziała, jak to zrobić. Szybko wykonałem krok w tył, gotów się wycofać, by nie przysparzać jej cierpienia, a wtedy ona się odezwała:

– W zasadzie to też planowałam się wybrać. – Spojrzała na mnie, jakby nad czymś się zastanawiając. – Poczekaj. – Zniknęła na moment, a następnie pojawiła się z torebką na ramieniu. – Chodźmy.

Zamknęła drzwi na klucz i ruszyliśmy do wyjścia, ramię w ramię.

Bardzo miło mnie zaskoczyła tym, że się zgodziła. Czułem też ulgę, choć jednocześnie liczyłem się z tym, że będę musiał zmierzyć się z bólem Zośki. Już za pierwszym razem mocno to mną wstrząsnęło, teraz wszystko mogło uderzyć jeszcze mocniej. Bardziej namacalnie.

Co innego oglądanie zdjęć i wspomnianie Sebastiana, a co innego stanie nad jego grobem.

Cholera, chyba nadal wypierałem ze świadomości to, że on naprawdę odszedł.

Nasz spacer pełen był zadumy pomimo pięknego, majowego słońca, delikatnego podmuchu wiatru i ciągłego ruchu na ulicy.

Miasto tętniło życiem, my natomiast byliśmy jakby poza tym wszystkim.

Chciałem ją jakoś zagadnąć, spróbować wy badać, jak się czuje i o czym myśli, ale nasza odnowiona znajomość dopiero raczkowała i intuicja podpowiadała mi, że Zośka raczej nie chciałaby być o takie rzeczy wypytywana. Przyjacielska relacja, którą kiedyś mieliśmy, zniknęła. Zaniedbaliśmy ją. Kiedyś Seba był moim najlepszym kumplem, w zasadzie bratem, kimś bliższym niż Darek. Łączyły nas wspólne przygody, przeżycia, głupie pomysły, dowcipy, sekrety.

Zośkę zaś traktowałem niemal jak siostrę. Nasz głos rozsądku, czasem zrzędliva, ale kochana i pomocna jak nikt inny. Uwielbiałem ją, chociaż nigdy tego ode mnie nie usłyszała. Zdecydowanie woleliśmy z Sebą robić jej na złość i się z nią przekomarzać. Tak uroczo się na nas wkurzała...

– Jak się dziś czujesz? – Akurat przechodziliśmy przez przejście dla pieszych, gdy w końcu odważyłem się przerwać trwającą między nami ciszę. Dość już miałem tego, że żadne z nas nic nie mówi.

– Jest lepiej niż wczoraj, dziękuję, że pytasz – odpowiedziała grzecznie i nawet lekko się do mnie uśmiechnęła.

Chciałem wiedzieć o niej tyle rzeczy... Czym się obecnie zajmuje, jak sobie radzi, od kiedy mieszka w mieszkaniu po babci, na ile się

zmieniła przez te wszystkie lata i czy jest w niej coś z tamtej Zośki, którą znałem i tak bardzo lubiłem.

Choć fizycznie była na wyciągnięcie ręki, spoglądała na mnie i uśmiechała się, to tak naprawdę dzieliła nas gruba, pancerna, przezroczysta szyba. Odgradzała się od jakiegokolwiek dialogu czy próby porozumienia, złapania ponownego kontaktu.

Cierpiała. To oczywiste. Minęły cztery miesiące od samobójczej śmierci jej brata bliźniaka, z którym na wielu płaszczyznach stanowiła niemal jedność, i kto jak kto, ale ja miałem tego świadomość. Wcześniej jej rodzice zginęli w tragicznych okolicznościach, co w pewnym sensie doprowadziło do tamtej tragedii. Tyle udało mi się dowiedzieć podczas wczorajszego oglądania zdjęć. I byłem więcej niż pewien, że to dopiero wierzchołek góry lodowej...

Bliżej cmentarza zaczęły pojawiać się stragany ze zniczami i kwiatami na grób. Postanowiłem kupić znicz u miłego starszego pana, ale Zośka poprosiła, byśmy zatrzymali się przy stoisku staruszki w czerwonym góralskim fartuchu.

– Dzień dobry, pani Stanisłavo – powiedziała do niej z daleka i uśmiechnęła się w sposób, który wydał mi się... otulający.

Choć prawdopodobnie tego typu określenia nie są zbyt męskie, ale właśnie tak odebrałem jej uśmiech.

– Ach, Zosieńka! Mam dziś coś dla Sebusia. – Starsza pani z niezliczoną ilością głębokich zmarszczek na twarzy rozpromieniła się, po czym zerknęła pod drewnianą ladę straganu i po chwili wyciągnęła stamtąd bukiet goździków.

– Dziękuję pięknie! – odpowiedziała Zośka i sięgnęła do torebki po portfel. – Ile płacę?

– Dwadzieścia złotych.

– Pani Stanisławo... – Zosia westchnęła z przyganą i położyła na ladzie banknot pięćdziesięciozłotowy. Gdy staruszka sięgnęła do kasetki, by wydać resztę, powstrzymała ją: – Nie trzeba.

Kobieta próbowała się z nią wyklócać, ale ona tylko posłała jej kolejny ciepły uśmiech, przytuliła do piersi bukiet kwiatów i pożegnawszy się, ruszyliśmy w kierunku bramy głównej cmentarza.

Zażyłość, którą ujawniła ta krótka rozmowa, musiała oznaczać, że Zośka jest stałą klientką pani Stanisławy. Musiały też rozmawiać, przecież staruszka wiedziała, że te kwiaty są dla Sebastiana.

– To taka kochana kobieta, a nigdy nie chce ode mnie takiej kwoty, jaką powinna... Kupuję u niej, bo ma zawsze świeże kwiaty, ale to też taki człowiek z sercem na dłoni. Żal mi się jej zrobiło, że musi stać codziennie po kilka godzin na stoisku, przecież w tym wieku powinna odpoczywać, a nie pracować, ale kiedy jej to powiedziałam, to wiesz, co ona na to?

– Co? – zapytałem zainteresowany. Zośka wreszcie do mnie mówiła, i to sama z siebie. Miła odmiana.

– Że ona to robi z pasji, gdyby nie ten stragan, rozmowy z ludźmi i czas na świeżym powietrzu, to mogłaby już tylko szykować się do trumny, a ona jeszcze ma potrzebę posiadania sensu życia. Sprzedaż kwiatów jest jej sensem – odpowiedziała i popatrzyła na mnie uważnie.

Byłem pod wrażeniem.

– Sebastian leży w nowej części cmentarza. Rodzice w starej – dodała.

– Dlaczego nie zostali pochowani na cmentarzu w miasteczku, w którym mieszkaliście? – zapytałem.

– Tam nie ma cmentarza, a kościół został zamknięty wiele lat temu. Przyłączono nas do tej parafii.

Zacisnąłem palce na niesionym w dłoni zniczu, zdając sobie sprawę, jak wielki nietakt popełniłem, bo przecież kupiłem tylko jeden, zupełnie zapominając o nabyciu jeszcze jednego dla mamy i taty Zośki.

– Pewnie będziesz chciała pójść także do rodziców – ni to zapytałem, ni to stwierdziłem.

Wzięła głęboki oddech i zwiesiła głowę, a rozpuszczone, jeszcze lekko wilgotne po myciu włosy częściowo zakryły jej twarz.

– Nie pomyśl o mnie źle, ale nie dzisiaj – odparła cicho.

– Rozumiem.

W zasadzie nie rozumiałem, co oznaczało „nie dzisiaj” i dlaczego to powiedziała, ale nie czułem, że mam prawo pytać.

– To trochę dziwne, ale odkąd umarł Sebastian, ja... Nie jestem w stanie za jedną wizytą na cmentarzu odwiedzić jego grobu, pójść do rodziców i jeszcze do babci. To po prostu dla mnie za dużo.

Wtedy z całą mocą uświadamiam sobie, ile straciłam. Dlatego gdy idę do Seby, to nie odwiedzam już żadnych innych grobów. Jeśli jestem u rodziców, to wówczas wizytę u babci odkładam na inny dzień. Wiem, że to brzmi absurdalnie – powiedziała zakłopotana i popatrzyła na mnie tak, jakby czekała, aż zacznę ją oceniać.

– Każdy radzi sobie z bólem straty na własny sposób. Twój jest właśnie taki.

Wyglądała, jakby moje słowa przyniosły jej ulgę.

Weszliśmy na teren cmentarza. Tu i ówdzie kręcili się ludzie, niektórzy oporządzali pomniki swoich bliskich, płyty nagrobne mieniły się w promieniach słońca, atmosfera panująca wokół nie była tak przytłaczająca jak chociażby pierwszego listopada. Wtedy i dzień krótki, i pogoda smutniejsza. Zośka zamilkła i rozumiałem, że prawdopodobnie przygotowuje się mentalnie na to, co ma za chwilę nastąpić.

Moje rozmyślenia prysły, gdy w końcu się zatrzymaliśmy. To był ten moment. Chwila, w której oddech uwiązał mi w płucach. Sekunda, gdy wzrok padł na czarną tabliczkę przytwierdzoną do krzyża z jasnego drewna. Białe literki i cyferki układały się w bolesną całość.

Imię. Nazwisko. Data urodzenia. Data śmierci.

– Jedenasty grudnia – wyszeptalem pod nosem, choć wiedziałem, że Zośka usłyszała.

– Ostatnie święta to był koszmar – przyznała w odpowiedzi.

Przełknąłem ślinę z ogromnym trudem. Nawet nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Ja spędziłem wigilię z rodzeństwem i Martyną. Było wesoło i miło. Wymieniliśmy się prezentami, zjedliśmy pyszną kolację, którą przygotowały moja narzeczona i siostra. Co w tym czasie robiła Zośka? Jak ona to przetrwała?

Po plecach przebiegł mi nieprzyjemny dreszcz. Byłem jak spetryfikowany. Nie mogłem się ruszyć.

Grób Sebastiana nie miał jeszcze pomnika. Mogiłę otaczała drewniana skrzynia, stało na niej kilka zniczy, obok wiązanka sztucznych kwiatów. Zośka położyła swój bukiet na środku. Dopiero wtedy drgnąłem i zapaliłem znicz. Postawiłem go tuż przy krzyżu.

Poruszałem się jak cyborg. Dłonie zwinęły mi się w pięści.

Przycisnąłem jedną z nich do ust, bo desperacko próbowałem pozbyć się tej ogromnej guli z gardła. Naprawdę niewiele brakowało, bym zalał się łzami. I to pomimo lat zerwanego kontaktu. Chyba dlatego to szokowało i bolało aż tak bardzo. Ten utracony czas, którego już nigdy nie będę mógł odzyskać. Wszystkie te razy, gdy widziałem się z Sebastianem przypadkiem i nie zamienialiśmy nawet słowa, bo pęd dorosłego życia był ważniejszy.

Już nigdy go nie spotkam. Nie powiemy sobie „cześć”. Nie przystanę i tak po prostu nie zapytam: „A tak w ogóle, stary, co u ciebie słychać?”.

– Chciałbym coś teraz powiedzieć... – zacząłem z trudem, ale słowa rozmywały mi się gdzieś na granicy ust. Nie byłem w stanie spojrzeć na Zośkę. Dostrzegałem ją tylko kątem oka. Wydawała mi się taka malutka, drobna, jakby przytłoczona ciężarem, który spadł na jej barki jedenastego grudnia.

– Doceniam to. Naprawdę. Wiesz, że w ogóle chciałbyś... – Stała obok, a jej głos brzmiał tak, jakby docierał z bardzo daleka. –

Chociaż to, że milczymy, wcale nie jest takie złe. A w zasadzie dużo lepsze niż pytania, które często zadają mi tutaj ludzie. Podchodzą,

patrzają na datę urodzenia i śmierci, szybko obliczają, ile Sebastian miał lat, i chcą wiedzieć, jak umarł. – Westchnęła ciężko i dodała zmienionym nieco głosem: – „To pewnie rak”. Albo:

„Zginął w wypadku?”. Przynajmniej zawsze na to, co powiedzą, bo nie jestem w stanie przyznać, że to była śmierć samobójcza.

Mówiła. Cichym, pełnym bólu głosem, ale jednak. To wiele dla mnie znaczyło, tym bardziej że obecnie nie łączyła nas już bliska znajomość. Prawdopodobnie jednak potrzebowała się po prostu przed kimś otworzyć. Trzymała w sobie te wszystkie wspomnienia, cierpienia... A coś takiego na dłuższą metę niszczy. Jest jak równia pochyła. Prowadzi do zguby. Bo ile jest w stanie udźwignąć jeden człowiek?

– Też się zastanawiałem – przyznałem pod nosem.

– To normalne. Nie mam ci tego za złe – odparła szybko i wtedy spojrzeliśmy na siebie, zawiązując coś w rodzaju milczącego porozumienia.

Jej blada twarz z wyraźnie widocznymi kośćmi policzkowymi wyrażała niemożliwe do opisanego cierpienie.

– Nigdy bym nie pomyślał, że Seba... Wiesz, kiedyś był duszą towarzystwa. Naszą siłą.

– To prawda. Wszystko się zmieniło, gdy straciliśmy rodziców.

Z chwili na chwilę w zasadzie. On był zawsze bardzo związany z tatą.

Wpatrzony w niego jak w obrazek. Wszystko robili razem, zawsze powtarzał, że chce być kiedyś takim mężem dla swojej żony, jak nasz ojciec dla matki. W dniu ich śmierci stracił gigantyczną część samego siebie – wyznała i szybkim, niemal desperackim gestem otarła bezgłośnie łzy toczące się jej po policzkach.

Moi rodzice byli daleko stąd i ja nigdy nie miałem z nimi tego, co Zośka i Seba ze swoimi. Za dzieciaka bardzo im tego zazdrościłem. Tej miłości, przywiązania, troski i opieki, którą byli otoczeni pomimo dorastania i coraz większej samodzielności.

– Gdzieś musi być kres twojego bólu. To niemożliwe, żeby jedna osoba bez końca dźwigała tak wiele.

Chciałem ją w ten sposób jakoś pocieszyć, choć wydawało mi się, że wyszło to straszliwie nieudolnie. Nie byłem zbyt dobry w niesieniu emocjonalnej pomocy.

– Chyba tak... Chyba wreszcie na horyzoncie zaczynam widzieć kres własnego cierpienia.

8. Zośka

Nie spodziewałam się, że wspólna wizyta z Kubą na cmentarzu przyjmie taki obrót. Po prostu puściły mi jakieś wewnętrzne hamulce i zaczęłam mówić. Chociaż przez lata zmieniło się sporo, to od razu zwróciłam uwagę na coś, co pozostało niezmiennie: on potrafił słuchać. Nie przerywał, nie starał się pocieszać sztucznie, na siłę.

Gdy pocieszał, to po prostu wiedziałam, że słowa wychodzą prosto z jego serca.

Może i zbyt śmiało obdarzyłam go czymś na kształt zaufania, prawdopodobnie z sentymentu dla dawnych czasów, ale samotność miała na mnie w ostatnim czasie przedziwny wpływ.

Dochodziły do głosu także emocje związane z ciążą. Jednak o tym nie zamierzałam jeszcze Kubie mówić. Zbyt wcześnie, by z odwagą dzielić się tą informacją.

Małeństwo było moim małym cudem i powodem, dla którego chciałam żyć, a nawet zacząć nieśmiało myśleć o przyszłości.

Wierzyłam, że to właśnie dzięki dziecku nadejdą w końcu lepsze dni.

Bo, jak słusznie zauważył Kuba, gdzieś musiał znajdować się kres mojego cierpienia.

Nie wiem, ile czasu spędziliśmy nad grobem Sebastiana. Mijające minuty przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. W którymś momencie po prostu ruszyliśmy w drogę powrotną, ale ani mnie, ani jemu nie przeszło przez usta żadne słowo pożegnania. Wierzyłam, że mój brat jest gdzieś obok, że widzi i słyszy... Jednak nigdy się z nim nie żegnałam, odchodząc znad grobu.

Póki żył w mojej pamięci... Był.

Majowe słońce pieściło mi skórę twarzy swoimi promieniami.

W innych okolicznościach cieszyłabym się tym, co mnie otacza, czerpała przyjemność z pięknej pogody, ruchu ulicznego, codzienności. Ale zobojętniałam na wszystko, co kiedyś zwracało moją uwagę.

Niespodziewanie, podczas rozmowy z Kubą, która była kolejnym, tym razem niegroźnym powrotem do przeszłości, zadzwonił mój telefon. Wyciągnęłam komórkę z torebki i zerknęłam na wyświetlacz.

Serce zamarło mi w piersi. Przystanęłam na środku chodnika, Kuba natychmiast zrobił to samo. Musiał zauważyć coś w wyrazie mojej twarzy, bo zapytał:

– Coś się stało?

Tak. Po stokroć tak.

Dzwonił Radek. A ja, zamiast od razu odebrać, stałam jak słup soli, nie umiejąc wykonać tego jednego przesunięcia kciukiem po ekranie, i połączenie dobiegło końca.

Czy to działa się naprawdę, czy tylko w mojej głowie?

Spanikowałam. Serce w jednej sekundzie rozpedziło mi się w piersi. Byłam oszołomiona i zaskoczona, a ponad wszystko za nic nie chciałam dopuścić do siebie nadziei, że może... przemyślał, zatęsknił. I dlatego dzwonił. Bałam się kolejnego bólu rozczarowania. Nie chciałam, żeby moje myśli pofrunęły zbyt wysoko, bo Radek już raz dotkliwie mnie skrzywdził i wiedziałam, że może zrobić to ponownie za pomocą jednego zdania.

Chłodny umysł. Spokój. Kalkulacja. Tego potrzebowałam, zanim do niego oddzwonię.

– Bardzo cię przepraszam, ale... muszę już lecieć – wydukałam nieobecnym głosem.

Popatrzyłam przelotnie na Kubę, choć mój wzrok był rozbiegany, a ja sama rozemocjonowana tak bardzo, że nie potrafiłabym tego ukryć. Jego twarz wyrażała niepewność. Wpatrywał się we mnie z powagą i wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, lecz z całej siły się powstrzymywał. Może to i lepiej. Nie byliśmy przyjaciółmi, by zdradzać na swój temat więcej, niż już powiedziałam. Pożegnałam się i zanim zdecydował się na jakąkolwiek reakcję, szybkim krokiem ruszyłam przed siebie.

Nie pamiętam drogi z cmentarza do mieszkania. W mojej głowie był tylko Radek. Cała tęsknota za nim, rozczarowanie, które potęgowało się tym bardziej, im więcej miałam czasu na myślenie i analizowanie wszystkiego.

Usiadłam na kanapie w salonie, w butach i z torebką nadal na ramieniu. Trzymałam telefon przed sobą w obu dłoniach, wpatrywałam się w ciemny ekran i sama nie wiem, na co czekałam...

Aż mój były znów zadzwonił? Chyba liczyłam, że to on wykona jeszcze jeden ruch. Sama bardzo bałam się to zrobić.

W końcu jednak wybrałam jego numer i z sercem w gardle odliczałam każdy sygnał. Jeden. Drugi. Trzeci.

– Halo?

Ten głos. Rozległ się po drugiej stronie, a moją pierwszą myślą było: „Nareszcie cię słyszę”. Zaraz jednak uświadomiłam sobie, że w tym jednym krótkim słowie Radek zawarł cały ocean niechęci.

Zabrzmiało oschle, chłodno. I od razu wiedziałam, że ta rozmowa nie przebiegnie tak, jak bym sobie życzyła.

– Hej – wydukałam przez ściśnięte gardło. – Dzwoniłeś do mnie.

– Owszem – potwierdził. – Chciałem ci przypomnieć, że to najwyższy czas, byś zabrała z mojego mieszkania resztę swoich rzeczy.

Ból. Opanował serce, całą klatkę piersiową. Poczułam, jak w oczach zbierają mi się łzy, które już jeden drżący oddech później spłynęły po moich policzkach. Bezgłośnie, tak żeby Radek nie mógł być ich świadomy.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – Nie chciałam, by to zabrzmiało tak żałośnie, jak w rzeczywistości zabrzmiało. A jednak.

– A co więcej chciałabyś usłyszeć? – fuknął, odpowiadając pytaniem na pytanie.

– Cokolwiek... Coś, co by oznaczało, że po drugiej stronie nadal jest mężczyzna, z którym byłam szczęśliwa. – Mój cichy głos przepełniał ból.

– To przeszłość. Pora, byś to wreszcie zaakceptowała. – Nie pozostawiał mi złudzeń. Nawet maleńkiej iskierki nadziei. – Kiedy przyjdiesz po...

– W ciągu kilku dni – przerwałam mu, bo nie byłam w stanie dłużej tego znieść.

Rozłączyłam się bez pożegnania, zanim on by to zrobił. W życiu mierzymy się z różnymi trudnymi sytuacjami, jednak chwila, w której osoba przez nas kochana zmienia się w kogoś nie do poznania... To pozostawia w człowieku trwałe ślady. We mnie też zostawiło, to na pewno. Sądziłam, że znałam Radka jak własną kieszeń. Sporo razem przeżyliśmy. Był dla mnie opoką po śmierci rodziców, wspierał też po stracie Sebastiana, choć już inaczej, jakby mniej. Tłumaczyłam to po prostu tym, że sam cierpiał, bo był z moim bratem blisko, przyjaźnili się. Otrzymał cios prawie tak silny, jak ja sama. Nie oczekiwałam więc, by podnosił mnie z tego upadku, skoro sam ledwo się trzymał.

Jednak dopiero czas i ta perspektywa, którą zyskałam od dnia wyprowadzki z jego mieszkania, pozwoliły mi pojąć, że on się po prostu oddalał. Z dnia na dzień, stopniowo, coraz bardziej. A ja tego nie dostrzegałam, tłumaczyłam na miliony sposobów, być może po to, by nie dokładać sobie kolejnych zmartwień. Naiwnie sądziłam, że dziecko na nowo nas odbuduje. W końcu przed śmiercią Sebastiana rozmawialiśmy o powiększeniu naszej rodziny, w planach przecież mieliśmy także formalizację związku. Najwyraźniej tamte pragnienia Radka uległy zatarciu. Szkoda tylko, że zapomniał mnie o tym poinformować. Kochaliśmy się bez zabezpieczenia, tak jak wcześniej, przez co plany starania się o dziecko wydawały mi się cały czas aktualne.

A gdy Bóg postanowił obdarować nas tym szczęściem, mój partner uświadomił sobie, że jednak nie tego chce.

Ukryłam twarz w dłoniach. Byłam w emocjonalnej rozsypce od dawna, ale teraz znów zrobiło mi się gorzej. Znowu dotarło do mnie, że straciłam po kolei wszystkie bliskie osoby, każdego, na kim mi zależało. Wiele lat temu babcię. Rodziców, tak nagle, z chwili na chwilę. Sebastiana, bo sam tak zdecydował i nie chciał już niczyjej pomocy. Wreszcie Radka, bo zmieniły mu się plany i absolutnie nie mógł w nich uwzględnić naszego dziecka.

Zostało mi tylko ono, maleństwo, które rośnie pod moim sercem. Ta iskierka nadziei, że jeszcze może będzie lepiej, że nadejdą dobre dni.

Przysięgam sobie, że zrobię wszystko, by było zdrowe i szczęśliwe, gdy już przyjdzie na ten szarobury świat.

*

Nadszedł dzień moich pierwszych badań prenatalnych. Najpierw pojechałam do laboratorium na pobranie krwi, a później na bardzo dokładne i specjalistyczne USG. Leżałam na kozetce i ze wzruszeniem ściskającym gardło wpatrywałam się w tego maleńkiego człowieka, który nie był już tylko plamką z bijącym serduszkiem. Teraz dzieciątko miało już wykształconą główkę, która stanowiła obecnie połowę długości ciała, oraz tułów, mikroskopijne rączki i nóżki.

Pan doktor ze skupieniem słuchał szumów z krwi pępowinowej, dokładnie i w powiększeniu oglądał moje dziecko, sprawdzał obecność kości nosowej. Tłumaczył mi wszystko, wyjaśniał, co jest dla niego podczas tego badania istotne.

Na końcu, gdy siedzieliśmy już przy biurku, wręczył mi pamiątkowe zdjęcie i poinformował, że badanie ultrasonograficzne nie wykazało żadnych oznak mogących świadczyć o obecności chorób genetycznych. Polecił jednak poczekać na wyniki badań krwi, które miały to jeszcze potwierdzić.

Z łagodnym doznaniem ulgi wróciłam do mieszkania. Ostatnio to właśnie tutaj czułam się najbezpieczniej. Stworzyłam sobie własną bezpieczną przystań, do której nie miał wstępu nikt, kto mógłby skrzywdzić mnie i mojego maluszka.

Poranne emocje prawdopodobnie w jakiś magiczny sposób powstrzymały mdłości, lecz po południu wszystko wróciło, a ja znów zaległam na kanapie z miską pod ręką. Leżałam, wpatrzona w jakiś punkt za oknem, i dotykałam swego podbrzusza. Świadomość, że jest tam dzidzius, że się tam rozwija, łagodziła odrobinę moje cierpienie.

Dla ciebie zniosę wszystko – pomyślałam, mając nadzieję, że ten maleńki człowieczek czuje moją miłość tak mocno, jak ja sama.

*

Rano otrzymałam wyniki badań krwi. Podobnie jak badanie USG, nie wykazały prawdopodobieństwa wystąpienia chorób genetycznych u mojego dziecka. Wreszcie przypomniałam sobie, jak to jest się z czegoś szczerze cieszyć. I przez jeden cudowny dzień nic nie było w stanie mi tej radości odebrać.

Być może pozytywne emocje sprawiły, że tego dnia fizycznie czułam się znacznie lepiej. Postanowiłam skorzystać z przyływu sił i umówiłam się z Werą na spacer w parku – lekarz zalecił, by przebywać jak najwięcej na świeżym powietrzu, a wyśmienita pogoda temu sprzyjała. Gdy przechadzałyśmy się alejką kwitnących kasztanowców, wróciłam pamięcią do ostatniej rozmowy telefonicznej z Radkiem. Po starannym odsuwaniu od siebie myśli o nim ciężko było znów wejść w to bagno ociekające rozczarowaniem i bólem złamanego serca. Czułam jednak, że chcę się tym z moją koleżanką podzielić.

– Naprawdę zadzwonił tylko po to, by ci oświadczyć, że masz zabrać swoje rzeczy? – Wera patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

Do tej pory znała Radka głównie z moich opowieści, w których chwaliłam go za to, jakim jest mężczyzną. Teraz obie miałyśmy wrażenie, jakbym opowiadała o zupełnie innym człowieku.

– Dokładnie tak – potwierdziłam.

– Ja w to normalnie nie wierzę... Gdzie on zgubił swoje jaja?! –

Podniosła głos tak bardzo, że idący tą samą ścieżką spacerową mężczyzna w średnim wieku spojrzał na nas z ukosa.

Wera jednak nie należała do osób, które przejmowałyby się takimi szczegółami. Zazdrościłam jej od zawsze tej życiowej siły i hardości. Chyba przez bycie tak silną miała łatwiej niż ja, której liczne upadki ani trochę nie uodporniły na zadawane przez los ciosy.

– Szczerze? Też chciałabym to wiedzieć. W ogóle go nie poznaję – odparłam drżącym głosem.

– Zapytał w ogóle, jak się czujesz albo co z dzieckiem?

– A coś ty...

– Nie dorósł. To zwykły gówniarz, który uciekł w gierki komputerowe, gdy rzeczywistość go przerosła – wycedziła ze złością, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Pomyślałam ostatnio, że może to nie tylko kwestia gier komputerowych i kolegów, ale...

– Sądysz, że kogoś poznał?

– Zaczęłam brać to pod uwagę.

Wera westchnęła i popatrzyła na mnie znacząco.

Myślałyśmy o tym samym, lecz ona po prostu nie chciała kopać leżącego, dlatego taktownie zamilkła.

Usiadłyśmy na ławce. Dzień był słoneczny, a łagodne promienie przedzierały się przez korony drzew nad naszymi głowami. Delikatny wiatr poruszał liśćmi, a ja wsłuchałam się w przyjemny szum. Przez jakiś czas po prostu tak trwałyśmy, ciesząc oczy widokiem zazielenionego parku. Mój wzrok zatrzymywał się na dłużej na każdej mamie z dzieckiem. Za kilka miesięcy to ja miałam spacerować z wózkiem tymi alejkami. Wyobraziłam sobie siebie w tej roli i wydawało się to tak cudownie niewiarygodne... Położyłam dłoń na brzuchu i kolejny raz pomyślałam, że to maleństwo jest moim ratunkiem. Zesłanym przez Sebastiana. W końcu to właśnie w miesięcznicę jego śmierci dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

A termin porodu był bliski rocznicy jego odejścia. Jakby zesłał mi kogoś na swoje miejsce, wiedząc, ile miłości mam do zaoferowania.

– Czujesz się chyba odrobinę lepiej, co? – zapytała po dłuższej chwili moja koleżanka.
– To zależy od dnia. Czasem mam więcej randek z toaletą, innym razem mniej. Staram się wykorzystywać te okienka lepszego samopoczucia, by podnieść się z kanapy, bo okropnie irytuje mnie to leżenie – odpowiedziałam z nietęgą miną.

– Już niebawem skończy ci się pierwszy trymestr i nadejdą lepsze czasy – pocieszyła mnie Wera z uśmiechem.

Kto jak kto, ale ona mogła coś o tym wiedzieć.

– Oby, bo sama wiesz, że mdłości nie zawsze kończą się wraz z nadejściem drugiego trymestru – odparłam sceptycznie.

Miałam nadmiar wolnego czasu, więc dużo czytałam w internecie o przebiegu ciąży i związanych z nią dolegliwościach. Z jednej strony miło było się przekonać, że nie tylko ja w najgorszych momentach bałam się, że wyzionę ducha, a z drugiej strony niektóre artykuły tylko napędzaly moją spiralę strachu i niepokoju, i po tego typu lekturze robiło mi się jeszcze gorzej.

– Fakt, jeśli będziesz miała pecha, to pomęczysz się dłużej – przyznała Wera.

– Ja wiem, że może jeszcze nie powinnam tego mówić, kiedy tak cierpisz przez te wymioty, ale uwierz mi...

Przetrwasz to wszystko, a później powiesz, że było warto.

Jej słowa sprawiły, że uśmiechnęłam się lekko.

– Wera... Ja już teraz wiem, że warto.

*

Przez doległości ciążowe schudłam pięć kilogramów. Ubrania, które do tej pory leżały idealnie, teraz na mnie wisały. Zastanawiałam się, kiedy staną się za ciasne. Z pewnością już niedługo. Po raz pierwszy stanęłam przed lustrem, podniosłam koszulkę i zrobiłam sobie zdjęcie brzucha od boku. Dostrzegłam delikatną wypukłość, której osoba postronna nie miałaby prawa zauważyć. Jednak ja widziałam.

Mój brzuch zaczął się zmieniać. Był jeszcze niewielki, ani trochę nie przypominał ciążowego, ale ja dostrzegłam różnicę. No i przede wszystkim piersi – mój drobny biust znacznie się powiększył, a żyły uwidoczniły się pod cienką skórą. Miałam świadomość, że dzieje się coś, co zmieni mnie na zawsze. Miałam zostać mamą. W zasadzie to już nią zostałam, choć moje dziecko było jeszcze takie maleńkie.

Wokół serca rozlało mi się przyjemne ciepło...

Czekałam na czas, gdy dzidzius urośnie na tyle, że poczuję jego ruchy. Gdy zacznę słyszeć mój głos, a wtedy będę mogła do niego lub do niej mówić.

No i płęć. Byłam bardzo ciekawa, kto rośnie pod moim sercem. Czy to dziewczynka, czy chłopczyk... Na USG prenatalnym lekarz wspomniał, że może spróbować to wstępnie określić, ale na potwierdzenie i tak musiałabym poczekać do szesnastego tygodnia, poprosiłam więc, by nic nie mówił, wolałam dowiedzieć się czegoś, co raczej pewne, niż przyzwyczajając się do myśli, która mogłaby się okazać błędna.

Korzystając z tego, że mdłości trochę zelżały, wmusiłam w siebie jogurt, po czym otworzyłam pudełko ze zdjęciami, które zostawił u mnie Kuba, i zaczęłam przeglądać jego zawartość, tym razem w samotności. Wiedziałam już, co znajdę na fotografiach, więc czułam odwagę, wierzyłam, że ból straty nie zmiecie mnie z powierzchni ziemi.

Uśmiech Sebastiana. Jego beztroska. Łobuzerskie spojrzenie.

Wiecznie rozczochrane włosy, które uwielbiał przeczesać palcami.

Mina świadcząca o tym, że w jego głowie zrodził się kolejny szalony pomysł.
On i Kuba tak bardzo się wtedy dopełniali. Byli podobni, choć nie identyczni, ale zawsze nadawali na tych samych falach.
Piękne wspomnienia, wspaniałe czasy.
Utracone bezpowrotnie.

9. Kuba

Może to dziwne, ale czułem się, jakbym po wizycie nad grobem Seby przechodził żałobę. Nie potrafiłem się tak po prostu uśmiechać, a i skupienie na pracy przychodziło mi z trudnością. Olaf, mój pracownik, obserwował mnie uważnie zza ekranu swojego komputera, gdy siedzieliśmy na zapleczu studia i obrabialiśmy zdjęcia z ostatniej sesji.

– Wszystko okej? Wydajesz się jakiś przybity. I chyba kawa ci nie smakuje, bo kubek stoi obok ciebie już prawie dwie godziny i nie wzięłeś nawet łyka – powiedział ostrożnie.

Rzuciłem okiem na kolegę i pomyślałem, że naprawdę niezły z niego obserwator.

– Mam trochę spraw do przemyślenia – odpowiedziałem wymijająco, bo nie chciałem wprowadzać go w całą historię mojej znajomości z Sebą i tego wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnich dniach. Zupełnie przypadkowe spotkanie z Zośką, informacja o śmierci dawnego przyjaciela, wizyta na cmentarzu...

– Gdybyś chciał pogadać, to wiesz.

– Wiem, stary. Wiem. Dzięki. – Uśmiechnąłem się do niego z wdzięcznością i wypilem duszkiem zimną, okropną w smaku kawę, którą miałem ochotę natychmiast zwrócić.

Drzwi od studia otworzyły się raptownie, a do środka jak burza wpadła moja druga pracownica, Justyna. Na ramieniu miała przewieszoną torbę ze sprzętem fotograficznym, a na czubku głowy założone okulary przeciwsłoneczne. I była wściekła.

– Pamiętacie tę parę młodą, Karinę i Jacka? – zapytała od wejścia, w emocjach zapominając o przywitaniu.

– Tak, mieli sesję ślubną jakieś trzy tygodnie temu – odparł Olaf, zerknąwszy do swojego terminarza. – Co z nimi?

– Zadzwoiła do mnie ona. Z pretensjami, że ile mają czekać na reportaż ślubny.

– Przecież w umowie mają punkt, że czas oczekiwania na odbiór materiałów wynosi do trzech miesięcy – zdziwiłem się, bo przecież sam układałem treść tego dokumentu.

– No właśnie! – wykrzyknęła rozemocjonowana Justyna. Jej jasne, lekko falowane włosy poruszały się lekko od gwałtownych ruchów głową. – To samo powiedziałam tej Karinie. Stwierdziła, że zapis „do trzech miesięcy” oznacza, że równie dobrze mogą spodziewać się odbioru reportażu ślubnego wcześniej, no i oni właśnie tego od nas oczekują.

– To już ich problem. Dostaną najwcześniej za dwa tygodnie – powiedział ostro Olaf. Jego twarz przybrała kolor intensywnej czerwieni, przez co włosy mężczyzny wydały się jakby bardziej rude niż zwykle.

To on odpowiadał za obróbkę filmu, więc nic dziwnego, że się zdenerwował, tym bardziej że według umowy miał na to zlecenie jeszcze sporo czasu.

– Paniusia zagroziła, że wystawi nam jedną gwiazdkę i wyczerpującą, negatywną opinię wszędzie tam, gdzie tylko się da – wydyszała Justyna i opadła na krzesło przy swoim biurku, fukając ze złością.

Rozumiałem te emocje. Klienci zdarzali się różni i czasem trafiało się właśnie na takich, którzy nie rozumieli, że nie są jedyni i że ich tak samo jak innych obowiązuje kolejka oraz czas oczekiwania.

Zazwyczaj, choć oczywiście nie zawsze, najbardziej problematyczne

okazywały się pary, które brały najdroższy pakiet ślubny z naszej oferty. Sypnęli kasą i uważali się za klientów lepszej kategorii, którzy mają prawo nie wiadomo czego wymagać.

- Niech wystawi, odpiszemy jej wtedy w odpowiedni sposób – skwitowałem ze wzruszeniem ramion i popatrzyłem na moich pracowników.
- Nie martwcie się, szkoda nerwów.
- Chciałabym być taka spokojna jak nasz szef – zwróciła się do Olafa Justyna.
- Spokoju mu nie brakuje, za to dobrego humoru dzisiaj ewidentnie.
- Och, coś się stało? – Twarz mojej pracownicy złagodniała i przybrała zatroskany wyraz.
- Nic, czym byście musieli się martwić.

Znali mnie na tyle, by wiedzieć, że starałem się za wszelką cenę nie mieszać prywaty z sprawami zawodowymi. Nie chodziło o to, że byłem służbistą, bo mnie i mój zespół łączyły bardzo przyjazne stosunki. Dużo rozmawialiśmy, siedząc przy komputerach, często żartowaliśmy i się śmialiśmy. Lubiłem ich – wszystkich i każdego z osobna. Tego dnia w naszym gronie brakowało Bartka, który ogarniał aktualnie sesję w terenie. Jego także, podobnie, jak Justynę i Olafa, darzyłem wielkim szacunkiem. Dbałem, by czuli się dobrze w miejscu pracy i żeby wynagrodzenie również było dla nich satysfakcjonujące. Po prostu nie przekraczałem pewnych granic w naszych relacjach.

Resztę dnia spędziliśmy na obróbkach. W międzyczasie przyszło dwóch klientów, by wykonać fotografie do dowodów osobistych, czym ja się zająłem, a kwadrans przed końcem pracy do studia wpadła Martyna.

– Hej! Dasz porwać się chwilę wcześniej? – zapytała i uraczyła mnie tym swoim zalotnym uśmiechem.

– Sze fuńcio, nie przejmuj się, zamkniemy cały ten przybytek na cztery spusty! – krzyknęła zza biurka Justyna.

– I włączymy alarm! – dodał Olaf.

– Widzisz? Tacy pracownicy to skarb! – Twarz mojej narzeczonej jeszcze bardziej się rozpromieniła.

– Do jutra w takim razie! – pożegnałem się z pracownikami i chwilę później wyszedłem ze studia, trzymając Martynę za rękę.

Od razu skierowaliśmy się do jej zaparkowanego kawałek dalej samochodu. Jeździła białym seatem Ibiza i uwielbiała to auto, głównie za to, że było po prostu małe i wszędzie mogła się nim wcisnąć.

– Mama zadzwoniła dziś rano i zaprosiła nas na obiad – poinformowała. – Powiedziałam, że przyjedziemy.

Przytaknąłem, usadowiłem się na miejscu pasażera i zapiąłem pas.

Cóż, moja przyszła teściowa była dość specyficzną kobietą.

Razem z mężem prowadziła sklep zajmujący się sprzedażą i montażem okien oraz drzwi, stanowili zgodne małżeństwo, dobrze sobie radzili.

I choć bardzo ich lubiłem, to jednak pan Dariusz zaliczał się swoim sposobem bycia do grona tak zwanych zgredów, podczas gdy jego żona w swojej ekstrawertycznej naturze czasami nieświadomie wchodziła ludziom na głowę. A jej ulubionym od jakiegoś czasu tematem był oczywiście nasz ślub. Wiedziałem już, że dzisiejsze popołudnie spędzę przy niewątpliwie przepysznym obiedzie (pani Anna świetnie gotowała!) i inwigilowaniu naszych organizacyjnych postępów.

Czekało nas pół godziny drogi, bo przyszli teściowie mieszkali kilkanaście kilometrów za miastem, więc miałem czas, by opowiedzieć Martynie o mojej wizycie na grobie Sebastiana i rozmowach z Zośką. Byliśmy jedną z tych par, które nie mają przed sobą tajemnic, więc oczywiście i o tym musiałem powiedzieć mojej narzeczonej.

– Żałuję, że nie mogłam pójść tam z tobą, ale obiecałam mamie, że pojedę z nią do lekarza i... – Martyna popatrzyła na mnie z troską.

– Przecież rozumiem. Cieszę się, że... Mam to już za sobą – odpowiedziałem z ciężkim westchnieniem.

– Ta Zośka... Bardzo ją kiedyś lubiłeś? – zapytała niby mimochodem, choć znałem ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że pod tym pytaniem kryło się coś więcej.

– Jeśli chcesz wiedzieć, czy nasza relacja to jedna z tych historii, gdzie chłopak podkochuje się potajemnie w dziewczynie, a ona nigdy się o tym nie dowiadyje, to nie.

To nie była tego typu historia.

Bardzo ją lubiłem, zresztą tak samo jak Sebastiana, ale traktowałem Zośkę wyłącznie jak siostrę. Nigdy nie patrzyłem na nią jak na dziewczynę, która mogłaby mi się podobać – odpowiedziałem spokojnie i całkowicie zgodnie z prawdą.

Nie dziwiło mnie, że Martyna chciała rozwiązać tę kwestię od razu.

Czytała dużo książek, w tym romansów, wszędzie szukała drugiego dna i ukrytych motywacji.

Ale ja i Zośka to nie był tego typu przypadek. Nasze spotkanie otworzyło drzwi do wspomnień o beztrudnych nastoletnich czasach.

Nie spodziewałem się, że za nimi będzie też tyle smutku i goryczy z powodu utraconych szans na odbudowanie dawnej znajomości z przyjacielem.

– Rozumiem – odpowiedziała moja narzeczona i po tym słowie oboje zamilkliśmy.

Lubiłem dużo myśleć i analizować, a ona o tym wiedziała, dlatego teraz dała mi na to czas. Wpatrzyłem się w boczną szybę, przypominając sobie smutek w oczach Zośki i brak tego dawnego uśmiechu w jej obecnej, dorosłej wersji. Wszyscy z biegiem lat się zmieniliśmy, lecz miałem wrażenie, że ona zmieniała się bardziej.

Przeżyła wiele strat, tych najgorszych, których każdy człowiek tak bardzo się boi.

Ocknąłem się, gdy dotarliśmy pod urokliwy, obity ciemnym drewnem dom moich przyszłych teściów. Pan Dariusz kosił akurat trawę w ogrodzie i uniósł rękę na powitanie, gdy tylko nas zobaczył.

Na ganku pojawiła się pani Ania w fartuszku ubrudzonym od czegoś, co wyglądało jak sos pomidorowy.

– Witajcie, kochani! Ależ się za wami stęskniłam! – powiedziała rozradowanym głosem i zamknęła w uścisku najpierw Martynę, następnie mnie. – Wchodźcie, wchodźcie! Obiad czeka już na stole!

Od wejścia do tego rustykalnie urządzonego domu pachniało gotowanymi ziemniakami z koperkiem i tym, co pani Ani wychodziło absolutnie najlepiej na świecie – gołąbkami! Choć wcześniej nie sądziłem, że jestem głodny, to naraz mój żołądek wydał głośne burczenie, domagając się pyszności.

Zdjęliśmy buty przy wejściu i razem przeszliśmy do jadalni, gdzie stał duży dębowy stół w starym stylu, nakryty ażurowym białym obrusem. Inny facet na moim miejscu nie zwracałby uwagi na tego typu elementy wystroju, ale w moim przypadku było to coś na kształt zboczenia zawodowego, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało.

Podczas sesji musiałem rejestrować każdy szczegół otoczenia, by zrobić jak najwięcej udanych zdjęć.

– Siadajcie – poleciła reżolutnie pani Ania, po czym pobiegła do kuchni i wróciła kilkanaście sekund później, tym razem bez kuchennego fartuszka.

– Mamo, czy zrobiłaś gołąbki ze względu na Kubę? – zapytała lekko rozbawiona Martyna i popatrzyła na mnie znacząco z uniesionymi brwiami.

– No co, chcę być dobrą teściową! – odparła jej mama i posłała mi swoje ciepłe spojrzenie.
– Nakładajcie już sobie, a ja po raz trzeci zawołam Dariusza.

Na szczęście nie musiała tego robić, bo w tej samej chwili jej mąż pojawił się w jadalni. Wniósł ze sobą zapach świeżo skoszonej trawy, choć zdążył zmienić robocze ubrania na czyste i bardziej eleganckie.

Przywitał się raz jeszcze, jak zawsze z mrukliwym wyrazem twarzy.

Z przyjemnością zaczęliśmy jeść. Kuchnia pani Anny po raz kolejny zachwyciła mnie swoimi smakami. Pałaszowałem, aż mi się uszy trzęsły.

– Kochani moi, a jak przygotowania do waszego wielkiego dnia? –

Długo nie trwało, nim padło pytanie, jakiego spodziewałem się od samego początku.

– Dobrze, mamo. Wszystko zgodnie z planem – odpowiedziała enigmatycznie Martyna.

– Macie już orkiestrę? – drażyła moja przyszła teściowa. Podczas naszego ostatniego spotkania to właśnie na ten temat rozmawialiśmy najwięcej. – Krysia ze sklepu dała mi namiary na jeszcze jeden rewelacyjny zespół, który grał u jej córki na weselu.

Goście bawili się do białego rana!

– My już na dziewięćdziesiąt dziewięć procent mamy wybraną oprawę muzyczną.

– Przecież zawsze można poszukać kogoś jeszcze, by mieć pewność, że to zespół najlepszy z najlepszych – poradziła z dobrotliwą miną. Zaczęła wkraczać w tryb maminego wścibstwa. –

A kto zaśpiewa w kościele? Mamy tutaj na wsi taką Basię, głos jak anioł, mówię wam!

Siedziałem obok Martyny, zapychałem sobie usta przepyszny jedzeniem i w ciszy obserwowałem wymianę zdań matki i córki, zastanawiając się, ile czasu minie, nim moja narzeczona straci cierpliwość. Póki co wyglądała jak oaza spokoju.

– Mamo, znam Basię i... nie podoba mi się jej głos. Strasznie pieje

– odpowiedziała z typową dla siebie rozbijającą szczerością.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Kochałem ją za to, że zawsze mówiła prosto z mostu to, co myśli. Nawet jeśli narażała się przez to na wyraźnie niezadowoloną minę matki.

– Pieje to kogut, kochanie.

Sytuacja zaczynała być coraz bardziej zabawna. Siedziałem z opuszczoną głową, by nikt nie zauważył, jak bardzo chce mi się śmiać. Oczywiście Martyna wiedziała – nie bez powodu konspiracyjnie szturchnęła mnie kolanem pod stołem.

Zawsze pragnąłem znaleźć kobietę, z którą będę nadawał na tych samych falach, i to była właśnie ona...

Na chwilę udało nam się odejść od tematów spornych i porozmawiać o czymś tak niekontrowersyjnym jak kulinaria.

W zasadzie to matka i córka miały najwięcej do powiedzenia, pan Dariusz oczywiście niewiele się odzywał, ja głównie przytakiwałem, gdy mnie o coś pytano.

– Jak ci smakowało? – zapytała pani Anna, gdy mój talerz zaświecił pustką.

– Mówiłem to wiele razy i powiem kolejny, ale nigdy w życiu nie jadłem lepszych gołąbków niż te, które robi pani – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Lizus! – mruknęła żartobliwie Martyna i zaczęła się śmiać.

Pani Ania natomiast spojrzała na mnie tak, jakbym przyniósł jej właśnie ogromny bukiet ulubionych kwiatów.

– Taki zięc to skarb – westchnęła radośnie.

Jej nagłe odejście od tematu wesela było tylko ciszą przed burzą, ponieważ zanim odjechaliśmy, zdążyła jeszcze dać mojej narzeczonej rozpiskę kwiatów, które uważa za najstosowniejsze. Martyna próbowała dać jej do zrozumienia, że i tak zdecydujemy się na takie, które będą w naszym guście, co pociągnęło za sobą kolejną falę dobrych rad.

– Aniu, daj już spokój – powiedział w końcu pan Dariusz, najwyraźniej straciwszy cierpliwość.

Spojrzenie żony w jego kierunku było bardzo wymowne.

A ja zastanawiałem się, czy za kilka lat Martyna będzie patrzeć na mnie tak samo.

Daj Boże, żeby nie...

10. Zośka

Spodziewałam się, że to będzie trudne. Nie miałam jednak pojęcia, jak bardzo. Przekroczyłam próg mieszkania, które tak długo było naszym wspólnym miejscem – moim i Radka. Stanęłam w korytarzu i rozejrzałam się. Teoretycznie nic się tutaj nie zmieniło. Ale i tak czułam się zagubiona jak małe dziecko. Z kuchni doszedł jakiś dźwięk. Przełknęłam z trudem ślinę przez boleśnie zaciśnięte gardło i ruszyłam w tamtym kierunku.

Radek wyglądał... źle. Miał na sobie sprane, podziurawione w kilku miejscach, a do tego poplamione spodnie dresowe, o których wyrzucenie walczyłam od dawna, i bokserkę, która kiedyś z pewnością była biała. Przetłuszczone włosy i kilkudniowy, niechlujny zarost tylko dopełniały tego żalospnego widoku.

– Cześć – powiedziałam cichym głosem.

Odwrócił się od szafek kuchennych i spojrzął na mnie bez emocji.

– Kartony na twoje rzeczy czekają w pokoju – oznajmił, darując sobie jakiekolwiek powitanie.

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam. Bałam się, że jeśli spróbuję coś powiedzieć, to głos mi się załamie. Odwróciłam się na pięcie, ale wtedy nastąpił tak gwałtowny napływ emocji, że nie byłam w stanie się powstrzymać:

– Co ty wyprawiasz, Radek?! – warknęłam.

– O co ci chodzi? – zapytał zimnym jak lód głosem.

Z jego oczu biła niechęć, jakbym była jego największym wrogiem.

A przecież nie zrobiłam nic, by się nim stać. W zasadzie w ciągu kilku dni z partnerów staliśmy się dla siebie kimś obcym. Jak to możliwe, że tak nagle pozbył się wszystkich deklarowanych od dawna uczuć do mnie?

Ja nie potrafiłam... przestać go kochać. Nawet kiedy zachowywał się wobec mnie tak okropnie. Nawet po tym, jak kazał mi usunąć ciężę. Ta miłość, choć zraniona i niemal zniszczona, nadal się we mnie tliła. Jak nadzieja, której Radek raz za razem próbował mnie pozbawić.

– Wyglądasz jak kloszard. Od dawna nikt tutaj nie sprzątał. Widzę, że lodówka jest pusta. Smarujesz kromkę chleba margaryną.

Traktujesz mnie... – Urwałam i wzięłam głęboki oddech. –

Porozmawiajmy.

Kolejny raz wyciągałam ku niemu gałązkę oliwną. Nawet jeśli wobec wszystkich innych potrafiłam być zdystansowana, to wobec ludzi, których kochałam, nigdy.

– Nie mamy o czym. Pakuj się i wypierdalaj – rzucił, a jego oczy zwięzły się w szparki.

Zachowaj spokój. Nie daj się. Nie pozwól, by złamał cię bardziej.

– Co się z nami stało?

Uderzył pięścią w blat kuchennej szafki tak niespodziewanie, że podskoczyłam ze strachu. Kim on był i co zrobił z człowiekiem, którego znałam? Jak ktoś, z kim dzieliłam życie, mógł nagle zmienić się w tak bezdusznego potwora?

– Nie będę powtarzał dwa razy. Masz pół godziny na zabranie stąd wszystkich swoich manatek. W przeciwnym razie wywalę cię za drzwi, a szmaty polecą oknem. Klucze zostaw

na stole w pokoju – rozkazał i ponownie odwrócił się do mnie plecami, by skończyć smarowanie chleba margaryną.

Czyżby nie miał co jeść? Z krwawiącym sercem i niedowierzaniem patrzyłam na upadek człowieka, który był moją przyszłością

i gwarancją bezpieczeństwa nawet podczas największej życiowej burzy. Zacisnęłam usta, a z moich oczu popłynęły bezgłośnie łzy.

Poszłam do pokoju i zaczęłam machinalnie opróżniać szafki z ubrań i szpargałów. Trochę się tego uzbierało przez lata, kartony zapełniały się jeden po drugim. Nasze wspólne zdjęcia zdecydowałam zabrać ze sobą, gdybym je zostawiła, Radek z pewnością by się ich pozbył.

Wytaszczyłam to wszystko z mieszkania, kursując to w jedną, to w drugą stronę, samodzielnie. Nie zaoferował swojej pomocy. Nawet nie wystawił nosa z kuchni, po prostu czekał, aż się wyniosę na dobre. Znosiłam tę trudną, upokarzającą sytuację w milczeniu. Nic innego mi nie pozostało.

Zostawiłam klucze tam, gdzie powiedział. Przed ostatecznym opuszczeniem jego mieszkania zawahałam się raz jeszcze.

Przystanęłam w korytarzu i otarłam łzy. Jeszcze raz. Jeszcze tylko jeden raz.

– Radek...

– Wyjdź.

Wystarczyło to jedno słowo i ton, jakim je wypowiedział, bym poprzysięgła sobie, że moja noga nigdy więcej w tym mieszkaniu nie postanie.

*

Zastanawiałam się, ile przeciętny człowiek jest w stanie znieść, zanim osiągnie kres swojej emocjonalnej wytrzymałości. Byłam półżywa po wizycie u mojego byłego partnera. Rozkładałam naszą krótką, pełną wrogości rozmowę na czynniki pierwsze i próbowałam cokolwiek zrozumieć z tego, co zobaczyłam w jego mieszkaniu.

Nie miał co jeść. Wyglądał, jakby od dawna się nie mył.

Z pewnością nie sprzątał, bo stan pomieszczeń nie pozostawiał ku temu wątpliwości. Czy stracił pracę? Czy wydarzyło się coś, co zaprowadziło go na samo dno?

Jakiś cichy głosik w głowie podpowiadał mi, że powodów tej całej sytuacji nie powinnam doszukiwać się tylko w Radku, ale także w sobie. Nie był w stanie pogodzić się z utratą przyjaciela, i to taką, na którą nie sposób było się jakkolwiek przygotować. Czy czuł, że pojawienie się naszego dziecka oznaczałoby, że zajmuje ono miejsce po Sebie, że nagle mamy przestać przeżywać żałobę, ruszyć z życiem dalej i cieszyć się na czekające nas zmiany? Czy dlatego z taką łatwością pozbył się mnie ze swojego życia, bo byłam ostatnią nicią łączącą go z człowiekiem, który wiele dla niego znaczył, a odszedł bez pożegnania?

Rozum krzyczał, że po tym, jak mnie potraktował i z premedytacją zranił, to już nie była moja sprawa. Serce natomiast nie przyjmowało żadnych konstruktywnych argumentów, zbyt cierpiące i spragnione ponownej obecności Radka w moim, a przede wszystkim w dziecka życiu.

Nie chciał mnie. Nie chciał nas. Już bardziej dobitnie nie mógł tego okazać. Nie pozostawił miejsca na złudne nadzieje. Wyraził się wystarczająco jasno. Przekaz był brutalny, a przez to w pełni zrozumiałe.

Odebrał mi wiele, poza jednym: miałam prawo opłakiwać jego stratę bez martwienia się, co ktoś o tym pomyśli. Dlatego roniłam łzy przez całą drogę powrotną, a później siedziałam kilka minut w aucie zaparkowanym pod kamienicą.

W końcu wydmuchałam nos w znalezionej w torebce chusteczkę i wysiadłam. Otworzyłam bagażnik i spojrzałam na te wszystkie pudła, które miałam zanieść do mojego nowego (a jednak starego) miejsca na ziemi. Oczywiście, że nie powinnam dźwigać, ale Radek nie pozostawił mi wyboru i nie za bardzo miałam na kogo w tej kwestii liczyć. Modliłam się więc, by przez tę przeprowadzkę nic nie stało się dzidziusiowi, bo gdyby... Nie. Nawet nie chciałam o tym myśleć. Pod żadnym pozorem. Jakbym miała mało depresyjnych myśli.

– O, hej! Pomóc ci?

Jakiś głos dobiegł do mnie zza pleców, gdy akurat stałam z głową w bagażniku i przymierzałam się do wzięcia pierwszego pudła.

Zerknęłam przez ramię i ujrzałam Kubę. Ubrany w ciemny T-shirt, dżinsowe szorty i trampki, wyglądał trochę jak student. Tym bardziej że na jego ramieniu wisiała czarna torba niewielkich rozmiarów. Nie zdążyłam odpowiedzieć na pierwsze pytanie, a on już zadał kolejne:

– Płakałaś?

Cóż, wszystkie wylane łzy musiałam mieć wypisane na twarzy: w opuchniętych i zaczerwienionych oczach oraz mokrych policzkach.

– Jak widać... – mruknęłam pod nosem, nie mogąc spojrzeć Kubie w oczy.

Wziął głęboki oddech, a następnie podszedł i bez słowa wziął dwa kartony, ułożył je sobie jeden na drugim i ruszył w kierunku kamienicy.

– Hej, poczekaj! – zawołałam.

– Nie dźwigaj, wniosę ci to – odpowiedział, więc ruszyłam za nim, by otworzyć mu drzwi.

Pojawił się niespodziewanie i oczywiście zaoferował swoją bezinteresowną pomoc. Cały Kuba. To się w nim nie zmieniło przez te wszystkie lata.

Kilkanaście minut później wszedł do mieszkania z ostatnimi pakunkami. Postawił je na ziemi i przekazał mi kluczyki do samochodu.

– Auto zamknięte, wszystko wniesione – poinformował

i uśmiechnął się do mnie jednym ze swoich ostrożnych, nieco niepewnych uśmiechów.

– Dziękuję ci z całego serca za pomoc! – powiedziałam wylewnie w przyływie emocji.

– Wiem, że od dawna nie mam już statusu twojego przyjaciela, ale widzę, że dzieje się u ciebie coś złego. Nie chodzi tylko o Sebastiana, zobaczyłem cię dzisiaj całą we łzach, a to oznacza, że dręczy cię coś jeszcze. Nie cieszysz się z tej przeprowadzki, prawda? – Jego głos był cichy, a wzrok skupiony na mojej twarzy. Wpatrywał się we mnie intensywnie, jak kiedyś, gdy próbował dowiedzieć się czegoś, czego nie chciałam mu powiedzieć.

– Doskonały z ciebie obserwator – powiedziałam z lekką przekorą.

Jeśli myślałam, że uda mi się obrócić całą sytuację w żart, to byłam w ogromnym błędzie. Nie z nim takie numery.

– Jestem z zawodu fotografem. Jednym z moich codziennych zadań jest obserwowanie i analizowanie otoczenia, ale przede wszystkim ludzkich emocji, by te najlepsze i najcenniejsze móc uwiecznić na zdjęciach – odparł nieco niższym niż zazwyczaj głosem.

Zaskoczył mnie. Nie miałam pojęcia, czym zajmuje się w dorosłym życiu. A on wykonywał niesamowicie interesujący zawód.

– To musi być świetna praca – odparłam i usiadłam na kanapie, zapraszając go gestem ręki, by zrobił to samo.

Mogliśmy chwilę porozmawiać. Tak naprawdę bardzo brakowało mi kontaktu z ludźmi. Widywałam się tylko z Werą.

– Jest, chociaż bywa też kłopotliwa. Klienci są różni, mają czasami kosmiczne wymagania, niekiedy ich roszczeniowość doprowadza mnie do szewskiej pasji, ale Kocham tę robotę – przyznał z błyskiem w oku, którego nie sposób było nie zauważyć. – Umieję też całkiem dobrze słuchać, więc jeśli chciałabyś się wygadać, to jestem do twojej dyspozycji – zaoferował.

– Najpierw zapytam, czy się czegoś napijesz, by nie popełnić faux pas, jak ostatnio.

– Nie trzeba, dzięki. Mów, co cię martwi.

Żeby to było takie proste... Usiąść obok drugiego człowieka i opowiedzieć o wszystkim, co boli, smuci, uwiera.

Ale przecież to jest proste – wyszeptał cichy głosik w mojej głowie.

Wzięłam głęboki oddech. W sumie kiedyś potrafiliśmy rozmawiać godzinami.

O wszystkim i o niczym. Kuba wiedział czasem o sprawach, o których nie opowiadałam nawet koleżankom. Minęły lata, ale jego usposobienie, spojrzenie i uśmiech wcale się tak bardzo nie zmieniły. Chyba nawet potrafiłam się w tym wszystkim jakoś odnaleźć.

– Od kilku lat byłam w związku z facetem, który przyjaźnił się z Sebastianem. Po jego śmierci Radek się załamał. Bardzo. Zanim to wszystko się wydarzyło, rozmawialiśmy kilka razy o powiększeniu naszej rodziny. Oboje chcieliśmy mieć dziecko i choć nasz związek bardzo się zmienił, to on nigdy nie powiedział, że jego plany na przyszłość też. Rozumiesz, co chcę powiedzieć... Myślałam, że cały czas się staramy. – Słowa wylewały się ze mnie wartkim strumieniem. Tak po prostu, jakby nie było tych wszystkich lat bez kontaktu. Potrzeba wygadania się okazała się silniejsza, niż początkowo sądziłam. – Jestem w ciąży – oznajmiłam przyciszonym głosem i instynktownie dotknęłam brzucha, jakbym chciała w ten sposób utulić mojego maluszka. – Radek, gdy się dowiedział, kazał

mi ją usunąć. Oczywiście jasno i wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że tego nie zrobię. Uznał, że dokonałam wyboru, a skoro tak, to z nami koniec i mam się wyprowadzić.

To był ogromny skrót całej tej patowej sytuacji. Powiedziałam Kubie o ciąży, bo pierwszy trymestr zdążył już dobiec końca. Dziecko rozwijało się zdrowo, a badania prenatalne uspokoiły moje początkowe obawy, które chyba miały wszystkie przyszłe mamy.

Nie wiedziałam, czy będzie mnie oceniał. W zasadzie było trochę tak, jakbym zwierzyła się obcemu człowiekowi. Zналиśmy się, ale kiedyś.

Mimo to czułam, że mogę być szczerą. On zresztą już przed laty był takim połączeniem dwóch osób: niby trochę skryty i trudny do rozszyfrowania, a jednak czytałam z niego jak z otwartej księgi.

– Przede wszystkim i pomimo wszystko bardzo ci gratuluję, że zostaniesz mamą – powiedział Kuba i uśmiechnął się tak szczerze, że nie mogłabym mieć wątpliwości co do tego, że mówi prawdę.

– Dziękuję – odpowiedziałam z wdzięcznością.

– Cieszę się na tego malucha, choć perspektywa samotnego macierzyństwa jest na ten moment tak przerażająca, że wolę ją od siebie odsuwać do ostatniej chwili.

– To dlatego tak źle się czułaś, gdy przyszedłem ze zdjęciami. Nie zatrąłaś się, tylko...

– Męczyły mnie osławione wymioty ciężarnych, które w sumie nadal nie ustały, choć jest już lepiej niż było – przyznałam, a wspomnienie tych najgorszych dni, gdy nie byłam w stanie oderwać głowy od poduszki, sprawiło, że po plecach przebiegły mi nieprzyjemne dreszcze.

– Wyglądałaś wtedy na bardzo osłabioną, ale nawet przez myśl mi nie przeszło...

– Było widać, że przeprowadziłam się tu sama, a przecież dzieci się z powietrza nie biorą – odparłam i posłałam mu znaczące spojrzenie.

To maleństwo miało być owocem miłości. Wyobrażałam sobie, że stworzymy rodzinę, która będzie ratunkiem po ogromnej stracie, jaka mnie spotkała. Mnie i Radka... Przecież Sebastian właśnie tego by dla nas chciał. Nie bezustannego bólu, łez, cierpienia.

Zanim zachorował

na depresję, był wesołym, pełnym życia chłopakiem. Dokładnie takim, jakim zapamiętał go Kuba. Z łatwością wyobrażałam sobie, jak bardzo cieszyłby się na wieść, że zostanie wujkiem. I ojcem chrzestnym, to oczywiste. Kochałby to dziecko tak, jakby było jego.

A teraz, gdy obecność Sebastiana czułam już tylko w sercu, trzymałam się jednej myśli, wątej nadziei, że...

– Uważam, że Seba zesłał ci to maleństwo, byś miała kogoś, dla kogo zechcesz stanąć na nogi.

Spojrzałam zdumiona na Kubę, który tak po prostu, spokojnym, pewnym głosem wypowiedział to, co mnie samej chodziło po głowie od dnia, gdy w czwartą miesięcznicę śmierci brata wykonałam test ciążowy. Już wtedy czułam, że to znak. Już wtedy coś mi mówiło, że to dziecko jest wiadomością od brata.

Wzięłam głęboki oddech i lekko się uśmiechnęłam, przytakując.

– Czuję tak samo. Nie umiem tego wyjaśnić, po prostu wiem, że Sebastian zesłał mi kogoś, kogo będę mogła kochać bez granic, kto da mi sens życia i kogo on będzie mógł chronić jako anioł stróż. –

Powiedziałam to bez obaw, że odbierze mnie jako nawiedzoną wariatkę.

Kwestie wiary są indywidualną sprawą każdego człowieka. Można wierzyć lub nie. Patrząc na świat tylko racjonalnie albo dostrzegać znaki. Ja wierzyłam w znaki. Pomimo wszystkich tych nieszczęść, jakie na mnie spadły. Pomimo samotności i poczucia, że świat o mnie zapomniał, że nic dobrego mnie już nie czeka. To dziecko nie było uśmiechem od losu. Było uśmiechem wysłanym prosto od mojego braciszka. Wiedział, że jeśli jest coś, co będzie w stanie ukoić moją tęsknotę, to tylko nowe życie, niewinna istota będąca częścią mnie, tak jak on nią był od zawsze.

Potrzebowałam jeszcze czasu, by przeżyć żalobę, pogodzić się z nową rzeczywistością, odnaleźć się. To nie tak, że ciąża w jednej chwili uleczyła wszystkie moje rany. Ale stała się nowym sensem, początkiem, powodem, dla którego chciałam wstawać z łóżka. I choć przez nią zakończył się mój związek z Radkiem, i choć dolegliwości ciążowe tak bardzo dały mi w kość, ani przez moment nie zwątpiłam.

Spojrzałam na Kubę, a on na mnie – i w jednej chwili połączyło nas trudne do opisanie obopólne zrozumienie.

11. Kuba

– Pogadałam o sobie, więc teraz czas na ciebie. Jak wygląda obecnie twoje życie? Chyba sporo się zmieniło przez te wszystkie lata.

Zośce wyraźnie spadł z ramion jakiś niewidzialny ciężar, gdy powiedziała mi o swojej ciąży i zachowaniu byłego faceta, który tak w zasadzie w ogóle nie zasługiwał na to miano. Z całych sił powstrzymałem się, by nie wyrazić na głos mojego zdania odnośnie do tego nieodpowiedzialnego typu, w środku wszystko się we mnie gotowało. Kim trzeba być, żeby wyrzucić z mieszkania partnerkę, bo nie zgodziła się na usunięcie ciąży? O gotowości do macierzyństwa czy ojcostwa można rozmawiać, gdy to tylko teoretyzowanie, ale kiedy życie stawia nas przed faktem dokonanym, nie ma już miejsca na zastanawianie się, czy to odpowiedni czas, czy jestem gotowy lub gotowa. Wówczas jedyną opcją jest wzięcie przysłowiowego byka za rogi i zrobienie wszystkiego, by ten maleńki, bezbronny człowiek czuł się chciany i kochany.

Kilkadziesiąt razy w roku przed moim obiektywem stawały kobiety w zaawansowanej ciąży. Na ich twarzach widniały uśmiechy, z czułością dotykały brzuszka, promieniały szczęściem. Często w takiej sesji brzuskowej brał udział także przyszły tata. Mogłem obserwować młodych, zakochanych i radosnych ludzi oczekującej na swoją pociechę, i to było piękne. Teraz w dłoni nie dzierżyłem aparatu, a obok mnie siedziała młoda kobieta, która w tym wyjątkowym okresie swojego życia została sama. Bez wsparcia ojca dziecka, bez osoby, z którą zapewne chciałaby dzielić swoją radość.

Ten jej były facet miał pewnie, podobnie jak my, trzydziestkę na karku. Jak to możliwe, że nie zdążył dorosnąć?

– Jestem fotografem, ale o tym ci już wspominałem – zacząłem w końcu, gdy zdałem sobie sprawę, że myśli pochłoneły mnie zbyt mocno i Zośka już dłuższą chwilę czeka na moją odpowiedź. –

Prowadzę studio zajmujące się usługami foto-video na imprezach okolicznościowych, organizuję różnego rodzaju sesje. Zatrudniam ludzi i tworzymy całkiem zgrany team. W życiu prywatnym, jak już pewnie się domyśliłaś, mieszkam po drugiej stronie kamienicy, jestem zaręczony i przygotowuję się do ślubu.

Może tę ostatnią kwestię powinienem sobie w obecnej chwili darować. Kilka minut temu dziewczyna powiedziała mi, że zakończył się jej związek, a teraz ja wyleciałem z informacją, że mój ma się całkiem dobrze i szykujemy się z narzeczoną do kolejnego, najpoważniejszego etapu relacji. Zośka jednak przyjęła tę informację z uśmiechem – może z grzeczności, a może rzeczywiście nie obeszło jej to tak, jak by mogło. Chwyciłem się nadziei, że chodzi o to drugie.

– Gratuluję! To cudowna wiadomość! – zawołała entuzjastycznie. –

Jak długo jesteście razem?

– Kilka lat. Poznaliśmy się na studiach, związaliśmy się po dwóch latach znajomości i tak już zostało – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Mieszkacie razem?

– Nie. Martyna chciałaby, żebym po ślubie, albo nawet przed, sprzedał mieszkanie po dziadkach i wtedy wspólnymi siłami moglibyśmy kupić coś większego w centrum miasta. Obserwuje budowę tego nowego osiedla przy Rynku Głównym i marzy, żebyśmy tam zamieszkali – wyjaśniłem.

Już kilka rozmów na ten temat przeprowadziliśmy. I każda kończyła się brakiem jednoznacznego rozstrzygnięcia. Sprzedaż mieszkania po

babci i dziadku nie mieściła mi się w głowie. W tych murach było całe moje dzieciństwo, młodość, wszystkie najlepsze wspomnienia.

Ten sentymentalizm może wydawać się mało męski, ale przywiązałem się do miejsca, które pomimo upływu lat nadal przypominało mi o najlepszych czasach, kiedy ukochani dziadkowie jeszcze żyli.

Martyna tego nie rozumiała. Ona, choć ewidentnie bardzo kochała swoich rodziców, była też trochę jak taki wolny ptak. Szybko wyfrunęła z rodzinnego gniazda, bo zależało jej, żeby się usamodzielnić. Chciała żyć energicznie i szybko, co z początku nieco mi przeszkadzało, natomiast później w pełni już przywykłem. I choć bardzo ją kochałem, a dzięki tej miłości byłem gotowy na wiele poświęceń, to obawiałem się, że definitywne pozbycie się mieszkania babci i dziadka prędzej czy później okaże się barierą nie do przeskoczenia.

– Och, czyli macie konkretne plany. – Zośka lekko uniosła brwi i po tym drobnym geście poznałem, że jest zaskoczona moimi słowami o ewentualnej sprzedaży zamieszkiwanego przeze mnie lokalu.

– To za dużo powiedziane. Nadal dyskutujemy – sprostowałem.

– A mogę zapytać, kiedy ma nadejść ten wasz wielki dzień?

Uśmiechnąłem się. „Wielki dzień” – takich słów używały chyba wszystkie kobiety, kiedy mówiły o ślubie. Martyna w rozmowie tak właśnie nazywała naszą datę, jej mama robiła to prawie za każdym razem, a teraz Zośka.

– Na samym początku grudnia. Pierwszy weekend.

– Ooo! Zimowy ślub. Coś pięknego – westchnęła i na chwilę jej oczy przysłonił smutek. Zdążyłem to uchwycić, zanim odwróciła wzrok.

Nietrudno było się domyślić, co sprawiło, że jej chwilowo dobry humor wyparował. Złamane serce. Sam nigdy nie doświadczyłem tego okropnego stanu, ale sporo się na jego temat nasłuchałem.

Martyna była moją pierwszą prawdziwą miłością i miałem to szczęście, że od początku naszego związku traktowała mnie tak poważnie, jak ja ją, więc przeszliśmy przez te wszystkie lata bez większego kryzysu. Nie było rozstań i powrotów, robienia sobie na złość, wzbudzania zazdrości.

Gdyby to moja narzeczona zaszła w ciążę, ja zrobiłbym wszystko, żeby się nią zaopiekować, nawet jeżeli sytuacja życiowa i emocjonalna byłaby daleka od ideału.

Były facet Zośki najwyraźniej tak głęboko pograżył się w żałobie po przyjacielu, że zapomniał o czymś bardzo ważnym... Ona też kogoś straciła. Tym kimś był jej brat bliźniak, do cholery! A on powinien być jej opoką, nie tym, który kopie leżącego.

– Zamyślasz się tak często, jak za starych dobrych czasów. – Cichy śmiech Zośki sprawił, że kolejny raz ocknąłem się z letargu i popatrzyłem na nią lekko nieprzytomnie.

– Przepraszam, po prostu ciężko mi się nie zastanawiać, co siedziało w głowie twojego byłego, że zachował się tak, jak się zachował – przyznałem, bo nagle poczułem, że owijanie w bawełnę jest bez sensu.

Jeśli przekroczyć granicę, to Zośka na pewno da mi to do zrozumienia, a ja wtedy ze skruchą ją przeproszę i wyjdę, dostając nauczkę, by za bardzo nie rozpędzać się w sprawach, o których w zasadzie mam niewielkie pojęcie. Przecież opowiedziała mi bardzo ogólnie o swojej relacji z byłym. Odważnie wyciągałem wnioski, choć było to silniejsze ode mnie.

– Sama tego nie wiem. W ciągu kilku dni zmienił się w kogoś, kogo w ogóle nie poznawałam. Radek często bywał... specyficzny, ale wierzyłam, że mogę na niego liczyć, niezależnie od tego, co by się działo. Po śmierci Sebastiana oddalił się ode mnie, ale nie na tyle, bym przewidziała koniec naszego związku. Słowa, które wypowiedział do mnie w ostatnim czasie... Nawet nie jestem w stanie tego powtórzyć. – Głos jej się załamał na ostatnim zdaniu, a ja w przyływie współczucia położyłem dłoń na jej drobnym ramieniu.

Popatrzyła na mnie niepewnie. Chyba nie spodziewała się tak śmiałego gestu z mojej strony. Chociaż w sumie... Przecież lata temu też tak robiłem. Przytulałem ją na pocieszenie, a czasem dla żartów szturchałem czy podszczypywałem, bo bawiło mnie, jak się irtowała. Młodzieńcze przekomarzania, każdy to kiedyś przeżył.

Zacząłem zastanawiać się nad kolejną kwestią. Co miała na myśli, mówiąc, że jej były często bywał specyficzny? Nie rozwinęła tego, ale wolałem nie pytać.

– To nie jest twoja wina. A tym bardziej dziecka, które wspólnie poczęliście. Rozumiem, że przeżywa ból straty. Nawet mnie uderzyło to wszystko bardzo mocno, choć nie utrzymywałem kontaktu z Sebastianem od lat. Jednak dla takiego zachowania nawet to nie jest usprawiedliwieniem – odpowiedziałem zdecydowanym głosem.

Obawiałem się, że Zośka w przyływie rozpaczy zacznie szukać przyczyn rozpadu związku w sobie, a to byłoby najgorsze, co mogłaby zrobić dla siebie i dziecka, które rozwijało się pod jej sercem.

– Dobrze jest coś takiego usłyszeć. Dziękuję.

Jej słowa wdzięczności sprawiły mi niespodziewaną przyjemność.

Dosłownie chwilę później w kieszeni rozdzwonił mi się telefon.

Zerknąłem na wyświetlacz i zobaczyłem, że to Martyna. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że przez rozmowę z Zośką, która po raz pierwszy od naszego ponownego spotkania nosiła znamiona dawnej zażyłości, straciłem poczucie czasu. Wstałem z kanapy i napotkałem jej pytające spojrzenie.

– Przepraszam cię, że tak nagle wychodzę, ale trochę się zasiedziałem, a właśnie dzwoni moja narzeczona – wyjaśniłem.

– Nie ma sprawy, rozumiem.

– Muszę już lecieć.

– Jasne. Oczywiście. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałam ci żadnych planów.

Również podniosła się z kanapy i oboje ruszyliśmy do drzwi.

– Nie. W ogóle tak nie myśl. W zasadzie to cieszę się, że szedłem akurat, gdy chciałaś sama taszczyć te wszystkie kartony do mieszkania. W twoim stanie to chyba nie byłoby wskazane. –

Uniosłem jedną brew, a Zośka wzruszyła lekko ramionami i uśmiechnęła się.

– Gdybym musiała dać radę, tobym dała, co nie zmienia faktu, że jestem ci ogromnie wdzięczna za pomoc.

Wyszczrzyłem się do niej tak, jak za starych dobrych czasów.

Jeszcze zanim wyszedłem z kamienicy, zadzwoniłem do mojej narzeczonej.

Podeksytowana ogłosiła, że udało jej się znaleźć wymarzonego fotografa na nasz ślub.

– To znaczy, że nie chcesz, by moi ludzie zrobili nam relację z tego dnia? – zapytałem skonfundowany, bo pierwotnie tak się umawialiśmy.

– Wiesz, pomyślałam, że znacznie fajniej byłoby ich zaprosić jako gości. Przecież spędzasz z tymi ludźmi codziennie wiele godzin i głupio byłoby zaciągać ich do pracy w nasz wielki dzień. Powinni móc przyjść prywatnie i bawić się razem z nami – odpowiedziała, a ja po chwili zastanowienia przyznałem jej rację.

– Rzeczywiście. Myślę, że się ucieszą.

– Jestem tego pewna! Wpadniesz dzisiaj do mnie? Pokażę ci zdjęcia tego fotografa. Zachwycisz się!

12. Zośka

Pierwsze dni czerwca przyniosły falę słonecznych, wręcz gorących dni. Wysokie temperatury zmobilizowały mnie do tego, by zająć się rozpakowywaniem ubrań i pozostałych przedmiotów z zalegających w korytarzu i salonie kartonów. Przejrzałam letnie sukienki i sprawdziłam, w które na obecnym etapie ciąży się zmieszczę.

Z tymi luźniejszymi nie było najmniejszego problemu, zresztą bardziej obcisłe też jeszcze pasowały, ładnie uwydatniały lekką wypukłość mojego brzucha.

Prymulka z lubością wygrzewała się na osiatkowanym i zabezpieczonym balkonie. Postawiłam jej tam niewielki drapak oraz posłanie, by czuła się bezpiecznie i mogła w pełni korzystać z pięknej pogody.

Można powiedzieć, że w pewnym sensie zaczynałam wstawać z kolan po kolejnym upadku. Złamane serce bolało cały czas, jednak nie myślałam już obsesyjnie o Radku, o tym, co robi i dlaczego potraktował mnie i dziecko w taki sposób. Idąc za radą Kuby, przestałam też bezustannie doszukiwać się winy po mojej stronie.

Tłumaczyłam sobie, że Radek potrzebuje czasu, że w końcu dotrze do niego, że jednak chce nas w swoim życiu. Cicha nadzieja nie odpuszczała. Rozsądek podpowiadał, by skupić się na sobie i dziecku, bo Radek nie jest wart tych przeplakanych nocy i ponurych myśli, serce zaś, wciąż kochające człowieka, którego znałam, szeptało, że jeszcze wszystko może się ułożyć.

Mieszkanie w ciągu kilku kolejnych pogodnych dni, gdy moje samopoczucie nie sprowadzało się wyłącznie do wiszenia z głową w misce lub toalecie, szybko nabrało bardziej osobistego charakteru – na komodzie stanęło kilka zdjęć: Seby, rodziców, babci, moje i Wery podczas wycieczki z naszymi podopiecznymi, w łazience znalazły się moje kosmetyki, na szafce kuchennej położyłam witaminy ciążowe. W sypialni natomiast zawiesiłam kupioną w jednym z sieciowych sklepów ramkę z trzema przeciągniętymi przez środek sznurkami i klamerkami do powieszenia zdjęć. To tam zaczęłam kolekcjonować pamiątkowe wydruki z USG.

Zdecydowałam się zrobić coś jeszcze. Sprawiałam sobie ładny notatnik w beżowej okładce i zaczęłam pisać mój własny pamiętnik ciążowy. Żałowałam, że wcześniej na to nie wpadłam, lecz w kilka wieczorów nadrobiłam minione miesiące, opisując wizyty, wykonywane badania, moje samopoczucie, a przede wszystkim emocje i miłość, która każdego dnia zdawała się coraz większa.

Obiecałam sobie, że kolejne dwa trymestry postaram się przeżyć jak najlepiej, by ten wyjątkowy okres wspominać kiedyś z uśmiechem na ustach, a nie ze łzami w oczach. Oczekiwałam narodzin mojego maleństwa, ale jeszcze wcześniej chciałam doświadczyć jego ruchów w moim łonie, obserwować podskakujący brzuch, mówić do niej lub niego, dbać o budowanie relacji jeszcze przed narodzinami. Zostaliśmy sami, ale to wcale nie oznaczało, że nie mogliśmy być szczęśliwi.

Wera zauważyła we mnie jakąś zmianę. Spotkałyśmy się w sobotę w parku, bo zorganizowano tam festiwal baniek dla dzieci i jej synowie za nic w świecie nie chcieli

odpuścić tej atrakcji. Koleżanka zaproponowała, żebym wybrała się z nimi, a ja chętnie skorzystałam z zaproszenia.

– Uśmiechasz się. I nie jesteś już tak blada – stwierdziła, gdy siedzieliśmy na ławce i obserwowaliśmy bliźniaków, którzy razem

z innymi dziećmi podskakiwali, by zbijać fruujące im nad głowami kolorowe bańki.

– Już nie wymiotuję tak bardzo. Zdarza się jeszcze dwa lub trzy razy dziennie, ale w porównaniu z tym, co było wcześniej, to i tak ogromna poprawa – odparłam z wyraźną ulgą w głosie.

– Drugi trymestr trochę cię porozpieszcza, zobaczysz. W trzecim już nieco gorzej, bo zaczniesz ci być ciężko, ale ciesz się tym, co jest teraz.

Wera spojrzała na swoich synów i nagle zerwała się do nich pędem, by zapobiec bójce z innymi chłopcami. Wróciła chwilę później i wywróciła znacząco oczami. Zaśmiałam się. Nic nie musiała mówić.

– Wracając do tematu... Wydaje mi się, że zrzuciłaś trochę ciężaru z ramion. No i w tej sukience widać już brzuszki – dodała z czułością.

– Powoli rośniemy – przyznałam z zadowoleniem. – Kilka dni temu porozmawiałam z Kubą. Wiesz, tym kolegą z czasów młodości, który kiedyś przyjaźnił się ze mną i Sebastianem. Dużo mi to dało. On zawsze potrafił słuchać i to się nie zmieniło. Zrobiło mi się jakoś lepiej po tej rozmowie – przyznałam z lekkim westchnieniem i wzruszyłam ramionami.

Wera uniosła znacząco brwi i szturchnęła mnie ramieniem.

– A może stara miłość nie rdzewieje? – Uśmiechnęła się jak kot z Cheshire.

– Nie, nie, nie – zaprzeczyłam stanowczo. – To nigdy nie był ten rodzaj znajomości. Ani on nie podkochiwał się we mnie, ani ja w nim. Traktowałam go bardziej jak drugiego brata, naprawdę.

Żadnych głębszych emocji. A teraz... Ja kocham Radka. Naprawdę, Wera. Tego tak po prostu nie da się przerwać. Kuba natomiast ma narzeczoną i w grudniu bierze ślub.

Wykrzywiła usta w nieco teatralnym grymasie i jednocześnie pogroziła palcem swoim synom, bo znów próbowali zaczepiać

kolegów. Często nazywała swoje dzieci kochanymi urwisami. Idealnie to do nich pasowało.

– Szkoda... – jęknęła. – Zbyt wiele mi o nim nie opowiadałaś, ale to chyba fajny facet.

– Fajny. Radek też był fajny. Coś się po prostu zmieniło.

– Był. Słowo klucz, Zośka. Przeraza mnie, że nadal masz maślany wzrok, gdy o nim opowiadasz. Boję się, że gdy postanowi nagle cię znowu do siebie przygarnąć, to polecisz jak na skrzydłach.

Zacisnęłam usta w wąską linię. Nie chciałam kłamać, a więc nie mogłam zaprzeczyć. Znałam swoje słabości, a pełna nadziei, skrzywdzona i złamana miłość była jedną z nich. Tęskniłam za Radkiem. Jego obecnością, naszymi rozmowami, jakimkolwiek wsparciem. Posypało się między nami, ale nie tak, by nie dało się tego odbudować. On po prostu zdezerterował.

– Nie zaprzeczyłaś, czyli nadal masz nadzieję. – Stwierdziła to, co dla mnie było całkowicie oczywiste. – On nie zasługuje ani na ciebie, ani na tego bobasa w twoim brzuchu. Zachował się jak zwykły gówniarz. Żadne piękne przeprosiny i wielkie deklaracje tego nie zmienią.

– Może i nie, ale chciałabym, żeby moje dziecko wychowywało się w pełnej rodzinie – odpowiedziałam przyciszonym głosem.

Wokół nas słychać było lecące z głośnika dziecięce piosenki oraz radosne pokrzykiwania chłopców i dziewczynek, którzy zawzięcie polowali na puszczone z maszyny bańki mydlane.

– Wiem, że byś tego chciała, ale chyba lepiej wychowasz je sama, bez obecności tego dużego dzieciaka u waszego boku –

podsumowała oschle, nie kryjąc pogardy dla mojego byłego.

Nie mogłam mieć jej tego za złe. Była po mojej stronie.

Zostałyśmy zmuszone do zakończenia rozmowy, gdy dzieciaki Wery dołączyły do nas i zaczęły prosić mamę o kupno największej waty cukrowej. Obserwowałam z boku te ich wzajemne negocjacje i zastanawiałam się, czy w moim przypadku to będzie wyglądało tak samo. Jak sobie poradzę z byciem mamą? Czy... ja w ogóle będę potrafiła nią być?

Już teraz byłam stuprocentowo odpowiedzialna za to nowe, bezbronne życie. Wiedziałam, że ta odpowiedzialność wcale nie zmaleje po narodzinach ani później, wraz z dorastaniem dziecka.

Matka martwi się przecież o swoje potomstwo bez względu na to, ile ono ma lat. A może z wiekiem nawet bardziej? Słyszałam powiedzenie, że małe dzieci to mały kłopot, a duże dzieci to duży kłopot, choć chyba jeszcze nie do końca rozumiałam, co autor miał

na myśli. Cóż, na pewno każdy okres w życiu mojej pociechy będzie wiązał się z pewnymi kłopotami, obawami i zmartwieniami, po prostu ich charakter wraz z upływem lat będzie się zmieniał, co i rusz pojawiać się będą nowe wyzwania...

Czekałam na to wszystko, choć jednocześnie miałam mnóstwo wątpliwości. Macierzyństwo to z reguły nic łatwego, a jeszcze bez drugiej połówki obok, która mogłaby pomóc...

A jeśli maluszek przez całe noce będzie miał kolki i wymagał noszenia?

A jeśli ze zmęczenia popełnię jakiś poważny błąd w opiece i stanie się coś złego?

A jeśli nie będę potrafiła pogodzić zajmowania się dzieckiem z ogarnianiem obowiązków domowych?

Takie pytania mnożyły się w mojej głowie przynajmniej kilka razy dziennie. Dotyczyły różnych rzeczy, powodowały, że zaczynałam się zawczasu martwić. Już kilka razy przebudziłam się w nocy i nie mogłam ponownie zasnąć. Nachodziły mnie przeróżne myśli, rozważania, i nie potrafiłam ich uciszyć.

Teraz powtarzałam sobie, że przecież na pewno dam radę. Inne kobiety dawały, to dlaczego ze mną miałoby być inaczej? Instynkt macierzyński to coś, co rodzi się razem z dzieckiem. Czasem nie trzeba wiedzieć wszystkiego, by postąpić właściwie.

Już za kilka tygodni miałam rozpocząć spotkania z położną, która pomaga przyszłym mamom się przygotować.

Uszy do góry, Zośka – tak zawsze mawiał mój brat, gdy byliśmy mali. A ja się tego pocieszenia łapałam z całych sił, bo przecież był starszy. Co z tego, że tylko o kilka minut.

*

Przed kolejną wizytą u ginekologa odebrałam z laboratorium wyniki badań i z nimi udałam się do przychodni. Słońce grzało przyjemnie, na ulicach panował ruch i gwar, a ja czułam się tego dnia wyjątkowo dobrze.

Weszłam do budynku po kilkunastu minutach powolnego spaceru.

Była możliwość skorzystania z windy, ale przebywanie w ciasnej przestrzeni przyprawiało mnie o dyskomfort, dlatego jak zwykle wybrałam schody i wdrapałam się na drugie piętro o własnych siłach. Liczyłam, że na ostatnią wizytę ciężową też zdołam się tak wtoczyć. Mile mnie zaskoczyło, że poczekalnia jest pusta.

Spodziewałam się kolejki. Przy drzwiach gabinetu widniała informacja, że trwa badanie, więc usiadłam na kanapie i odruchowo wyciągnęłam z torby telefon. Nie chciało mi się jednak scrolować bezsensownie Facebooka czy Instagrama. Miałam konta na tych portalach społecznościowych, lecz oba w zasadzie nieaktywne od śmierci Sebastiana. Wolałam się nie udzielać, gdy wszyscy wiedzieli, co zrobił mój brat. Każdy wpis, niezależnie od wydźwięku, wywołałby pewnie mnóstwo komentarzy o tym, jak przeżywam lub nie przeżywam żałoby. Postanowiłam ich nie prowokować, i tak miałam dość zmartwień i smutków. Czasami zdarzyło mi się tylko udostępnić na tablicy jakąś zbiórkę na rzecz potrzebujących zwierząt, bo od dawna wspierałam organizacje dbające o naszych braci mniejszych.

Kilka z nich otrzymało ode mnie comiesięczne przelewy.

Szczególną miłością darzyłam fundację, z której zaadoptowałam

Prymulkę, bo to dzięki nim moja ukochana kicia uszła z życiem po koszmarnym wypadku... Sięgnęłam więc po notes, w którym prowadziłam zapiski z ciąży. Otworzyłam na pierwszej czystej stronie i zanotowałam na samej górze datę, a następnie aktualny tydzień i dzień tego wyjątkowego stanu. Zostawiłam miejsce na wklejenie zdjęcia z USG, które zaraz miałam otrzymać, i napisałam kilka zdań.

Cześć, Okruszku,

siedzę właśnie w poczekalni u pana doktora i czekam na kolejne spotkanie z Tobą. Jestem ciekawa, jak bardzo urosłaś/eś.

Zobaczę, jak się ruszasz, bo jeszcze nie jestem w stanie tego poczuć.

Modłę się, by wszystko było dobrze, bo w tej chwili nic nie jest dla mnie ważniejsze niż Ty.

Postawiłam kropkę w chwili, gdy drzwi się otworzyły i do poczekalni weszła inna pacjentka. Miała już wyraźnie widoczny brzuch, jasne włosy związane w niski kok i bladą twarz. Przywitała się ze mną przyciszonym głosem i usiadła obok na kanapie.

Schowałam notatnik do torebki i oczekiwałam na wizytę, kątem oka patrząc, jak kobieta siedzi z opuszczoną głową i w zadumie gładzi swój brzuch.

Coś dziwnego i trudnego do zidentyfikowania ścisnęło mnie w mostku. Trudno to opisać, ale miałam wrażenie, jakby otaczała ją tak intensywna aura smutku, jak mnie przez pierwsze dni po odejściu Sebastiana. Być może była w żałobie... Miała na sobie jasną, dość luźną sukienkę, ale sama doskonale wiedziałam, że ubiór o niczym nie świadczy. Wzięłam głęboki oddech, a wtedy kobieta drgnęła i popatrzyła na mnie swoimi dużymi, błękitnymi, szklistymi od wzbierających łez oczami.

– Przepraszam, ale... czy wszystko w porządku? – odważyłam się zapytać, choć czułam, jakby serce podskoczyło mi gdzieś na wysokość gardła.

Pociągnęła nosem i pospiesznie otarła kącik oka, usuwając podstępny łzę, która się wymknęła.

– Chciałabym, żeby tak było – przyznała zduszonym głosem. –

A z pani maluszkiem?

– Tak, wszystko dobrze – odpowiedziałam ostrożnie, bo nie wiedziałam, czego się spodziewać po tej rozmowie.

– Ja na ostatniej wizycie usłyszałam coś, co chciałabym wymazać z pamięci... – wyznała, a po moich plecach przebiegł lodowaty dreszcz przerażenia. – Mój syn prawdo podobnie urodzi się z poważną wadą serca, a jedyną szansą, by mógł przeżyć, będzie operacja w pierwszej, najpóźniej drugiej dobie życia.

Poczułam, jakby ktoś wylał na mnie kubeł wypełniony kostkami lodu. Zrobiło mi się zimno, a dłonie zaczęły lekko drżeć, nie mogłam nad tym zapanować. Patrzyłam na tę kobietę szeroko otwartymi oczami, widziałam jej przerażenie i ból. Nagle wydała mi się drobna, wręcz zbyt mała, by dźwigać ciężar tak strasznej diagnozy.

Nie musiała mi o tym wszystkim mówić, ale może fakt, że oprócz nas w poczekalni nie było nikogo, sprawił, że zechciała się zwierzyć przed obcą osobą. Bo czasem łatwiej powiedzieć o czymś przykrym komuś nieznanemu niż rodzinie, chcącej jakoś ratować sytuację, przez co człowiek tylko dobitniej uświadamia sobie swoją rozpacz i bezsilność.

– Tygodnie od ostatniej wizyty spędziłam na jeździe od lekarza do lekarza. Leżałam w szpitalu przez dwa tygodnie, ciągle badali, sprawdzali, dyskutowali między sobą. Mąż zjechał z delegacji za granicą, by być przy mnie. Bardzo się boję, wie pani? Jak oni chcą zoperować tak małe serduszko? Przecież wszystko może pójść nie tak... – Głos jej się załamał i zaczęła płakać.

Przysunęłam się bliżej do kobiety i złapałam ją za rękę. Nie chciałam rzucać pustych słów, bo ona nie tego potrzebowała. Co więc mogłam powiedzieć, żeby było najbardziej odpowiednie? Serce mi pękało na widok jej cierpienia, na myśl o tym małym dziecku, które nosiła, wiedząc, że po jego narodzinach nie będzie chwil szczęścia, a wyłącznie strach...

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego takie okropne sytuacje muszą kogokolwiek spotykać? Byłam więcej niż pewna, że siedząca obok mnie kobieta absolutnie sobie na coś takiego nie zasłużyła.

– Proszę pamiętać, że medycyna w dzisiejszych czasach jest już na bardzo wysokim poziomie. Lekarze potrafią zoperować dziecko w łonie mamy, więc zaopiekują się pani synkiem najlepiej, jak to możliwe – powiedziałam spokojnie, choć wewnątrz wszystko we mnie drżało.

Kobieta przytaknęła, jakby bardzo pragnęła uwierzyć w moje słowa. Nic dziwnego, że nachodziły ją ponure myśli. W tak trudnej sytuacji raczej nie sposób ich uniknąć. Na szczęście miała wsparcie męża, co z pewnością było dla niej na wagę złota. Tak naprawdę nie mogłam sobie wyobrazić, co dzieje się w głowie matki, która ma realne powody, by bać się o swoje dziecko.

– Nie mogę się poddać. Ani załamać. Nie mogę – wyszeptała pod nosem, bardziej chyba do samej siebie aniżeli do mnie.

– Zgadzam się. Synek potrzebuje pani siły, nawet tej najmniejszej

– odpowiedziałam i raz jeszcze uścisnęłam jej dłoń. – Proszę jednak nie wyrzucać sobie, że czasem pani upada, płacze, odpuszcza... To ludzkie. I potrzebne każdemu, a przede wszystkim każdej z nas.

Popatrzyła na mnie tak, jakbym właśnie za pomocą tych słów podarowała jej coś bardzo cennego.

– Mogę mieć jedną prośbę? – zapytała nieoczekiwanie.

– Oczywiście.

– Jeśli jest pani osobą wierzącą, to proszę... Proszę, niech się pani pomodli za moje dziecko. Choć raz.

Na chwilę odebrało mi mowę i poczułam, że zaraz rozplączę się jak mała dziewczynka. Odchrząknęłam i przytaknęłam. Udało mi się posłać tej kobiecie uśmiech.

– Będę się modlić za pani synka, obiecuję.

– Zdrowie dziecka to największa wartość. Nie ma niczego, co byłoby od tego ważniejsze – wyszeptała, jakby to była jej własna modlitwa.

Miała rację. Całkowitą i niemożliwą do podważenia rację. Tylko to jedno się liczyło, cała reszta nie miała aż tak wielkiego znaczenia i ze wszystkim innym można było sobie poradzić z większym bądź

mniejszym trudem.

Usłyszałam, że drzwi gabinetu się otwierają, więc nadeszła moja kolej. Musiałyśmy zakończyć rozmowę. Wstałam z kanapy i obejrzałam się przez ramię.

– Mam na imię Zośka. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

– A ja Matylda. Mam taką nadzieję – odpowiedziała i uśmiechnęła się do mnie tak szeroko, jak potrafiła poprzez cały swój trudny do opisanego ból.

*

Doktor Dziekańczyk rozpoczął wizytę od przestudiowania moich wyników, po czym wypełnił kolejną rubrykę w tabelce karty ciąży i poprosił, bym przygotowała się do badania na fotelu ginekologicznym.

Później położyłam się na kozetce i z podekscytowaniem czekałam, aż zobaczę obraz z USG na zawieszonym pod sufitem monitorze. Jak zawsze widok był początkowo niewyraźny, ale już chwilę później mogłam dostrzec główkę, maleńkie rączki, nóżki i brzuszek.

– Proszę zobaczyć, macha do mamy – powiedział lekarz z uśmiechem, a mnie wzruszenie wprost ścisnęło za gardło. Też to dostrzegłam.

Rozpoczęło się badanie, podczas którego doktor jak zawsze na bieżąco opisywał mi, co sprawdza i dlaczego. Słuchałam go uważnie, choć mój wzrok był całkowicie skupiony na tym, co pokazywał monitor. Te wizyty uświadamiały mi z całą mocą, że to maleństwo naprawdę rozwijało się w moim brzuchu. Klatkę piersiową wypełniło mi jedyne w swoim rodzaju ciepło matczynej miłości. Wiedziałam, że

to ona, bo nigdy wcześniej nie czułam czegoś tak czystego i silnego.

Uczucie do rozwijającego się maleństwa rosło w siłę każdego dnia.

Nie wyobrażałam sobie więc, jak będę kochać, gdy już się urodzi.

– Dzieciątko rozwija się bez zarzutów. Łożysko mamy wysoko osadzone, ilość płynu owodniowego w normie. Już niebawem zacnie pani czuć ruchy. Być może nawet przed kolejną wizytą – powiedział i wręczył mi papier, bym mogła wytrzeć z brzucha pozostałości żelu.

– W którym tygodniu powinno się to wydarzyć? – zapytałam.

Nie mogłam się doczekać tego ważnego momentu.

– W pierwszej ciąży ruchy płodu powinny być odczuwalne dla matki do dwudziestego tygodnia ciąży. Myślę jednak, że nastąpi to wcześniej.

Z sercem wypełnionym radością i ciepłem zniknęłam za drzwiami przylegającej do gabinetu łazienki, ubrałam się i wróciłam do biurka doktora Dziekańczyka.

– Proszę zacząć przyjmować już witaminy dla kobiet w drugim trymestrze ciąży.

Na kolejną wizytę tylko morfologia, jeśli chodzi o wyniki badań. Gdyby działo się coś niepokojącego, to oczywiście proszę od razu pisać lub dzwonić. Odradzam nadmierne dźwiganie, zalecam zaś dużo spacerów i zdrowe odżywianie. Wymioty i mdłości ustały?

– Jest dużo lepiej, choć nadal zdarza mi się jeszcze wymiotować.

Jednak obecnie jestem w stanie już zrobić coś więcej niż leżenie na kanapie – odpowiedziałam i popatrzyłam na doktora znacząco.

Uśmiechnął się i przytaknął.

– Drugi trymestr z reguły jest dla kobiet najprzyjemniejszy, więc proszę się jak najbardziej cieszyć tym czasem.

Z tymi słowami w głowie opuściłam gabinet, napotykając spojrzenie czekającej na swoją kolej Matyldy. Uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłam ten gest. Chciałam coś powiedzieć, lecz tak naprawdę nic sensownego i odpowiedniego nie przychodziło mi

do głowy. Musiała bardzo bać się tego, co za moment może usłyszeć, podczas gdy ja na każdą swoją wizytę czekałam w ogromnym podekscytowaniu. Doktor kazał mi się cieszyć tym czasem, a ona... Ona nie mogła. Bo za bardzo bała się o los swojego nienarodzonego synka z wadą małego serduszka.

13. Kuba

Martyna uparła się, że chce poznać Zośkę. Całkowicie mnie tym zaskoczyła. Próbowałem zrozumieć, skąd taki pomysł.

– Z twoich opowieści wynika, że jest bardzo samotna. Może mogłybyśmy się zaprzyjaźnić – wyjaśniła ze szczerym uśmiechem i wzruszeniem ramion.

Nie brzmiała, jakby jej słowa miały drugie dno. Na próżno było doszukiwać się w tym jakichś nieczystych intencji. Martyna miała silny charakter, ale jednego nie mogłem jej odmówić: kochała ludzi, czas z nimi, rozmowy. Zośce zaś tych rozmów, ludzi i czyjegoś czasu bardzo brakowało. Jakiś wewnętrzny głos wyrażał jednak sprzeciw na pomysł mojej narzeczonej. Ale pytałem sam siebie: dlaczego miałbym ich ze sobą nie poznać?

Często łąpałem się na tym, że zerkam z balkonu w okna mieszkania Zośki. Sprawdzałem, czy rolety są podniesione, a może któreś ze skrzydeł uchylone. Wtedy prawdopodobnie była na miejscu, bo zdążyłem zauważyć, że zawsze zamykała wszystko na cztery spusty przed wyjściem. Jak za dawnych czasów: przezorny zawsze ubezpieczony.

Martyna była zdecydowana, żeby zapoznać się z Zośką, dlatego pomyślałem, że wpadniemy do niej po południu następnego dnia.

Moja narzeczona przyjęła ten pomysł z ogromnym entuzjazmem.

W sobotni poranek upiekła przepysznie pachnące ciasto drożdżowe ze śliwkami i kruszonką, dokładnie takie, jak serwowała często jej

mama w domu rodzinnym. Kilka minut po piętnastej zerknąłem przez szybę drzwi balkonowych i upewniłem się, że Zośka jest w mieszkaniu, a po kilku minutach z Martyną zapukaliśmy do drzwi mojej dawnej przyjaciółki. Otworzyła w ciągu krótkiej chwili, zaskoczona. Najpierw jej wzrok spoczął na mnie, a gdy popatrzyła na stojącą obok mnie kobietę trzymającą blachę ciasta przykrytego folią aluminiową, wydała się wręcz zdumiona.

– Hej – powiedziała niepewnie.

– Cześć. Zauważyłem, że jesteś dziś u siebie, a moja narzeczona bardzo chciała cię poznać, więc pomyśleliśmy, że wpadniemy z niezapowiedzianą sąsiadką wizytą – wyjaśniłem naprędce, by jak najszybciej pozbyć się niezręczności. – Oto Martyna. A to Zośka – przedstawiłem je sobie i patrzyłem, jak witają się uściskiem ręki.

Zośka nadal wyglądała, jakby zbyt wiele z tego nie rozumiała.

Miała na sobie luźną granatową sukienkę w grochy, a włosy upięła w wysoki kok. Przed lata ubierała się tak i czesała, gdy miała do wykonania jakieś domowe obowiązki. Im więcej spotkań w tej nowej, dorosłej rzeczywistości zaliczaliśmy, tym więcej podobieństw dostrzegałem między nastoletnią Zośką a jej dorosłą wersją.

– Wejdźcie, zapraszam! – zreflektowała się po chwili, gdy zdała sobie sprawę, że stoimy na progu, a chwila milczenia niepokojąco się przedłuża. – Przepraszam za bałagan, ale kończę porządkować właśnie wszystkie moje bibeloty po przeprowadzce.

– Nie chcieliśmy robić kłopotu, ale upiekłam ciasto, a Kuba dużo mi o tobie opowiadał, więc pomyślałam, że miło będzie się poznać. –

Martyna w końcu zabrała głos i uraczyła Zośkę promiennym uśmiechem.

– To bardzo miłe. Dziękuję! Rozgośćcie się, a ja przyniosę talerzyki.

Napijcie się czegoś? – zapytała, a ja odniosłem wrażenie, że jest dziwnie roztargniona, ale też jakby zakłopotana. Może dlatego, że ją po prostu zaskoczyliśmy tą niezapowiedzianą wizytą.

– Ja poproszę kawę – odpowiedziała moja narzeczona.

– Ja też, jeśli to nie problem – dodałem.

Zośka zaprzeczyła szybko ruchem głowy, po czym zniknęła w kuchni, a Martyna położyła blachę z plackiem drożdżowym na stoliku i zdjęła folię aluminiową. Zapach ciasta rozszedł się po całym pokoju. Chwilę później wszyscy siedzieliśmy już na kanapie i w sumie tak się złożyło, że ja byłem w środku, po prawej miałem narzeczoną, po lewej znajomą. Na naszych talerzykach znajdowały się spore kawałki ciasta, w dwóch kubkach parowała kawa, a dla siebie Zośka przyniosła bardzo słabą herbatę.

– Przepyszne – pochwaliła Zosia, gdy wzięła do ust pierwszy kęs. –

Cieszę się, że mogę już cokolwiek jeść – dodała ze śmiechem dla rozluźnienia atmosfery.

– Tak, Kuba wspominał mi, że spodziewasz się dzidziusia! Ogromne gratulacje! – Martyna zwróciła się do Zośki z całą swoją serdecznością.

Widziałem, że jej zależy, szczerze się starała, by znaleźć jakąś nić porozumienia. Ona po prostu taka była. Niczego nie wymuszała, nie udawała, nie próbowała grać i ugrać. Poruszyło ją, gdy powiedziałem, że moja dawna znajoma jest w ciąży, że została sama, a do tego przeżywa żalobę. Uważała, że lekiem na samotność jest rozmowa z kimś, kto chce i potrafi słuchać. A ona potrafiła.

Miała duszę otwartą na ludzi. Idealny materiał na przyjaciółkę. Od dawna to wiedziałem i niesamowicie ją za to kochałem.

– Dziękuję. To dla mnie ważny moment. Teraz, gdy wreszcie czuję się lepiej, mogę zacząć cieszyć się tym stanem. Wcześniej każdy mój dzień oznaczał leżenie na kanapie i inne mało przyjemne „atrakcje” –

odpowiedziała ze znaczącą miną.

– Och, domyślam się, co masz na myśli. A mogę zapytać, który to tydzień?

– Właśnie trwa piątnasty – odpowiedziała Zośka i z czułością dotknęła brzucha, którego wypukłość była już coraz wyraźniej dostrzegalna.

Zwłaszcza teraz, gdy siedziała i luźny krój sukienki nieco lepiej przylegał do jej ciała.

– Ani się obejrzyysz i będzie połowa. Poczujesz ruchy... Ach, to takie rozczulające!

– Czekam na moment, gdy je poczuję, choć pewnie nie raz otrzymam kopniaka w pęcherz lub pod żebra, ale takie uroki ciąży – zaśmiała się Zośka, a ja, przysłuchując się tej rozmowie z boku, zdałem sobie sprawę, że początkowa niezręczność na szczęście zaczęła znikać.

– Myślę, że w przyszłym roku i my będziemy to przeżywać, prawda? – Martyna zwróciła się do mnie, a jej wzrok błyszczał od nadmiaru emocji.

– To bardzo możliwe – odpowiedziałem i lekko musnąłem jej dłoń.

Nie chciałem przy Zośce okazywać swojej narzeczonej zbyt wiele czułości, bo wiedziałem, że mocno przeżywa rozstanie ze swoim pozał się Boże partnerem, który zachował się jak zwykły tchórz, a nie facet. Być może nie zrobiło by to na niej większego wrażenia, a może odebrałaby to jako cios. Nie chciałem ryzykować. Była w ciąży i potrzebowała otaczać się tym, co dobre, bo smutku w życiu miała już i tak zbyt wiele.

Zośka odchrząknęła lekko, upiła łyk herbaty i zjadła kolejny kęs ciasta. Gdy ponownie na nas spojrzała, miała na twarzy uśmiech.

– Słyszałam, że przygotowujecie się właśnie do ślubu. I ja gratuluję!

– Tak! Teoretycznie mamy już prawie wszystko gotowe, a w praktyce nadal mnóstwo spraw do załatwienia! – Martyna z entuzjazmem podjęła temat. Lubiła opowiadać o przygotowaniach do naszego „wielkiego dnia”, jeśli za rozmówcę i słuchacza w jednym miała kogoś, kto nie był jej wiecznie naciskającą na coś mamą.

I tak przez kolejnych kilka minut Zośka i Martyna maglowały typowo kobiece tematy, a ja słuchałem, obserwując je z boku. Obie z chwili na chwilę dogadywały się coraz lepiej. Śmiały się razem, zadawały sobie pytania i wyglądało to jak najbardziej naturalnie. Pod względem wizualnym były całkowicie różne, jeśli chodzi o charakter i sposób bycia, to... mogłem tylko zgadywać, że i w tym przypadku znacząco się różniły. Martynę znałem na wylot (choć ona lubiła mawiać, że związek to codzienne poznawanie się i tak naprawdę nawet po latach bycia razem nie wie się o drugiej osobie wszystkiego), Zośkę zaś w pewnym sensie odkrywałem na nowo, jakkolwiek by to nie brzmiało. Pamiętałem doskonale, jaka była kiedyś. Teraz stanowiła połączenie dawnej i nowej siebie. Już nie była tak beztroska jak dawniej. Trzymała ludzi na dystans, czego o mojej narzeczonej nie mógłbym powiedzieć.

Nasze ponowne spotkanie sprawiło, że zacząłem wracać pamięcią do przeszłości, tych doskonałych dni spędzanych na wakacyjnych szaleństwach z nią, Sebą i resztą paczki. Analizowałem, co by było, gdyby nasz kontakt nigdy się nie urwał, gdybyśmy wtedy bardziej się postarali, by pozostać w swoim życiu.

Jednego mogłem być pewien: dziś nadal bylibyśmy przyjaciółmi, a nie znajomymi z dawnych lat. I z pewnością to ją poprosiłbym, żeby została moją świadkową na ślubie. Obecnie już nie zawierałem tak bliskich relacji, jaką miałem przed laty z Sebą i jego siostrą.

Podchodziłem do ludzi zdecydowanie bardziej pragmatycznie.

Ostrożności nauczyło mnie życie, podobnie jak nieufności. Liczyła się dla mnie Martyna i to, co razem tworzyliśmy. Inni byli kolegami i koleżankami, lecz nie kimś, kogo mógłbym nazwać przyjacielem.

Oprócz narzeczonej najlepsze relacje miałem z siostrą, z bratem – wyłącznie poprawne.

Dziewczyny trajkotały jak katarynki, a ja rozmyślałem i tylko co jakiś czas wtrącałem coś do rozmowy. Tak spędziliśmy czas aż do wieczora.

14. Zośka

Kuba i jego narzeczona bardzo zaskoczyli mnie swoją niezapowiedzianą wizytą. Robiłam właśnie lekkie domowe porządki, by raz na zawsze zakończyć temat przeprowadzkowego chaosu i uporządkować moje bibeloty, gdy stanęli na progu mieszkania z ciastem wodzącym swym zapachem na pokuszenie, a ja w oszołomieniu zaprosiłam ich do środka.

Pierwsze, co mnie uderzyło, to jak piękną są parą. Martyna była wysoka, miała filigranową twarz modelki, duże oczy i uroczy uśmiech. Pasowała idealnie do Kuby, który pomimo jej wzrostu i nóg długich aż do nieba i tak przewyższał ją o głowę. Przy nich wypadałam dość żałośnie z moimi stu sześćdziesięcioma pięcioma centymetrami.

Początkowo było dość niezręcznie. Kuba próbował rozładować napięcie, a jego partnerka starała się zapoczątkować jakąś rozmowę.

Emanowała szczerą serdecznością i w końcu, pomimo oporów, poddałam się temu. Pierwsze koty za płoty, a potem poszło już jak z płatka. Pochłonęły nas tematy macierzyństwa i planowania wesela.

Omawialiśmy pomysły Martyny na dekoracje i moją wizję kompletowania wyprawki. Poczulałam się swobodnie przy tej kobiecie, miałam wrażenie, że ona właśnie w taki sposób działa na ludzi.

Choć ciasto drożdżowe kusilo zapachem, by sięgnąć po kolejny kawałek, rozsądek nakazał mi zatrzymać się na jednym, moi goście natomiast pałaszowali chętnie i w ogóle im się nie dziwiłam.

To popołudnie minęło zupełnie inaczej, niż zaplanowałam, ale nie żałowałam, bo było bardzo miło.

*

Wieczorem, gdy byłam już gotowa do snu, z pościeli wyrwał mnie dźwięk dzwoniącego w salonie telefonu. Melodyjka z pewnością nie dobywała się z mojej komórki – która miała inny sygnał, zresztą leżała obok mnie, na szafce nocnej. Zmarszczyłam brwi i poszłam za dźwiękiem, a chwilę później znalazłam smartfon wciśnięty pomiędzy poduszki kanapy. Musiał należeć do Kuby – wywnioskowałam to po zdjęciu na tapecie z uśmiechniętą Martyną. To ona właśnie dzwoniła, a ja nie zdążyłam odebrać. Ekran posiadał blokadę, więc miałam do wyboru poczekać na kolejny telefon i wtedy wyjaśnić sytuację lub ubrać się szybko i zanieść Kubie jego zgubę do mieszkania. Że też przez tyle czasu nie zorientował się, że nie ma komórki...

Po chwili jego narzeczona ponowiła połączenie.

– Halo? – odebrałam.

– Eee... Kuba? – Brzmiała na tak skonfundowaną, jak się spodziewałam.

– Zośka. Właśnie przed chwilą zauważyłam, że Kuba zostawił u mnie swój telefon.

Domyślałam się, że sam jeszcze o tym nie wie. Był wciśnięty między poduszki kanapy. Znalazłam go, gdy zadzwoniłaś.

Po drugiej stronie rozległ się perlisty śmiech.

– A to gapa z niego! – Była szczerze rozbawiona.

– Jeśli coś pilnego, to zaraz mu zaniosę tę komórkę –

zaoferowałam, choć szczerze mówiąc, marzyłam już o wygodnej poduszce i śnie.

– Daj spokój. Jest już ciemno. Nie wychodź nigdzie. To może poczekać do jutra. A Kuba, jeśli zda sobie sprawę z braku telefonu, to trochę się podenerwuje i będzie miał nauczkę, żeby następnym razem lepiej pilnować swoich rzeczy – odpowiedziała serdecznym,

choć zdecydowanym tonem. Pomimo słów o nauczce słychać było w jej głosie ogrom czułości.

– Wydaje mi się, że on jest na co dzień całkiem dobrze zorganizowany. – Zaryzykowałam to stwierdzenie, choć nie miałam przecież żadnej pewności, że tak właśnie jest.

– Jego praca tego wymaga, choć czasami bierze za dużo obowiązków i wtedy na ratunek przychodzi mu współpracownicy –

odpowiedziała. – Gdyby wiedział, że właśnie go obgadujemy... – zachichotała.

– Chyba nie byłby zadowolony – odpowiedziałam z lekkim rozbawieniem.

– Spokojnie. Kuba ma dystans do siebie – zapewniła.

Faktycznie. Kiedyś też miał, więc najwyraźniej nic się w tej kwestii przez lata nie zmieniło – pomyślałam mimowolnie.

Pożegnałam się z Martyną i zaczęłam obracać komórkę Kuby w dłoniach. Coś mi mówiło, że powinnam jednak włożyć jakieś ubrania i pójść oddać mu jego własność. Nie musiał mieć żadnej nauki, w końcu każdemu zdarzało się czasami coś zgubić lub o czymś zapomnieć. To żadna zbrodnia. Pokonałam więc swojego wewnętrznego lenia i naciągnęłam na siebie ostatnie dzinsy, w które mieściłam się ja i mój coraz bardziej widoczny brzuszek, a na koszulkę od piżamy narzuciłam bluzę. Związałam włosy w kucyk, wzięłam telefony, Kuby i swój, po czym zamknęłam mieszkanie (jak zawsze upewniłam się trzy razy, że na pewno jest zamknięte – to był mój głęboko zakorzeniony nawyk) i ruszyłam do budynku znajdującego się naprzeciwko.

Kilka minut później zapukałam do drzwi mieszkania Kuby. Nie stałam przed nimi od wieków. Ostatni raz, gdy miałam naście lat i przyszłam zapytać, czy chce wyskoczyć z nami na przejażdżkę rowerową. Doskonale pamiętałam tamten słoneczny dzień.

Zadziwiające, jak wiele wspomnień zaatakowało moją głowę przez te kilka sekund, gdy czekałam, aż właściciel zguby pojawi się w drzwiach.

Kuba zdziwił się na mój widok. Pewnie taką samą minę miałam ja kilka godzin temu, gdy on i Martyna pojawili się na moim progu.

– Cześć. Wybacz, że przychodzę tak późno, ale... – Urwałam i wyciągnęłam z kieszeni bluzy jego komórkę.

Odebrał ją ode mnie bez przekonania, ale sekundę później zrozumienie całej sytuacji rozluźniło jego twarz.

– Zostawiłem go u ciebie? Nawet się nie zorientowałem. Po wyjściu Martynty od razu usiadłem do pracy i jakoś nie miałem potrzeby sięgać po telefon – wytłumaczył i zaśmiał się lekko, kręcąc głową.

– Też bym nie miała pojęcia, że znalazł się między poduszkami kanapy, ale zaczął dzwonić, gdy właśnie kładłam się spać, i wtedy go znalazłam.

– Niepotrzebnie fatygowałaś się o tej porze, żeby mi go oddać.

Pewnie jutro sam bym wydedukował, gdzie go zostawiłem, i zgłosiłbym się po zgubę.

– Nie chciałam, żebyś się martwił – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, jednak już ułamek sekundy później poczułam się z niewiadomych przyczyn dziwnie zakłopotana, że te słowa opuściły moje usta. Wsunęłam ręce w kieszenie bluzy i skuliłam ramiona, jakby było mi zimno, choć wcale nie było.

– Dziękuję ci, Zośka. Pozwolisz się wobec tego odprowadzić? – zaproponował.

Parsknęłam śmiechem. Nie było to w żaden sposób ironiczne ani prześmiewcze. Rozbawił mnie, bo miałam déjà vu – zachował się właśnie tak, jak wielokrotnie zachowywał się przed laty.

– Daj spokój. Przecież to żabi skok. Przejdę tylko przez podwórze –
odpowiedziałam szybko. – Nadal masz potrzebę ochraniać każdego, kto pojawi się wokół ciebie? Syndrom superbohatera nie zaniknął. – Drugie zdanie nie było pytaniem. Stwierdzałam oczywisty fakt.

– A ty nadal jesteś zosią-samosią, która nigdy mojej superochrony nie chciała – odgryzł się i uniósł lekko brew, a na jego usta wpłynął zawadiacki uśmiech.

Słowo daję, ten jeden gest odmłodził go nagle o kilkanaście lat.

– No wiesz, imię zobowiązuje – zażartowałam i posłałam mu szeroki uśmiech.

Kiedy ostatni raz cieszyłam się w taki sposób? Chyba na długo przed tym, zanim zaczęły się problemy ze zdrowiem psychicznym mojego brata.

– To może chociaż wejdiesz na chwilę? Nie zmieniłem tu zbyt wiele, odkąd zabrakło babci i dziadka – zaoferował nieoczekiwane.

Okej, przyznaję. W pierwszym odruchu chciałam się zgodzić. Byłam ciekawa, co by się wydarzyło w mojej pamięci, gdybym ponownie znalazła się w tych wnętrzach, pamiętających nasze beztroskie młodzieńcze dni. Szybko jednak dotarło do mnie, że przecież bardzo chciało mi się spać, a godzina bynajmniej nie była odpowiednia na sąsiedzkie odwiedziny.

– Jest już późno. Innym razem chętnie skorzystam. Jestem ciekawa, czy mieszkanie wygląda podobnie, jak zapamiętałam –

odpowiedziałam serdecznie i lekko przekrzywiłam głowę, przypatrując się Kubie. – Powiem ci przy okazji, że twoja narzeczona jest świetną kobietą. Pasujecie do siebie.

Uśmiechnął się tak, że w kącikach jego oczu pojawiły się delikatne zmarszczki.

– Cieszę się, że tak uważasz. Martyna też bardzo cię polubiła.

Westchnęłam. Miałam za sobą naprawdę udany i miły dzień. Czas już było go zakończyć w mojej mięciutkiej pościeli w kolorze miętowym i być może zasnąć z uśmiechem na ustach.

– Będę się zbierać. Nie musisz mnie odprowadzać. Za chwilę zobaczysz, że zapala się u mnie światło – zapewniłam i puściłam Kubie oko.

Przytaknął i odparł, że trzyma mnie za słowo.

Po powrocie do mieszkania od razu podeszłam do okna w kuchni.

Zaczęłam się śmiać, gdy zobaczyłam Kubę w łagodnej poświacie lampy, machającego mi ze swojego balkonu.

*

Postanowiłam pójść na cmentarz i tym razem odwiedzić grób rodziców. Czerwiec rozpieszczał pogodą: było ciepło, choć nie gorąco, i nie chciałam siedzieć w mieszkaniu. Ciągnęło mnie do spacerów, tym bardziej teraz, gdy po kilku trudnych tygodniach wróciły mi siły do życia.

Stragan pani Stasi dostrzegłam już z daleka. Raczyła swoich klientów miłym uśmiechem i właśnie za to między innymi tak bardzo uwielbiałam tę staruszkę – potrafiła otulić chwilą rozmowy i podnieść na duchu nawet wtedy, gdy nie zdawała sobie tego sprawy. Po prostu... zawsze wiedziała, co powiedzieć, by człowiekowi zrobiło się lżej na sercu. Dziś zamierzałam nie tylko kupić u niej bukiet żywych kwiatów dla rodziców, ale i powiedzieć o tym, co się u mnie zmieniło w ostatnim czasie. Nie byłyśmy rodziną, jednak czułam się z panią Stasią w

jakiś sposób związana. Rozmawiałyśmy ze sobą od dawna, czasem kilka minut, czasem nawet godzinę. Powstała z tego relacja, która wiele dla mnie znaczyła.

Stragan staruszki stał w cieniu wielkiego klonu, lecz ona i tak ubrała dziś słomkowy kapelusz dla ochrony głowy. Wyglądała swojsko, domowo, rodzinnie. I były takie chwile, gdy bardzo przypominała mi moją ukochaną babcię.

– Dzień dobry, pani Stasiu – przywitałam się z uśmiechem.

Jej twarz rozpromieniła się na mój widok.

– Zosieńko! Jak miło cię widzieć! – powiedziała entuzjastycznie. –

Dzisiaj odwiedzasz rodziców? – zapytała.

– Tak, dokładnie.

– Mam dla nich coś wyjątkowego – odparła i sięgnęła do jednego z kilku dużych wiader, w których stały kwiaty. Wybrała bukiet polny, który był tak prosty, a jednocześnie niesamowicie piękny. – Co myślisz?

– Idealny – przyznałam szczerze. Od razu położyłam jej na ladzie banknot, bo nie chciałam, by kolejny raz poprosiła o stanowczo zbyt małą kwotę. Już zamierzała wydać mi resztę, lecz spojrzałam na nią znacząco i pokręciłam głową. – Jak zdrówko, pani Stasiu? – zagadnęłam.

– Och, nie najgorzej. Kilka dni temu trochę bolało mnie w kolanie, ale wysmarowałam i już działa jak za młodu!

Nie mogłam wyjść z podziwu dla tej kobiety. Miała swoje lata, ale gdy większość ludzi w jej wieku zajmowała się narzekaniem i chodzeniem po wszystkich możliwych lekarzach, ona nadal pracowała i była tak energiczna, jak niejedna trzydziestolatka.

– Ty za to promieniejesz, kochanieńka – zauważyła i posłała mi swoje czułe, niemal babcine spojrzenie.

– W zasadzie to jest coś, co chciałabym pani powiedzieć – zaczęłam, tuląc do piersi bukiet polnych kwiatów dla rodziców.

– Zamieniam się w słuch!

Odgarnęła z twarzy kosmyki siwych włosów, które wymknęły się pod kapelusza i pod wpływem wiatru żyły swoim życiem. Jej jasne spojrzenie utkwione było w mojej twarzy.

– Spodziewam się dziecka – powiedziałam, czując, jak te słowa wywołują uczucie ciepła w mojej klatce piersiowej.

Byłam już na takim etapie ciąży, gdy nie bałam się dzielić moim małym-wielkim szczęściem. Bałam się najbardziej pierwszego trymestru – wtedy mogło wydarzyć się wiele złych rzeczy, tym bardziej że los nie szczędził mi stresu. Teraz natomiast z wolna zaczynałam osiągać spokój, który coraz częściej przechodził w świadomą radość. I to taką, która nie wywoływała wyrzutów sumienia z racji przeżywanej żałoby, bo wiedziałam, że mój brat cieszyłby się razem ze mną.

– Już od jakiegoś czasu to wiedziałam – odpowiedziała pani Stasia, w ogóle niezaskoczona.

Popatrzyłam na nią skonfundowana.

– Jak to? Przecież nic nie mówiłam...

– Nie mówiłaś – potwierdziła, skinąwszy głową. – Jednak coś ci powiem, Zosieńko... – Pochyliła się lekko nad straganem w moim kierunku. – Miłość matki do nienarodzonego dziecka uskrzydla. Nie każdy potrafi te skrzydła dostrzec, zobaczyć, ale ja ujrzałam je od razu. Przyszłej mamie zmienia się nie tylko ciało, ale i samo spojrzenie. Byłaś inna już kilka tygodni

temu. Zmartwiona i smutna, skrzywdzona przez żalobę, a jednak jakby podtrzymywana na powierzchni przez kogoś maleńkiego, wyczekiwanego i od początku bardzo przez ciebie kochanego.

Po jej słowach na chwilę zabrakło mi tchu. Nie po raz pierwszy trafiła w samo sedno, ale ja nadal nie potrafiłam przyzwyczaić się do tego, że tak trafnie odczytuje ludzi. Było w tej kobiecie coś niezwykłego, jakby magicznego. Upatrywałam w niej takiej dobrej wróżki, której bardzo mi w życiu brakowało, od kiedy zgasły najbliższe mi osoby.

– To piękne, co pani powiedziała... – przyznałam cicho, bo wzruszenie zaczęło ścisnąć mi gardło.

– Sama prawda. Otacza cię teraz piękna aura. Widzę leciutko zaokrąglony brzusek, lecz twoje macierzyństwo po prostu jest wokół ciebie. Jeszcze niepewne, niedojrzałe, ale na stałe obecne.

Wiesz, co myślę?

– Co takiego, pani Stasiu? – zapytałam poruszona.

Przeprowadzałyśmy właśnie kolejną z wielu ważnych i przełomowych rozmów. Wiedziałam już, że tej konkretnej nie zapomnę, a nawet zamierzałam ją spisać w notatniku dla mojego dziecka. By za kilka lub kilkanaście lat wiedziało, że znałam kiedyś pewną wyjątkową staruszkę, która miała dar odczarowywania ponurej codzienności i otulania samą swoją obecnością.

– Sebastian zesłał ci to największe w życiu szczęście.

Wstrzymałam oddech. Czułam i myślałam przecież tak samo.

– Mnie też się tak wydaje – przyznałam po cichu.

Ta rozmowa szarpała wiele strun moich ciągle wrażliwych emocji.

– Ja jestem tego pewna. Otrzymałaś wiele ciosów. Nie każdy byłby w stanie to znieść.

Ty nadal wstajesz z łóżka, próbujesz się uśmiechać, walczysz o siebie, a to bardzo dużo. I wzbudza podziw takiej starej kobiety jak ja, która już sporo w życiu widziała i wiele doświadczyła. Sebastian odszedł bez pożegnania, choć myślę, że nie taki był jego cel. Zadziałał pod wpływem chwili, kierowany cierpieniem, z którym już sobie nie radził. Zesłał ci więc kogoś, kto...

uleczy cię, Zosieńko. Dzieci mają ogromną moc gojenia ran, które wydawały się niemożliwe do uleczenia. – Popatrzyła na mnie z wyraźnym poruszeniem, wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że w jej otoczonych gęstą siateczką zmarszczek oczach zbierają się łzy. Nie były to jednak te smutne, które już kiedyś przy okazji rozmowy o odchodzeniu najbliższych widziałam. Teraz płakała ze szczęścia.

– Ono już to robi. Leczy mnie – przyznałam łamiącym się głosem, a ona pokiwała głową ze zrozumieniem i uśmiechnęła się.

– To chłopiec czy dziewczynka? – zapytała, zerkając z czułością na lekką krągłość mojego brzucha, widoczną pod materiałem przylegającej sukienki w kwiatki.

– Jeszcze nie znam płci. Czekam na ten moment, na pierwsze ruchy... Jeszcze sporo przed nami, choć za nami na szczęście już dolegliwości trudnych początków.

– Zechcesz podzielić się ze mną informacją, gdy już będziesz wiedzieć, kto zamieszkał pod twoim sercem?

– Oczywiście, że tak. Jest pani dla mnie kimś ważnym. Nie mogłabym postąpić inaczej – odpowiedziałam pod wpływem emocji.

– Ty też stałaś się mi bliska. A to przecież tylko rozmowy przy straganie, prawda? – Westchnęła i przycisnęła dłoń do piersi. – Dla takich rozmów i ludzi jak ty stoję tutaj każdego dnia z tymi kwiatami, choć mąż, dzieci i wnuki grzmią, że to nieodpowiedzialne.

– Też uważam, że powinna pani bardziej się oszczędzać, choć z drugiej strony dziwnie byłoby nie kupić przy tym straganie kwiatów dla moich bliskich... – przyznałam i popatrzyłam na bukiet w moich ramionach.

Chabry, maki i rumiany polne. Kolory i naturalne piękno. Mama to kochała.

– Nigdzie się stąd nie wybieram, niech sobie gadają – odparła stanowczo, z uporem, który już kilka razy pojawiał się w jej oczach przy okazji tego tematu. Była uroczą staruszką, ale ewidentnie miała mocny charakter, który jej bliskim mógł się dawać we znaki.

– Gadają, bo panią kochają. Proszę o tym pamiętać.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową, a ja w końcu podziękowałam za kwiaty i ruszyłam w kierunku głównej bramy cmentarza. Na parkingu stało kilka aut, lecz idąc alejką, nikogo nie spotkałam. Z daleka widziałam jakiegoś mężczyznę sprzątającego nagrobek, poza tym panował całkowity spokój. Cisza. Idealna chwila na refleksję przy grobie członka lub członków rodziny.

Płyta z ciemnego granitu mieniła się w promieniach słońca. Stało kilka wypalonych zniczy, kwiaty w wazonie także nadawały się do natychmiastowej wymiany. Od razu je wyciągnęłam i poszłam do znajdującego się w pobliżu kranu z wodą, by napełnić wazon, a następnie włożyłam do niego świeży bukiet. Później wygrabiłam piasek wokół grobu rodziców. Staralam się regularnie dbać o porządek.

Mama i tata.

Mamusia i tatuś.

Życie uleciało z nich tej samej tragicznej nocy. Odeszli podczas snu, nieświadomi, że dzieje się coś złego. Strażacy, policjanci...

Wszyscy mówili, że nie mieli żadnych szans. Te brutalnie szczere słowa prześladowały mnie w snach miesiącami. Ciągłe je słyszałam, wybudzałam się z krzykiem cała złana potem i nie mogłam już ponownie zasnąć. A w zasadzie to bałam się, że jeśli zapadnę w sen, to wszystko do mnie wróci.

Przez pierwsze tygodnie po tej tragedii miałam wrażenie, że już nigdy się nie podniosę. To był cios tak silny również dlatego, że zupełnie niespodziewany. Zapadłam się w żalobie, w cierpieniu, w bólu, który trawił wszystko. Mijający nieznośnie wolno czas i dni, które niczym się od siebie nie różniły, pozwoliły mi otrząsnąć się na tyle, że znów dałam radę jakkolwiek funkcjonować – sama ze sobą, ale także z innymi ludźmi. Przede wszystkim wtedy miałam obok siebie Sebastiana i Radka. Razem było odrobinę łatwiej to znieść.

Po odejściu mojego brata bliźniaka posypało się dosłownie wszystko.

– Nawet nie wiecie, jak to boli, że nigdy nie poznacie swojego wnuka lub wnuczki – wyszeptalam po odmówieniu krótkiej modlitwy, bo coraz częściej nachodziły mnie myśli, że moje dziecko nie będzie miało w swoim życiu dziadków.

Jedni nie żyli. Drudzy natomiast pewnie nawet nie wiedzieli, że nimi zostaną, bo wątpiałam, by Radek ich o tym poinformował, skoro wyparł nas ze swojego życia bez żadnych skrupułów.

Brakowało mi ich każdego dnia. Krótkiej rozmowy, żartów sytuacyjnych taty, słów otuchy od mamy. Dbali o nas, troszczyli się i robili wszystko, żeby niczego nam nie brakowało. Mieliśmy z Sebastianem cudowne dzieciństwo. Nigdy nie otaczało nas bogactwo i przepych,

jakim szczyły się niektóre dzieciaki w szkole, jednak rodzice robili, co mogli, byśmy nie poczuli się gorsi nawet przez chwilę.

Byliśmy otoczeni miłością. Kochani.

I my bardzo ich kochaliśmy.

Tak bardzo, że Sebastian nigdy nie uporał się z ich brakiem, a ja nie byłam już tą samą Zośką, co przed nocą ich tragicznej, nagłej śmierci.

Tak wiele się zmieniło. I wiele miało się dopiero zmienić.

15. Kuba

Sezon ślubny trwał w pełni, więc mieliśmy pełne ręce roboty. Ku niezadowoleniu Martyny zostawałem w studiu po godzinach, by obrabiać dziesiątki, a nawet setki zdjęć dla klientów, podczas gdy moi pracownicy weekendami jeździli na wesela, komunie i inne przyjęcia okolicznościowe, które klienci chcieli uwiecznić.

Pracę zabierałem także do domu. Wieczory były długie, a noce coraz krótsze, ale i tak zarywałem je, by później nie musieć użerać się z ludźmi, którzy oczekiwali zdjęć i filmów jak najszybciej i skrupulatnie pilnowali terminów. W sumie nie powinienem im się dziwić: umowa to umowa. Oni płacili i wymagali, ja musiałem się ze zlecenia wywiązać. Czerwiec był przyjemnie ciepły, dlatego każdego wieczora po powrocie do domu otwierałem okno, w którym miałem zamontowaną moskitierę, i pracowałem przy dźwiękach dobiegających z podwórza. Niesamowicie mnie relaksowały.

Tej soboty mieliśmy z Martyną sprzeczkę. Narzeczona chciała mnie wyciągnąć do miasta ze swoimi znajomymi, a ja odmówiłem, tłumacząc, że nie mam czasu, bo do poniedziałku muszę przygotować album dla jednej pary. W końcu ona poszła sama, a ja po raz kolejny zasiadłem do laptopa przy moim zawalonym po brzegi biurku. Wyłączyłem się na bite dwie godziny i działałem jak na autopilocie. Towarzyszył mi ogromny kubek kawy, bo ostatnio spałem niewiele i przedłużające się zmęczenie zaczynało dawać mi się już we znaki. Rozpoczęły się wakacje, więc mimo późnej pory przez okno nadal słyszałem rozmowy dzieciaków. Były śmiechy, przekomarzania, czyli to, co pamiętałem z czasów własnej młodości.

Któryś z sąsiadów prowadził ożywioną rozmowę przez telefon, inna sąsiadka puszczała głośno swoją ulubioną muzykę. Robiła tak zawsze, gdy sprzątała. Wstałem od biurka, by pójść po dolewkę kawy, i spojrzałem przez okno na podwórze oraz plac zabaw. Moją uwagę zwróciła osoba, która bujała się łagodnie na huśtawce.

Poznałem tę posturę i kolor włosów, dziś wyjątkowo rozpuszczonych.

Zośka.

Nie widziałem jej od momentu, gdy przyniosła mi telefon. Rzuciłem się w wir pracy i jakoś nie było okazji się spotkać. Pomyślałem, że chwila przerwy od wlepiania oczu w ekran komputera mi nie zaszkodzi. Kilka czy kilkanaście minut poświęconych rozmowie to w końcu coś innego niż spędzenie całego wieczora w pubie ze znajomymi. Na taką przerwę od pracy mogłem sobie pozwolić.

Chwilę później wyszedłem z klatki i skierowałem się do huśtawek.

Zośka bujała się w jednostajnym rytmie. Zaciskała dłonie na łańcuchach podtrzymujących siedzisko huśtawki i opierała bok głowy o jeden z nich. Miała zamknięte oczy, uśmiechała się delikatnie i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że ma w uszach słuchawki bezprzewodowe. Zapewne słuchała muzyki. Zastanawiałem się, czy wyrwać ją ze świata, do którego się przeniosła, ale coś mnie przed tym powstrzymało, więc stałem i po prostu na nią patrzyłem. W tym konkretnym momencie nie była zmartwiona, smutna czy udręczona ciężarem własnych problemów. Jej rysy twarzy zmiękły pod wpływem odczuwanego spokoju, błogości, a może nawet i szczęścia.

Miała na sobie zieloną sukienkę w białe kwiaty, a na stopach trampki.

Choć kobieta, to jednak dziewczęca – pomyślałem mimowolnie.

I kiedy już uznałem, że może lepiej jej nie przeszkadzać i odejść, ona otworzyła oczy i mnie zauważyła. Najpierw w jej spojrzeniu błysnęło zaskoczenie, a zaraz za tym pojawiło się zakłopotanie.

– Hej – powiedziała, wyciągając słuchawkę z prawego ucha.

– Cześć – przywitałem się i wreszcie podszedłem bliżej. Usiadłem na drugiej huśtawce. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Zasłuchałam się – wytłumaczyła.

– Czego słuchasz? – zapytałem z ciekawości. Wiele lat temu często lubiliśmy te same piosenki. W ogóle całą trójką słuchaliśmy w zasadzie tej samej muzyki.

Uśmiechnęła się pod nosem i popatrzyła na mnie roziskrzonymi oczami.

– Wydaje mi się, że... poczułam dziś ruchy dziecka – wyznała podniosłym szeptem i zagryzła lekko dolną wargę, jakby nadal w to nie dowierzała. – Napisałam o tym koleżance z pracy, a ona wysłała mi pewną piosenkę. W zasadzie kołysankę.

– Jestem pewien, że to były ruchy dziecka. Instykt macierzyński nie pozwoliłby ci się pomylić.

– Mam taką nadzieję. Chcesz posłuchać? – zaproponowała i wyciągnęła ku mnie jedną słuchawkę.

– Bardzo chętnie.

Chwilę później dotarła do mnie łagodna melodia, która rzeczywiście przywodziła na myśl kołysankę. Tekst był po angielsku, ale tak prosty, że bez trudu udało mi się go zrozumieć. Było to piękne wyznanie miłości matki do dziecka...

You are my sunshine

My only sunshine

You make me happy

When skies are grey

You'll never know, dear

How much I love you

Please don't take

My sunshine away

– To You Are My Sunshine Christiny Perri – powiedziała Zośka z widocznym wzruszeniem. – Odkąd usłyszałam tę piosenkę po raz pierwszy, chodzę i ją nucę. Maluszek już mnie słyszy. Dźwięki z otoczenia do niego docierają – poinformowała, a ja uśmiechnąłem się w nagłym przyływie czułości.

– Masz jakieś przeczucie, czy to chłopiec, czy dziewczynka? – zapytałem. Cóż, sam się nad tym zastanawiałem.

– A wiesz, że nie mam żadnych przeczuc? Nawet nie jest tak, że wolałabym mieć syna lub córkę. Modłę się tylko o to, żeby dziecko było zdrowe. Nic innego się dla mnie nie liczy – odpowiedziała całkowicie poważnie. – Ostatnio w poczekalni u lekarza spotkałam kobietę, która dowiedziała się, że jej synek ma wadę serduszka i prawdo podobnie będzie operowany zaraz po urodzeniu. To mi uświadomiło, żeby niczego nie oczekiwać, nie woleć. Tylko zdrowie...

Nie ma większego szczęścia, większej wartości.

Po jej słowach, płynących z głębi serca i tak poruszających, w moim gardle pojawiła się gęstwa. Patrzyłem na Zośkę. Widziałem te szczerze, duże oczy oraz coraz bardziej zaokrąglony brzuch, w którym rozwijało się nowe życie. Emanowała tak ogromną matczyną miłością, choć jej sytuacja nie była łatwa, na pewno nie wymarzona dla kobiety oczekującej narodzin pierwszego dziecka. Została całkiem sama z tym oczekiwaniem, przygotowaniem się do najważniejszej roli w życiu, ze zmartwieniami, normalnymi w jej stanie obawami, smutkami, gorszym samopoczuciem. A jednak otaczała ją wzbudzająca podziw siła.

– Masz całkowitą rację. Najważniejsze, żeby dziecko urodziło się zdrowe. Jestem przekonany, że tak właśnie będzie – odpowiedziałem z mocą i posłałem jej pokrzepiający uśmiech. – A ta kołysanka... Jest wyjątkowa. Nawet ja mam ochotę ją nucić.

Rozpromieniła się.

– A widzisz? Wera pisała, że to tak wpływa na człowieka – zaśmiała się.

– Długo już tutaj siedzisz?

– Jakiś czas. Wieczór jest taki przyjemny, nie chciało mi się tkwić w mieszkaniu. – odpowiedziała i wzruszyła lekko szczupłymi ramionami. – Widziałam, że spędzasz czas przy otwartym oknie.

– Pracuję. Mamy urwanie głowy i mnóstwo zleceń. Cieszę się, to oczywiste, ale jednak nadganie terminów wiąże się z tym, że nie spędzam czasu z Martyną. Dzisiaj się chyba na mnie obraziła – przyznałem z nietęgą miną.

Zośka wygięła znacząco wargi.

– Auć... Kobiet nie należy ignorować.

– Dlaczego mnie nie dziwi, że trzymasz jej stronę? – zapytałem z udawanym oburzeniem. Od razu poznała, że żartuję.

Trochę tak jak za dawnych czasów – pomyślałem nieoczekiwanie.

– Kobięca solidarność. Jestem pewna, że o tym słyszałeś.

Posłaliśmy sobie porozumiewawcze spojrzenie i oboje parsknęliśmy śmiechem. Miała dziś naprawdę dobry humor. Mój właśnie też trochę się poprawił.

– Lata temu też siedzieliśmy na placu zabaw, choć nie w tym, a innym miejscu, i udało mi się namówić cię na taniec, pamiętasz?

– Tak! A Sebastian śmiał się z nas do rozpuku – odpowiedziała z szerokim uśmiechem.

– Pewnie dlatego, że tańczyliśmy do dzwonek ze starej nokii z czarno-białym ekranem.

To brzmiało teraz tak samo niedorzecznie, jak wówczas musiało wyglądać, i naprawdę miałem ochotę znów zacząć się śmiać, wracając wspomnieniami do tamtego letniego popołudnia. Niemal usłyszałem głośny śmiech Seby... Jakby nadal tu z nami był. – Nawet teraz nie mogę uwierzyć, że dałam się na to wtedy namówić. –

Zośka na moment ukryła twarz w dłoniach, udając, że się wstydzi, po czym pokręciła głową ze śmiechem. – Jaka młoda, taka głupia.

– Przestań, przynajmniej było wesoło i mamy co wspominać.

Na chwilę oboje wstrzymaliśmy oddech, bo prawdo podobnie do niej tak samo jak i do mnie w tej samej chwili dotarło, że tylko to nam pozostało. Wspomnienia. I to takie, do których wracać mogliśmy już tylko my, bez Sebastiana, który pewnie nie raz zaskoczyłby nas, pamiętając o czymś, co nam zdążyło wylecieć z głowy.

Nie chciałem, żeby atmosfera siadła, bo było bardzo miło, ale nie wiedziałem, jak ją uratować. Dzień chylił się ku końcowi, pamiętałem, że muszę wracać do pracy, ale

potrzebowałem tych kilku chwil z Zośką. A skoro z otwartego okna mieszkania sąsiadki płynęła całkiem przyjemna muzyka, to pomyślałem, że...

– Zatańczysz? – zaproponowałem spontanicznie, wstając z huśtawki. Wyciągnąłem dłoń w kierunku Zośki, a ona popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami i zaśmiała się perliście.

– Pytasz poważnie? – upewniła się.

– Całkowicie.

Rozejrzała się dookoła. Podwórze było otoczone kamienicami z każdej strony, znajdowało się w samym środku nadgryzionych zębem czasu zabudowań mieszkalnych. Z okna każdego mieszkania ktoś mógł nas obserwować. Pewnie to w jakimś sensie ją powstrzymywało. I dlatego dłuższą chwilę się zastanawiała, zagryzając lekko dolną wargę.

– Nie daj się prosić – powiedziałem z krzywym uśmiechem.

Westchnęła i wstała z huśtawki. Zrobiła to akurat w chwili, gdy aktualna piosenka dobiegła końca i rozpoczęła się następna.

Tym razem padło na przyjemną dla ucha balladę. Już nie skupiałem się na tym, że od pierwszej nuty było wiadomo, że to będzie bardzo romantyczna piosenka. Miałem ochotę odrobinę zaszaleć, zrelaksować się właśnie tak, jak za starych, dobrych czasów.

A i Zośka najwyraźniej czuła podobną potrzebę, pomimo lekkich oporów.

Ująłem jej dłoń, a drugą objąłem w dole pleców. Dokładnie tak, jak kiedyś. Ona bez trudu się do mnie dopasowała. Pod butami mieliśmy trawę. Dzień dobiegał końca, bezchmurne niebo przybrało kolor pastelowej pomarańczy. I... poprowadziłem ją. Tym razem czułem się pewniej niż lata temu, gdy jako nastolatek nie za bardzo umiałem tańczyć. Wtedy byłem niezdarzy i kilka razy nadepnąłem Zośce na stopę. Teraz trzymałem ramę, czułem lekkość i uśmiechałem się do mojej sąsiadki, a ona odwzajemniała ten gest.

Dotknij, przekonaj mnie,

Że to spojrzenie nie kłamie, nie...

Tańczymy w środku ognia, ognia...

Miałam przed tym jakieś siedem żyć

Od teraz chcę zaczynać każde z nich

Tylko z tobą

Co święci się, co w powietrzu jest...

A jeśli jutra nie będzie, to ja i tak

Chcę zgubić się, gdzie nikt nie znajdzie nas W ciszy bez końca ta fala gorąca i wiatr

Ciepły wiatr...[1]

Liryczna melodia i piękny głos wokalistki niosły nas, wymazując otoczenie z naszej świadomości. Wirowaliśmy po trawniku, jakbyśmy znajdowali się co najmniej w pięknej sali balowej. Zośka bezbłędnie i lekko dawała mi się prowadzić, jej ciepła dłoń spoczywała w mojej, a rozpuszczone włosy falowały w rytm naszych ruchów. Obracała się z szerokim uśmiechem, patrzyła na mnie tak, jakby była wdzięczna, że namówiłem ją na tę odrobinę szaleństwa. W jej obecnym życiu musiało brakować spontaniczności, zresztą i ja na co dzień raczej nie przejawiałem zachowań wykraczających poza plan. A dzisiaj po prostu zapragnąłem zapomnieć się na chwilę w beztrosce wspólnego tańca z koleżanką spotkaną po latach. Oboje potrzebowaliśmy krótkiego oderwania od rzeczywistości. Zapomnienia trwającego nie dłużej niż piosenka.

Na koniec odchyliłem ją lekko do tyłu, a ona z odrzuconą głową zaczęła się śmiać. Jak tamta nastolatka, którą znałem. Popatrzyła na mnie roziskrzonymi oczami, a ja ukloniłem się

jej, ciekaw, czy pamięta te drobne gesty, które łączyły przeszłość z teraźniejszością.

– To było szalone – powiedziała beztrasko i odsunęła się ode mnie na dwa kroki, poprawiając rozwiane włosy, które fruwały wokół jej głowy. – Co też pomyślała o nas sąsiedzi... – Rozejrzała się, ponownie skrepowana.

– Przejmujesz się tym? Dziś przynajmniej tańczyliśmy do całkiem fajnej muzyki, a wtedy do dzwonek z nokii trzydzieści trzy dziesięć

– przypomniałem i puściłem jej oko.

– Już nie pamiętam, kiedy pozwoliłam sobie na odrobinę szaleństwa – przyznała zdumiona i zakryła dłońmi zaczerwienione policzki.

– Jak się w związku z tym czujesz?

Uniosła jedną brew i widziałem, że się zastanawia.

– Oszołomiona, ale jest mi też jakoś dziwnie lekko na duszy.

Sebastian by się z tego cieszył, Radek natomiast uznałby, że robię coś złego, bo nie wypada tańczyć podczas żałoby. Kiedyś powiedział mi, że za każdym razem, gdy jestem wesoła, okazuję bratu brak szacunku – wyznała nagle z rozbijającą szczerością.

Zdębiałem.

– Mówisz poważnie?

– Tak – potwierdziła, skinąwszy głową.

– On był toksyczny, Zośka.

Pewnie nie miałem prawa się wypowiadać, bo w zasadzie nie znałem tego kolesia, no i nie miałem szerszego poglądu na to, jak wyglądał ich związek. Łączyłem poszczególne fakty i wyciągałem wnioski z tych pojedynczych opowieści, którymi Zośka się ze mną

dzieliła. Jednak za każdym razem, gdy go wspominała w rozmowie ze mną, niby mimochodem, odnosząc się do zachowań, jakie przejawiał, coraz trudniej było mi zachować milczenie. Może to dlatego, że odnowiliśmy z Zośką znajomość, a ja byłem doskonałym obserwatorem i widziałem, ile kosztowało ją przygotowywanie się do samotnego macierzyństwa. Pogarda dla jej byłego partnera przyszła mi zupełnie naturalnie, bo nie wyobrażałem sobie w inny sposób go odbierać, a tym bardziej kierować się zasadą męskiej solidarności.

On nie zachował się jak mężczyzna. Był zwykłym tchórzem, gówniarzem, który nie udźwignął świadomości, że zostanie ojcem.

A przecież dziecko to szczęście. Sam marzyłem, by pewnego dnia powitać na świecie mojego potomka. Kiedyś wymienialiśmy z Martyną poglądy na temat powiększenia rodziny, lecz nie ustaliliśmy żadnych konkretów. Wtedy było za wcześnie na deklaracje. Teraz poczułem, że powinniśmy to przegadać jeszcze przed ślubem. Gdy obserwowałem powiększający się brzuch Zośki, pragnienie rodzicielstwa zaczęło powracać, silniejsze niż kiedykolwiek.

– Teraz, gdy patrzę na to wszystko z perspektywy czasu, gdy mam do naszego związku pewien dystans, dostrzegam więcej... Chociażby to, że po śmierci rodziców Radek mnie wspierał. Natomiast po odejściu Sebastiana zaczął zatruwać swoim własnym cierpieniem, które zawsze uważał za większe niż moje – przyznała z całkowitą powagą.

Dobry nastrój Zośki uleciał. Z otwartego okna sąsiadki poleciała właśnie jakaś szybka piosenka, stanowiąca mocny kontrast dla tematu naszej rozmowy.

Jakoś tak się działo, że niemal za każdym razem docieraliśmy do tego, co smutne i bolesne. Może to oznaczało, że ona w jakimś sensie zaczynała mi ufać? Może czuła się lepiej, dzieląc

się ze mną czymś, co przepracowywała na ogół tylko we własnej głowie? Jeśli jej to pomagało, nawet odrobinę, to nie miałem nic przeciwko. Tyle mogłem zrobić. Dla niej.

I dla Seby. Bo choć fizycznie go nie było, to czułem, jakby stał obok i bacznie nas obserwował.

[1] Lanberry – Bez końca.

16. Zośka

Najpierw przez większość dnia nuciłam You Are My Sunshine, a później w głowie siedziała mi melodia tej pięknej ballady, którą przetańczyliśmy z Kubą na placu zabaw. Nie znałam tytułu ani wykonawczynie i bardzo nad tym ubolewałam, bo chętnie wrzuciłabym tę piosenkę na swoją playlistę Spotify.

Byłam na siebie zła, że zepsułam nam dobre humory swoim smęczeniem o Radku. Myśli o nim wracały do mnie jak jakiś cholerny bumerang. W każdej możliwej chwili.

Nie odzywał się ani nie interesował nami. W chwili, gdy zabrałam z jego mieszkania swoje rzeczy, nasz kontakt totalnie się urwał.

Tygodnie mijały i w zasadzie nie miałam już żadnej nadziei, że się ocknie. A nawet... zaczęłam sobie zadawać pytanie, czy w ogóle chciałabym jeszcze, żeby zmienił zdanie i zaprosił nas ponownie do swojego życia. Czy powrót do niego po tym wszystkim nie byłby dla mnie uwłaczający? Nie oznaczałoby braku szacunku do samej siebie, a przede wszystkim do mojego dziecka, które zasługiwało na dużo więcej, niż on był w stanie dać?

Postanowiłam, że jeśli dla kogoś miałam być stuprocentową zosią-samosią, która ogarnie wszystko najlepiej, jak potrafi, nawet ostatkami sił, to dla mojego maleństwa.

Były to dla mnie nieznanne wody, bo nigdy wcześniej nie musiałam walczyć o wszystko w pojedynkę. Kiedyś wspierała mnie kochająca babcia, troskliwi rodzice i brat, mój niezawodny kompan, partner

w zbrodni. Potem miałam chociaż Radka... Gdy ich wszystkich zabrakło, poczułam się, jakby ktoś wrzucił mnie w sam środek przerażającego, pełnego niebezpieczeństw labiryntu.

Pani Stasia powiedziała, że macierzyństwo uskrzydla. To było ważne dla mnie zdanie. Podziałało niczym zastrzyk z endorfin i pozytywnej energii. Chciałam na tych niewidzialnych skrzydłach lecieć wyżej i wyżej, by zdobywać kolejne szczyty w nowej roli, która w zasadzie już się dla mnie zaczęła.

Musiałam też przyznać szczerze przed samą sobą, że cieszyłam się z ponownej obecności Kuby w moim życiu. Tego wieczora rozmawialiśmy, rozśmieszaliśmy się wzajemnie, tańczyliśmy – i było trochę tak, jak kiedyś.

Rozmowę, którą prowadziliśmy, przerwało niespodziewane wołanie.

Rozejrzałam się i zobaczyłam idącą ku nam kobietę. Weszła przez uchylone skrzydło bramy prowadzącej na podwórze. Od kilku lat bramę zabezpieczał kod dostępu, który trzeba było wpisać na panelu sterowania. Właściciele kamienicy poczynili taki krok po którymś z kolei akcie wandalizmu i od tamtej pory dostać się tu mogli tylko mieszkańcy i osoby znające kod.

A ten zmieniał się regularnie, raz na kwartał.

– Kuba – powiedziała zaaferowana kobieta – dzwonię do ciebie od pół godziny. Gdzie ty masz telefon?

Zdębiałam. Pretensja w jej głosie mogła świadczyć o tym, że coś ich łączyło, a przecież on miał narzeczoną. A jeśli to była Kuby kochanka? Nie, on przecież nie mógłby się tak zachować. Prawda?

A niby skąd ta pewność? – szepnął złośliwie głosik w mojej głowie.

– Zostawiłem w mieszkaniu. Co się stało?

Zanim odpowiedziała, jej wzrok padł na mnie. A wtedy cała twarz kobiety rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Niczego nie rozumiałam, stałam z boku jak słup soli.

– O rany, nie wierzę! Kopę lat, Zośka!

Zanim zdążyłam jakkolwiek zareagować, ona już porwała mnie w ramiona i zamknęła w mocnym uścisku. Popatrzyłam na Kubę zaskoczona, a on posłał mi porozumiewawczy uśmiech, oczekując, że sama się domyślę, o co tutaj chodzi.

– Nie poznajesz mnie? – Kobieta odsunęła się ode mnie na długość rąk i popatrzyła, jakbym była małą dziewczynką, a ona jedną z tych cioc, które uporczywie szczypią w policzki, myśląc, że to fajne.

– Wybacz, ale nie...

Popatrzyła na Kubę z uniesionymi brwiami i oboje się roześmiali.

– Sabina. Młodsza siostra tego osobnika. – Wskazała kciukiem na stojącego obok niej... brata.

A ja w jednej chwili doznałam czegoś na kształt olśnienia. No przecież! Ten kolor oczu, rezolutny uśmiech, a nawet mimika twarzy... Znałam to, tylko przez lata jakoś mi uleciało. Ostatni raz widziałam ją, gdy miała może z dziesięć lat. Pamiętałam ją często smutną i zawiedzioną, że starszy brat nie chce, by towarzyszyła nam w kolejnych eskapadach. Skarżyła się babci, licząc, że w ten sposób uda jej się coś ugrać lub załatwić.

– Nigdy w życiu bym cię nie poznała na ulicy – przyznałam ze zdumieniem.

– Aż tak się zmieniłam?

– Bardzo. Dojrzałaś, chociaż w chwili, gdy powiedziałaś, kim jesteś, zaczęłam dostrzegać cechy, które się nie zmieniły – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i uśmiechnęłam się.

– W końcu przestałam wyglądać jak smarkula, choć on nadal próbuje mnie tak traktować. – Rzuciła znaczące spojrzenie bratu.

Przełknęłam ślinę i westchnęłam bezgłośnie, bo przecież doskonale wiedziałam, na czym polegało takie traktowanie młodszej siostry. To zawsze wynikało z nadmiernej troski i chęci zagrania rodzeństwu na nosie. Kuba nie miał złych intencji, podobnie jak Sebastian, choć niejednokrotnie doprowadzał mnie swoją nadopiekuńczością do szewskiej pasji.

Kiedyś.

Teraz oddałabym wiele, żeby znów był trochę upierdliwy... Żebym znów mogła poczuć się w ten sam sposób.

– Po prostu bardzo cię kocha – odpowiedziałam przez lekko ściśnięte gardło. Nie chciałam się przy niej rozpłakać, przecież dopiero co spotkałyśmy się po latach bez jakiegokolwiek kontaktu.

– To prawda – potwierdził Kuba i spojrzał na mnie tak, że po plecach przebiegł mi lekki dreszcz. Przez chwilę miałam wrażenie, jakby czytał mi w myślach i współodczuwał ze mną.

– Lata mijają, a Zośka nadal trzyma stronę mojego starszego brata

– westchnęła teatralnie Sabina i wywróciła oczami.

Wyrosła na piękną, pewną siebie kobietę. Już nie była tym brzydkim kaczątkiem, które zapamiętałam. Temperament natomiast jakby nabrał jeszcze wyraźniejszych barw, choć charakterkiem odznaczała się już jako kilkulatka.

– Dobra, słuchajcie. Może pójdziemy do Kuby, napijemy się czegoś i powspominamy stare czasy? – zaproponowała z szerokim uśmiechem. Z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że

nagle zapomniała, po co w ogóle tutaj przyszła. Pewnie nadal miała tysiąc pomysłów na minutę i energii tyle, że mogłaby zasilić w prąd całe osiedle.

– Ja odpadam. Może innym razem – odpowiedziałam od razu, bo pamiętałam, że Kuba miał sporo pracy i wyszedł na zewnątrz tylko po to, by zrobić sobie krótką przerwę. Głupio byłoby mi zwałać mu się na głowę. Co innego siostra, ona oczywiście miała swoje przywileje.

– No weeeź... – jęknęła Sabina, patrząc na mnie błagalnie. –

Chciałabym dowiedzieć się, co u ciebie słychać.

– Zośka jest w ciąży. Pewnie chce odpocząć – upomniał ją taktownie Kuba.

Spojrzelśmy na siebie. Kolejny raz odgadł moje myśli. To, że nie chciałam przeszkadzać mu w pracy, to jedno, inna sprawa, że z wolna rzeczywiście zaczynały mnie łąpać wieczorne mdłości.

Przyszedł mi z pomocą i byłam mu za to bardzo wdzięczna.

Wzrok Sabiny od razu spoczął na moim brzuchu, a wtedy jej twarz rozpromieniła się w szczery, niewymuszony sposób.

– O matko, zmieniło się więcej, niż mogłabym przypuszczać! –

powiedziała podekscytowana. – Gratuluję ci z całego serca! –

Przytuliła mnie znów, tym razem dużo delikatniej niż wcześniej.

– Dziękuję – odpowiedziałam, czując to znajome uczucie ciepła w okolicach serca. W takich chwilach jak ta wypełniały mnie duma i wzruszenie. Oto kolejna osoba dowiadywała się o tym maleńkim cudzie pod moim sercem.

– Skoro dziś nie możesz, to umówmy się na inny dzień, co? –

zapropozowała z nadzieją, a ja przytaknęłam.

No bo dlaczego miałabym się nie zgodzić?

– Bardzo chętnie.

– Podaj mi może swój numer, to do ciebie zadzwonię. –

Wyciągnęła z torebki komórkę, a ja podyktowałam jej ciąg cyfr.

Chwilę później pożegnałam się z Sabiną i Kubą, po czym wróciłam do swojego mieszkania i po raz kolejny tego dnia puściłam piosenkę You Are My Sunshine. Niestety nawet łagodne otulenie tej melodii nie sprawiło, że mdłości odpuściły. Skończyło się tak, jak wiele razy wcześniej, czyli w toalecie. Od razu rozboleła mnie głowa, do czego też zdążyłam się przyzwyczaić, więc po szybkim prysznicu przebrałam się w piżamę i przed dwudziestą pierwszą leżałam już w łóżku – z plastikowym wiadrem obok, na wszelki wypadek.

Patrzyłam w sufit i myślałam o nieoczekiwanym spotkaniu z Sabiną.

Ucieszyła się na mój widok, choć wiele lat temu myślałam, że za mną nie przepada.

Uważałam, że jest zazdrosna o brata, który więcej czasu spędza w towarzystwie swojej ekipy niż z nią. Wiele razy było mi jej żal, gdy płakała i prosiła Kubę, by zabrał ją ze sobą.

Nigdy się nie zgadzał. Babcia taktownie starała się gasić te siostrzano-braterskie konflikty, niestety z różnym skutkiem.

Jednak cokolwiek by mówić, to były dobre czasy.

Szalone, beztroskie. Tak różne od mojej terażniejszości.

Przede wszystkim wtedy byłam kompletna. Dziś uczyłam się żyć z brakami w sercu, które z wolna wypełniała ciepła i słodka miłość do mojego nienarodzonego dziecka.

*

Początkowo czułam, jakbym w podbrzuszu miała bąbelki pękające jeden po drugim. Uczucie to towarzyszyło mi tylko wtedy, gdy leżałam na plecach i obserwowałam swój

delikatnie wypukły brzuch.

Powtarzało się zazwyczaj wieczorem. W miarę upływu kolejnych dni przechodzących w tygodnie to wrażenie przybierało na sile. To już nie były pękające bąbelki, tylko łagodne, przyjemne przelewanie w podbrzuszu. Nie byłam w stanie poczuć tego pod dłonią, bo wszystko odbywało się wewnątrz. I wyciskało mi łyzy wzruszenia z oczu.

Czekanie na kolejne ruchy stało się moim ulubionym codziennym rytuałem. Pragnęłam tych drobnostek, które były odczuwalnym dowodem na to, że maluszek rośnie i coraz lepiej się rozwija.

Moje dni z wolna zaczynały nabierać barw. Uśmiech zdecydowanie łatwiej wpływał mi na usta, miałam chęci, by wychodzić z mieszkania, spotykać się z ludźmi. Od czasu do czasu widywałam się z Kubą, kilka razy była z nim Martyna, trochę SMS-owałam z Sabiną. No i Wera. Ona cały czas była obok. Dzwoniła, odwiedzała mnie, a nawet wyręczała w zakupach, choć tłumaczyłam, że nie musi tego robić. Serwowała mi dość marną wymówkę: dzięki temu, że robi mi zakupy, może na chwilę wyrwać się z domu, odpocząć i zostawić opiekę nad bliźniakami swojemu mężowi. W rzeczywistości wiedziałam, że wcale nie potrzebowała odpoczywać od swoich dzieci, bo należała do kobiet, dla których macierzyństwo, choć niełatwe i niejednokrotnie wykańczające, stanowi sens życia. Sama tak mówiła. Po prostu teraz robiła, co w jej mocy, by mi pomóc, ale nie przyznawała się do tego wprost. Nawet nie pytała wcześniej, czy czegoś potrzebuję. Pamiętała, co lubiłam jadać na przerwach w pracy, i po takie produkty sięgała.

Tego dnia też wpadła z zakupami.

– Kiedy w końcu zrozumiesz, że mogę pójść do sklepu sama? – zapytałam z westchnieniem, choć mój wzrok wyrażał po raz kolejny ogromną wdzięczność za jej pomoc.

– I dźwigać ciężkie torby? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, patrząc na mnie z powagą. Wypakowywała już produkty spożywcze do lodówki. Nie lubiła tracić czasu.

– Jestem w ciąży, a nie obłożnie chora – przypomniałam jej, sadowiąc się na krześle.

Pierwszy trymestr, owszem, był dla mnie trochę jak niekończąca się jelitówka, i wtedy rzeczywiście czułam się, jakbym chorowała. Ale teraz wróciły mi siły. Musiałam przypominać o tym Werze na każdym kroku.

– Wyznajesz zasadę, że ciąża to nie choroba? – zapytała podchwytliwie.

– No coś ty. Niektóre kobiety bardzo źle znoszą ten stan i ciąża jest dla nich jak choroba. Zresztą dla mnie pierwsze tygodnie też takie były – odparłam z powagą.

– Wybrnęłaś. – Wyszczrzyła się w szerokim uśmiechu, a ja wywróciłam oczami. – Jak tam mały piłkarz? Rozkręca się z kopniakami? – zmieniła temat, zerkając na mój brzuch.

– Z dnia na dzień coraz bardziej. Ale skąd ta pewność, że to akurat on, a nie ona?

– Nie mam pewności, ale intuicja mi podpowiada, że będzie chłopiec. Niebawem się dowiesz.

– Czekam na kolejną wizytę, bo chciałabym już móc zwracać się do dziecka po imieniu.

– Zdecydowałaś się już na jakieś? – zapytała i zamknęła lodówkę, po czym zwinęła papierową torbę po zakupach i wsunęła do koszyka na torby stojącego w pobliżu zlewu.

– Jeśli dziewczynka, to Tosia. A jeśli chłopiec, to Tymek.

– Pięknie! – pochwaliła z szerokim uśmiechem.

– Gdy już poznam płeć, kolejnym krokiem będzie wyprawka. I tego akurat się boję, bo dla takiego malucha potrzeba mnóstwo rzeczy...

– Słuchaj, jeśli będziesz miała ochotę, to chętnie oddam ci łóżeczko po dzieciakach. Mieliśmy dwa, żadne nie ma nawet jednego śladu użytkowania, bo chłopcy bardzo szybko wywalczyli sobie przestrzeń w naszym łóżku małżeńskim. Mam też matę do leżenia na brzuszku, komodę z przewijakiem... Możemy któregoś dnia spotkać się u mnie, poproszę męża, żeby to wszystko zniósł ze strychu i sobie zobaczysz

– zaoferowała spokojnie, a ja byłem jej wdzięczna, że nie jest nachalna. Czułam, że wcale nie chodzi jej o to, by pozbyć się zalegających rzeczy.

– Dziękuję. Bardzo chętnie. Nowa wyprawka to spory koszt. Mam trochę oszczędności, ale jednak mogłoby na wszystko nie starczyć –

przyznałam, tym bardziej że planowałam wyremontować moją aktualną sypialnię i zrobić tam pokój typowo dla dziecka. Na dniach zamierzałam usiąść i rozpisać na spokojnie wszystkie wydatki.

Nagle mój podłączony do ładowarki w salonie telefon zaczął dzwonić, a że Wera była bliżej drzwi, od razu się zerwała na równe nogi.

– Nie wstawaj, ja ci go przyniosę.

Po chwili wróciła do kuchni z nietęgą miną.

– Nie wierzę.

– Co się stało? – zapytałam przestraszona, patrząc to na nią, to na dzwoniącą w jej dłoni komórkę.

– To on.

– Kto?

– No jak to kto? Radek!

Serce w mojej piersi zamarło. Nie chciałam już w ten sposób reagować na jego imię, lecz to było silniejsze ode mnie. Wzięłam telefon i popatrzyłam na wyświetlacz. Dzwonek właśnie w tej chwili zamilkł. Mieszanina zaskoczenia, niepewności i zawodu uderzyła we mnie z całą mocą. Żołądek skurczył mi się do wielkości orzecha włoskiego, gdy nadeszło drugie połączenie. Coś musiało się stać, że dzwonił...

– Odbiorę – powiedziałam pod nosem.

– Chyba żartujesz. Nie rób tego – zaprotestowała Wera, ale nie mogłam jej w tym momencie posłuchać.

Z duszą na ramieniu i sercem w gardle przeciągnęłam kciukiem po kółeczku z zieloną słuchawką.

– Halo? – zapytałam zduszonym głosem, nie patrząc na towarzyszącą mi koleżankę.

Jej ciężkie spojrzenie niemal wypalało we mnie dziurę. A ja z jednej strony czułam się w tym momencie tak żałośnie słaba, z drugiej zaś przepełniała mnie słuszność podjętej decyzji.

– Zośkaaa... – Wypowiedział moje imię, przeciągając ostatnią samogłoskę. Znałam ten ton wypowiedzi. Robił tak zawsze, gdy był

pijany. Teraz całe jego upojenie udało mi się usłyszeć w moim własnym, krótkim imieniu.

– Potrzebuję cię...

Przełknęłam ślinę z ogromnym trudem. Popatrzyłam zagubionym wzrokiem na Werę, podświadomie szukając u niej pomocy. Stała oparta tyłem o lodówkę z rękami założonymi na piersi i ustami zaciśniętymi w wąską linię.

– Ile wypieś? – zapytałam, starając się zignorować te błagalne słowa, które przed chwilą wypowiedział. Nie mogłam ulec. Znał mnie zbyt dobrze. Znał moje słabości. Wiedział, jak uderzyć, żebym się złamała.

– To nie jest ważne. Potrzebuję cię. Przyjedź do mnie. Odkąd cię zabrakło... – Urwał, a ja wstrzymałam oddech.

Byłam bliska popełnienia ogromnej głupoty i puszczenia w zapomnienie tego, jak potraktował mnie i nasze dziecko... Głos rozsądku wrzeszczał, żebym była silna i nie poddawała się temu, co uparczywie szeptało serce.

– Nie chciałeś mnie już przecież widzieć – przypomniałam mu głosem pozbawionym wyrazu.

– Zakończ tę rozmowę – rozkazała Wera.

Powinłam się oburzyć, że użyła wobec mnie takiego tonu, ale przecież robiła to dla mojego dobra. Widziała mój upadek po tym, jak Radek mnie zostawił. Zdawała sobie sprawę, co się stanie, jeśli znów potraktuje mnie w ten sam sposób, gdy ja naiwnie postanowię ponownie mu zaufać.

– Chcę cię widzieć teraz.

Bardzo się starał, by mówić w miarę składnie i zrozumiale, choć język zdradliwie mu się plątał, objawiając stan upojenia alkoholowego. Nie powinłam reagować na jego prośbę. Z pijanym człowiekiem tak naprawdę nigdy nie szło nic załatwić. Skąd mogłam mieć pewność, że nie zmiesza mnie z błotem, gdy pojawię się w jego mieszkaniu? Może zastawiał na mnie swojego rodzaju pułapkę? Skąd ten nagły napływ palącej potrzeby, żeby mnie zobaczyć? Po tym wszystkim...

– Przyjedź. Proszę – wyszeptał łamiącym się głosem.

Nie byłam w stanie się obronić, gdy coś we mnie nagle i nieoczekiwanie pękło. Rzuciłam Werze szybkie spojrzenie pełne skruchy, po czym zapewniłam Radka, że przyjadę, i szybko się rozłączyłam. Przegrałam. Moja naiwność i ciągle tłąca się miłość do tego człowieka odniosły zwycięstwo nad rozsądkiem, dobrymi radami koleżanki i poczuciem krzywdy, jaką mi wyrządził.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała ostro Wera i zgromiła mnie wzrokiem. – Chcesz jechać do pijanego palanta, który nagle sobie o tobie przypomniał? Jesteś w ciąży, kobieto! Coś może ci się stać! – krzyknęła, tracąc nad sobą panowanie.

– Nic się nie stanie. Sprawdzę tylko, co się z nim dzieje, i wrócę do domu – obiecałam, choć nawet dla mnie samej te słowa nie zabrzmiały zbyt przekonująco.

– Jadę z tobą – odpowiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Przestań. Poświęciłaś mi już wystarczająco dużo czasu dzisiaj.

Wróć do dzieci i męża, ja naprawdę sobie poradzę. – Nie chciałam jeszcze bardziej obciążać jej moimi sprawami i problemami. I tak miałam wrażenie, jakby siedziała w nich po uszy...

– Nie ma mowy. Podwiozę cię i poczekam w samochodzie – oświadczyła ostro, wytrącając mi tym samym wszelkie argumenty z rąk.

Ruszyliśmy do drzwi. Porwałam w biegu torebkę, telefon oraz klucze od mieszkania. Chciałyśmy wyjść, gdy raptownie zatrzymałam się w progu.

– Co ty tutaj robisz?

Przed drzwiami mojego mieszkania stał Kuba. Zastygł z uniesioną do góry dłonią, najwyraźniej właśnie zamierzał nacisnąć dzwonek lub zapukać. Moje pytanie nie zabrzmiało zbyt miło, w zasadzie wypowiedziałam je tyle zaskoczonym, co oschłym tonem. Zmarszczył brwi i wykonał krok w tył.

– Hej – powiedział, a ja uświadomiłam sobie, że nawet się nie przywitałam. – Dostałem od cioci kilka koszyczków truskawek z ekologicznej hodowli i pomyślałem, że dla ciebie oraz maluszka to byłaby dobra, zdrowa przekąska.

Omam nie otworzyłam ust z zaskoczenia.

Dopiero po jego słowach zauważyłam, że w drugiej ręce rzeczywiście trzyma jasny, drewniany koszyczek z intensywnie czerwonymi, dużymi truskawkami. Naraz zrobiło mi się głupio przez to, jak go przywitałam. Spieszyłam się do faceta, który mnie porzucił, przy okazji będąc niemiłą dla tego, który był bezinteresownie dobry.

– To bardzo miłe. Przepraszam za mój ton, ale właśnie... Właśnie wychodziłyśmy. – Obróciłam się przez ramię i spojrzałam na stojącą za mną Werę, która intensywnie przypatrywała się Kubie.

– Nie ma sprawy. Pojawiłem się nie w porę.

Podał mi koszyczek truskawek i wykonał kolejny krok w tył.

– Nie musiałeś, naprawdę.

Machnął ręką i uśmiechnął się.

– Oby wam smakowały. Uciekam i nie zatrzymuję cię dłużej. Do zobaczenia!

– Pa – odpowiedziałam i odprowadzałam go wzrokiem tak długo, aż nie zniknął za zakrętem schodów.

Stałam i nie do końca wiedziałam, co o tym myśleć, co powiedzieć i jak zareagować. Czułam ciężar podarowanych owoców w ręce i ten cudowny, niepowtarzalny, słodki zapach. Ślinka od razu napłynęła mi do ust, ale teraz nie było czasu, by radować kubki smakowe tym niespodziewanym podarunkiem.

– To był Kuba – nie zapytała, a stwierdziła Wera.

– Tak.

Odchrząknęła, a ja zerknęłam na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Co? – zapytałam, zdziwiona jej reakcją.

– Nic, nic – mruknęła i sięgnęła do koszyczka po truskawkę, którą następnie wpakowała do ust, pozostawiając w palcach tylko zieloną szypułkę. Po jej twarzy błąkał się dziwny uśmiech.

– Trzeba je najpierw umyć! Możesz zarazić się toksoplazmozą! – zagrzmiałam, mając w pamięci przestrogi, które usłyszałam od lekarza.

– Toksoplazmoza jest niebezpieczna dla ciebie i małego człowieka.

Dla mnie już nie – przypomniała i na potwierdzenie swoich słów zjadła kolejny owoc prosto z koszyka.

Sapnęłam z dezaprobatą, po czym zaniósłam truskawki do kuchni.

Gdy wsiadłyśmy w końcu do auta Wery, serce znów podskoczyło mi do gardła. Każdy przejechany kilometr, każda mijana ulica przybliżały mnie do spotkania z Radkiem. Nie wiedziałam, czego się spodziewać.

– Szkoda, że nie przedstawiłaś mnie temu Kubie – odezwała się niespodziewanie moja koleżanka, a ja naraz zgromiłam ją spojrzeniem.

– Hej! Masz męża! A on ma narzeczoną!

– No przecież nie chodzi mi o nic w jakimś niestosownym sensie. –

Wywróciła oczami z politowaniem. – Ta jego narzeczone nie ma problemu z tym, że jej facet przynosi ci takie smaczne prezenty?

– Poznałam Martynę. Jest prześliczna i raczej wie, że samotna ciężarna kobieta jej nie zagraża – wyjaśniłam spokojnie.

Zdecydowanie nie dorównywałam partnerce Kuby pod jakimkolwiek względem. Różniłyśmy się od siebie fizycznie, ale i cechami charakteru, co zdążyłam zauważyć już na samym początku naszego spotkania zapoznawczego. Poza tym ona do niego pasowała.

Patrzyłam na nich i odnosiłam silne wrażenie, że się uzupełniają.

Dlatego nawet gdybym nie była w ciąży, to nie miałabym z nią szans. Poza tym Kuba nie interesował mnie w tym kontekście. Po pierwsze nadal czułam coś do Radka, choć nie powinnam. Po drugie on był po prostu miły i chciał pomóc, jak za dawnych czasów.

Prawdopodobnie troszczył się o mnie z sentymentu do naszej dawnej relacji i przez wzgląd na to, co kiedyś łączyło go z Sebastianem.

– Czy nie wydaje ci się to dziwne, że ojciec dziecka potraktował cię, jakbyś nic nie znaczyła, a przyjaciel z dawnych lat okazuje ci tak dużo wsparcia?

Spojrzałam na nią rozzłoszczona.

– Wera, co ty sugerujesz? Kuba od zawsze był właśnie taki. Miły i troskliwy. Ani on, ani ja nigdy nie patrzyliśmy na siebie w sposób, który mógłby oznaczać coś więcej. Traktowałam go jak drugiego brata. On mnie jak siostrę. Mamy trochę wspólnych wspomnień, spotkaliśmy się na nowo i kilka razy mi pomógł. Ot, cała historia –

powiedziałaam poirytowanym głosem, bo naprawdę nie uśmiechało mi się tłumaczyć na te dwuznaczne sugestie.

Sama właśnie dopiero co przekonałam się, jak boli złamane serce.

Mój partner mnie skrzywdził i choć teoretycznie nie zrobił tego przez wzgląd na inną kobietę, to ta lekcja życia uświadomiła mi, że nigdy nie byłabym w stanie przyczynić się do tego, by ktokolwiek inny musiał cierpieć przez zawiedzioną miłość.

Nie zdecydowałabym się wejść między Martynę a Kubę.

– Wygląda więc na to, że ta dziewczyna bardzo ufa swojemu narzeczonemu. – Wera nie odpuszczała i nadal analizowała sytuację, co było całkiem w jej stylu.

– Są bardzo dobraną parą, więc oczywiście, że mu ufa – potwierdziłam.

– I zakończmy ten temat.

Na szczęście nic już nie powiedziała i w ciszy dojechałyśmy pod blok, w którym jeszcze nie tak dawno mieszkałam. Wzięłam głęboki oddech, popatrzyłam na Werę i opuściłam auto, zanim spróbowałyby mnie przekonać, żebym zmieniła zdanie i nie szła do mojego byłego.

Z duszą na ramieniu stanęłam pod drzwiami mieszkania i zapukałam krótko, ale nikt nie otworzył. Zapukałam ponownie, tym razem głośniej, lecz nadal bez skutku. W końcu nacisnęłam na klamkę i okazało się, że drzwi są otwarte. Dreszcz strachu przebiegł

mi wzdłuż kręgosłupa. To był ostatni moment, żeby się wycofać i zapomnieć, że Radek do mnie dzwonił.

Oczywiście nawoływanie naiwnego serca okazało się silniejsze.

Weszłam do tak dobrze znanej przestrzeni, o którą jeszcze nie tak dawno sama dbałam, jednak była nie do poznania. Całe mieszkanie wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado. W powietrzu unosiła się okropna woń, która od razu wykręciła mi żołądek. Intensywne zapachy nadal źle na mnie działały. Zemdliło mnie.

Rozejrzałam się przerażona i wreszcie go dostrzegłam. Siedział w fotelu przed telewizorem z butelką piwa w jednej ręce i papierosem w drugiej. Telefon leżał na podłodze. Radek wyglądał,

jakby od dawna się nie kąpał. Przetłuszczzone włosy, brudna koszulka, kolejne spodnie dresowe nadające się tylko do wyrzucenia.

– Radek? – odezwałam się zduszonym głosem. Nie widziałam jego twarzy. Możliwe, że spał.

On jednak zaraz się poruszył i spojrzał w moim kierunku przekrwionymi oczami. Był szary na twarzy, nie golił się od dawna, zapadnięte policzki świadczyły o tym, że zapomniał już, co to jest dobre, domowe jedzenie.

Moją kuchnię zawsze wychwalał. Gotować nauczyłam się od mamy i babci, lubiłam sprawiać mu w ten sposób przyjemność i czekać na jego powrót z pracy z pysznym obiadem...

Zmierzył mnie spojrzeniem. Wyglądał, jakby przybrał tragiczną maskę upadłego człowieka. Żadnych emocji, żadnych uczuć.

Już zaczynałam żałować przyjścia tutaj. A to niespodzianka...

– Nie usunęłaś bachora. – To były pierwsze słowa, jakie do mnie wypowiedział. Od razu zafundował mi cios prosto w serce.

– Powiedziałam, że tego nie zrobię. I nie nazywaj mojego dziecka bachorem – odpowiedziałam suchym jak pieprz głosem. Mierzyliśmy się spojrzeniami, choć miałam ochotę odwrócić wzrok i się rozpłakać.

– Nigdy mnie nie kochałaś...

Próbował zagrać na moich uczuciach. W tej chwili dotarło do mnie, że podczas naszego związku stosował podobne zagrywki wiele razy, lecz ja wołałam tego nie widzieć, ignorowałam je. Bo tak było łatwiej i wydawało mi się, że w ten sposób nam pomagam.

Oszukiwałam samą siebie.

– Po co chciałeś, żebyśmy przyjechała? – zapytałam, bo zdecydowałam się nie reagować na jego ostatnie słowa.

– Liczyłem, że poszłaś po rozum do głowy, ale widzę, że nie.

Możesz spierdalać tam, skąd przyszedłeś – warknął rozgoryczonym głosem, po czym ponownie rozłożył się w fotelu i ostentacyjnie opróżnił całą zawartość butelki na moich oczach.

Czy zaskoczył mnie swoją postawą? W gruncie rzeczy nie.

Czy miałam ochotę pluć sobie w brodę za to, że po raz kolejny zachowałam się jak totalna, naiwna idiotka? Owszem.

Zacisnęłam usta w wąską linię, obróciłam się na pięcie i bez słowa wyszłam. Wiedziałam, że Wera będzie chciała wiedzieć, co zaszło.

Czułam wstyd i zażenowanie. Zadzwoił po mnie skruszony. Mój widok zaś sprawił, że jednak postanowił mi nawrzucać. A ja kolejny raz dałam się nabrać na jego błagania.

Od razu wyciągnęłam telefon i zablokowałam numer Radka, by więcej mnie nie niepokoił. Gdzieś musiał znajdować się kres tej popieprzonej relacji. Musiałam usunąć tego człowieka ze swojego życia raz, a porządnie, i obiecałam sobie, że to zrobię. Dla mojego dziecka.

Bo ono było tylko moje.

17. Kuba

Lipiec rozpoczął się od ponad trzydziestostopniowych upałów. O ile w studiu mieliśmy klimatyzację i pracowało się przyjemnie, o tyle w mieszkaniu już tak fajnie nie było. Zaslaniałem rolety, byleby tylko promienie słońca nie wdzierały się do środka, miałem jednak wrażenie, że nawet pracujący komputer nieznośnie nagrzewa pomieszczenia.

Martyna zaczęła drażnić temat urlopu. Koniecznie chciała wyjechać gdzieś za granicę pod koniec sierpnia, natomiast ja nie byłem w stanie jej powiedzieć, kiedy będę mógł sobie pozwolić na tydzień wolnego. Intensywny okres zleceń trwał w najlepsze.

Nienawidziła, gdy wpadałem w pracoholizm. Wtedy często się kłóciliśmy. Martyna odgradzała się ode mnie, licząc, że w ten sposób mnie złamię. Tłumaczyłem, że jestem tak pochłonięty firmą, bo przecież to mój biznes i kto jak nie ja miałby go pilnować, dbać, by utrzymać się na powierzchni i przyciągać kolejnych klientów, ale ona tego nie rozumiała.

Gdzieś z tyłu głowy pojawiały się też myśli o Zośce. Nie widziałem jej od tamtej chwili, gdy bez zapowiedzi zaniósłem jej koszyczek truskawek, a moment nie był zbyt odpowiedni, bo właśnie wychodziła. Po tamtej sytuacji postanowiłem nie zwracać jej głowy, lecz to nie oznaczało, że przestałem myśleć, co u niej słychać i jak, będąc w ciąży, radzi sobie w te okropne upały.

Nie przyznałem się Zośce, że wyciągnąłem jej numer od Sabiny.

W sumie nie było ku temu okazji...

– Po co ci ten numer? Poproś ją, niech sama ci poda – powiedziała moja siostra i lekko zmrużyła oczy z podejrzliwą miną.

– Nie widzieliśmy się od kilku dni, a wiesz, dobrze mieć kontakt, w razie gdyby...

– W razie gdyby co? – drażyła.

– Gdyby coś nagłego się stało – odpowiedziałem z poważnym wyrazem twarzy.

Ugięła się i wysłała mi wizytówkę Zośki SMS-em. Zapisałem jej numer, ale z niego nie skorzystałem.

W drugim tygodniu lipca moja narzeczona, wiedzioną złością na mnie za niezdecydowanie w kwestii urlopu, postanowiła wyjechać z koleżankami z pracy na pięć dni do Kołobrzegu, i to już w najbliższy poniedziałek. Oznajmiła mi to w krótkiej wiadomości tekstowej, a dopiero później, podczas spotkania w jej mieszkaniu, spytała, czy mam coś przeciwko.

– Nie, myślę, że należy ci się taki babski wypad – stwierdziłem.

Miałem poczucie, że źle to rozegrała, ale nie było sensu się kłócić, tym bardziej że rzeczywiście ostatnio spędzałem w pracy zdecydowanie zbyt dużo czasu i czułem się winny.

Uśmiechnęła się i skradła mi pocałunek, a potem przypieczętowaliśmy ugodę w jej satynowej pościeli.

Wróciłem do domu i wpadłem w wir pracy. Lubiłem w swoim zawodzie to, że miałem nienormowany czas i mogłem siedzieć przy komputerze ile trzeba, jeśli nie chciałem kłaść się spać z poczuciem niewykonanego zadania. Obróbka zdjęć sesyjnych pochłonięła mnie tak bardzo, że dopiero po subtelnym zwróceniu mi uwagi przez Sabinę na bałagan panujący w mieszkaniu zdałem sobie sprawę, że nawet nie znalazłem chwili, by wziąć do ręki odkurzacz.

Wszędzie walały się puste butelki po wodzie, papierki po przekąskach i kartony po mrożonej pizzy, która ostatnio stanowiła moje danie obiadowe.

Zostawiłem na chwilę komputer, z kuchennej szuflady wyciągnąłem worki na śmieci i zacząłem to wszystko zbierać, pamiętając o segregacji. Przeżyłem lekki szok na widok trzech prawie pełnych worków. Jeszcze większy, gdy okazało się, że w koszu na brudne pranie nie ma już wolnego miejsca, a mnie zostały ostatnie czyste bokserki.

Późnym wieczorem, gdy na zewnątrz już zmierzchało, obładowany śmieciami jak juczny muł wyszedłem z mieszkania. Upał zelżał i wreszcie było przyjemnie, przede wszystkim dało się oddychać.

Przemierzyłem całe podwórze i, jak to miałem w zwyczaju, zerknąłem w kierunku okien mieszkania Zośki. Wyrzuciłem worki ze śmieciami do odpowiednio oznakowanych kontenerów i już miałem wracać, gdy usłyszałem coś niepokojącego.

Łomotanie i krzyki.

Coś, czego w naszej okolicy się raczej nie spotykało, bo tutaj wszyscy żyli spokojnie i nikt nie wszczynał awantur – może dlatego, że spore grono mieszkańców składało się z seniorów.

Przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Niepokojące dźwięki dochodziły z otwartych drzwi tej części kamienicy, w której mieszkała Zośka. Pobiegłem tam. Wrzaski niosły się echem po klatce schodowej, a im bardziej się zbliżałem, tym stawały się wyraźniejsze.

Zanim zobaczyłem, kto się tak awanturuje, zdążyłem już po samym bełkotliwym tonie głosu stwierdzić, że delikwent jest pod wpływem alkoholu. Wszedłem po schodach i lekko ścisnęło mnie w dołku, gdy zobaczyłem, że facet dobija się do drzwi mieszkania Zośki.

– Otwieraj, kurwa, bo wejdem siłą!

Młody, zaniedbany mężczyzna uderzał pięścią w drzwi raz za razem. Jego pokryta niechlujnym zarostem twarz była wręcz purpurowa – tyle ze złości, ile od przyjętych trunków wysokokowych.

I chociaż nigdy wcześniej nie widziałem byłego partnera Zośki, to miałem przekonanie graniczące z pewnością, że patrzę właśnie na niego.

– Uspokój się albo zadzwonię na policję – powiedziałem głośno i wyraźnie. Nie krzyczałem, ale jakimś cudem udało mi się przedrzeć przez jego hałaśliwe, wulgarne nawoływania.

Odwrócił się gwałtownie i popatrzył na mnie przekrwionymi oczami.

– Weź spierdalaj, człowieku! – warknął i zatoczył się lekko do tyłu.

– Nie. To ty spierdalaj stąd w podskokach. Zrozumiano? Mieszkają tutaj starsi ludzie i rodziny z dziećmi, a ty urządzasz sobie koncert wrzasków – odpowiedziałem ze stoickim spokojem, chociaż ręce świerbiły mnie, by użyć wobec tego pacana siły i pokazać mu, gdzie jego miejsce.

Powinien dostać ostry wpierdol za Zośkę, jej krzywdę i postawę, jaką wykazał, kiedy dowiedział się, że będzie ojcem.

– Nie jesteśmy na ty, paniczu – zadrwił z krzywym uśmiechem.

– Może i nie jesteśmy, ale szczerze? Mam to gdzieś! Wynoś się. –

Wskazałem mu palcem schody, ciekaw, jaki będzie jego kolejny krok.

Myślał. A to myślenie nie mogło być dla niego łatwe w stanie takiego upojenia. Czekałem więc, do jakich konkluzji z trudem uda mu się dotrzeć.

– I tak tu jeszcze wrócę, bo mi dzisiaj nie otworzyła, niewdzięcznica jedna – warknął pod nosem i ruszył chwiejnym krokiem do wyjścia.

Nie spuszczałem go z oka, bo nigdy nie wiadomo, co by mu przyszło do głowy, gdyby znalazł się za moimi plecami. Zaciśnąłem usta w wąską linię, by powstrzymać emocje. Czekałem z grobową miną, aż zniknie, a po chwili wziąłem głęboki oddech. Serce tłukło mi się w piersi jak szalone.

Drzwi po lewej stronie od mieszkania Zośki otworzyły się cicho na odległość łańcuszka zabezpieczającego. W szparze zobaczyłem przerażoną twarz pani Haliny Kowal, jednej z najstarszych mieszkanek kamienicy.

– Poszedł sobie?

– Tak, proszę pani – odpowiedziałem grzecznie.

– Już miałam dzwonić po policję, bo krzyczał jak opętany... Co za straszny człowiek – westchnęła, a ja przytaknąłem.

Skinęła głową na pożegnanie i zniknęła w swoim mieszkaniu, a ja zbliżyłem się do drzwi Zośki i zapukałem spokojnie trzy razy.

Cisza. A wiedziałem, że była w mieszkaniu.

– Hej. Jego już nie ma. To ja, Kuba – powiedziałem na tyle głośno, by mogła mnie usłyszeć.

Musiała stać po drugiej stronie, bo niemal od razu rozległ się dźwięk odsuwanej zamki i dzwonienie łańcuszka zabezpieczającego. Stanęliśmy twarzą w twarz. Zośka miała na sobie letnią sukienkę na ramiączkach, włosy związane w wysoki kok i białe stopy. W jej oczach widziałem niepokój, który jednak starała się zamaskować wymuszonym uśmiechem. Byłem fotografem.

Obserwowałem ludzkie emocje, by móc je uchwycić na zdjęciu. Nie ze mną takie numery...

– Co tutaj robisz? – zapytała cicho. Trzymała dłoń na klamce, jakby w każdej chwili zamierzała zamknąć się przede mną na cztery spusty.

– Usłyszałem, że ktoś się awanturuje, bo akurat byłem wyrzucić śmieci, i dotarłem pod drzwi twojego mieszkania – odpowiedziałem spokojnie. – Wszystko w porządku?

– Jest okej – odpowiedziała zbyt szybko, by to mogło być prawdą.

– Pozwolisz mi na chwilę wejść? – zapytałem wprost. I znów czułem, jakbyśmy wracali do początków naszej znajomości, gdy Zośka robiła wszystko, żeby się od kogoś odciąć, gdy coś ją martwiło lub przerażało, a wtedy ja waliłem prosto z mostu, by dała sobie pomoc.

Zastanawiała się chwilę, lecz w końcu się odsunęła i znaleźliśmy się w jej mieszkaniu. Zosia od razu poszła do salonu, a ja zdjąłem trampki w korytarzu i ruszyłem za nią. Zostałem zaskakujący widok.

Na stoliku kawowym stała maszyna do szycia pani Kazi, a wokół leżały materiały w pastelowych kolorach. Osobliwy, charakterystyczny dla pracy twórczej bałagan. Zośka zaczęła się krzątać, by trochę to wszystko uprzątnąć, choć przecież nie musiała tego robić.

– Daj spokój, przecież widzę, że szyjesz – powiedziałem, a ona zamarła i spojrzała na mnie trochę jak spłoszone zwierzę w światła reflektorów samochodowych. – Czego on chciał? – zapytałem od razu, przekonany, że sama z siebie raczej niczego nie powie.

Westchnęła i rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku okna. Nie zachowywała się swobodnie. Trzymała dłoń na widocznym już brzuchu, oddychała szybciej.

– Pewnie znowu prosić, żebym wróciła, a później mi nawrzucać, że nie usunęłam dziecka, bo on go nie chce – odpowiedziała przytłumionym głosem. – Wtedy, gdy przyszedłeś z truskawkami, akurat do niego jechałam.

– Poważnie?

– Tak. Zadzwoił, że mnie potrzebuje. Wera mówiła, żebym to zignorowała, ale wiesz, jak jest... Żyłam z tym człowiekiem kilka lat, nie tak łatwo nagle o wszystkim zapomnieć i się odciąć. Pojechała ze mną, on kolejny raz zachował się jak skończony palant, wróciłam do siebie z kwitkiem i płaczem. Taka ze mnie idiotka. – Wzruszyła ramionami i opuściła wzrok.

Zbliżyłem się do niej o kilka kroków. Bardzo przypominała mi teraz dawną Zośkę. Tę, której okazywanie słabości przychodziło z ogromnym trudem. Chciała uchodzić za twardzielkę, choć oboje z Sebastianem wiedzieliśmy, że wcale taka nie jest. I nie chodziło o to, że była słaba, bo radziła sobie w życiu świetnie, tylko o to, że nie uznawała słabości i wściekała się na siebie, gdy ją odczuwała.

Kiedyś mi powiedziała, że Bóg daje człowiekowi do dźwigania tyle, ile ten jest w stanie unieść. Wtedy słowa Zośki zabrzmiały zbyt patetycznie, by mój nastoletni umysł wziął je na poważnie. Teraz, po latach, gdy w jej życiu wydarzyło się, co się wydarzyło, i widziałam, jak sobie radzi z całym cierpieniem, które na nią spadło, dotarło do mnie, że dużo w tym prawdy. Ona to uniosła. Dźwigała przecież przez cały czas. Każdego dnia.

– Nie jesteś idiotką i proszę cię teraz, tak jak prosiłem wiele lat temu, byś nie była wobec siebie tak surowa – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się do niej pokrzepiająco. – Ten koleś dał ci już wystarczająco dużo powodów, byś się od niego definitywnie odcięła.

Bez wyrzutów sumienia.

– Wiem.

– Ale? – Uniosłem brwi. – Nadal go kochasz? – Zadałem to pytanie i poczułem, że coś lekko zakłuło mnie w okolicy serca.

Chociaż nie, pewnie tylko mi się wydawało.

– Chyba to już nie jest miłość. Przyzwyczajenie, poczucie obowiązku? To bardziej. Miłość we mnie zniszczył. Wtedy, gdy pokazał, że nie mogę już na niego liczyć – wyjaśniła z zamyśleniem i lekko zagryzła dolną wargę.

– Ogromnie ważne jest to, żeby móc liczyć na drugą osobę. Nie mam na koncie wielu związków, w zasadzie z Martyną jako pierwszą stworzyłem coś na poważnie, ale obserwuję pary, które przychodzą do mnie na sesje. Jestem dość dobrym obserwatorem i...

– Zawsze byłeś dobrym obserwatorem – wtrąciła Zośka i uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Pamiętasz. – Nie zapytałem, lecz stwierdziłem. Jej opinia w przedziwny sposób mnie poruszyła.

– Jasne, że pamiętam – potwierdziła z cichym westchnieniem.

Atmosfera w jednej chwili znacząco się zmieniła. Zośka uciekła spojrzeniem w bok, spłoszona niczym łania, ja natomiast musiałem wziąć kilka głębokich oddechów, by zrozumieć, o co chodziło. To musiała być melancholia, wzruszenie i tęsknota za tym, co minęło.

– Szyłaś. Mogę zapytać, co takiego? – Postanowiłem zmienić temat.

Zośka ponownie się uśmiechnęła, a na jej pobladłą twarz zaczęły wracać kolory. Zobaczyłem, że oczy zaczęły jej błyszczeć, a dłoń ponownie powędrowała do wypukłości ciężowego brzuszka.

– Pierwsze ubranka dla mojej córki – odpowiedziała z nieopisaną dumą i radością.

Córka. Ciepło wokół mojego serca rozlało mi się przyjemną falą.

– Kiedy poznałaś płęć? – zapytałem poruszony.

– Na początku tygodnia miałam badania połówkowe i lekarz powiedział, że z całą pewnością noszę pod sercem małą damę.

Wzięłam kolejny głęboki oddech i przełknąłem trudne do opisanego wzruszenie. Do tej pory wyobrażałem sobie Zośkę z noworodkiem, ale nigdy nie zastanawiałem się, czy to dziewczynka, czy może chłopiec.

Aż do teraz. Teraz to wyobrażenie nabrało ostrości. Pojawiła się puciołowata buzia małej córki Zośki, w różowym, uroczym śpioszku.

– Gratuluję ci serdecznie – powiedziałem i uśmiechnąłem się, patrząc mojej koleżance w oczy.

Była wzruszona, a nawet miałem wrażenie, że na jej długich rękach zaczynają balansować pierwsze łyzy.

– Tosia. Oto Tosia.

Po nieprzyjemnej sytuacji z udziałem jej byłego chłopaka oboje byliśmy tak poruszeni, że nawet nie usiedliśmy. Nasza cała rozmowa toczyła się w progu salonu. Staliśmy w bliskiej odległości od siebie i postanowiłem w pewnym sensie wykorzystać tę sytuację.

Podszedłem do Zośki i przytuliłem ją tak, jak nie robiłem tego od lat.

Wyczułem po nagłym zeszywnieniu jej ciała, że ją zaskoczyłem, zaraz jednak rozluźniła się i objęła mnie swoimi szczupłymi ramionami w pasie.

Niska i filigranowa, jak dawniej. To był przedziwny kontrast, bo przywykłem już do przytulania Martyny, a moja narzeczona miała nie tylko figurę modelki, ale także wzrost. Wyczuwałem na swoim ciele wypukłość brzuszka Zośki i naszła mnie nagle, może i nawet trochę

nieproszona myśl, że ta spontaniczna chwila pozwoliła mi przytulić je obie: moją dawną przyjaciółkę i małą Tosię.

– Musisz uważać, bo może cię w każdej chwili kopnąć – powiedziała Zośka rozbawionym głosem, a ja odsunąłem się lekko, by móc spojrzeć jej w twarz.

– To aż tak mocno czuć? – zdziwiłem się.

– Czuję to już całkiem wyraźnie od środka, ale czasem udaje mi się uchwycić coś, gdy przyłożę dłoń – wyjaśniła, po czym wskazała kanapę i wreszcie usiedliśmy.

Chyba stopniowo schodziło z nas napięcie po akcji z Radkiem.

– Jak się czujesz z myślą, że to będzie córka? – zapytałem z ciekawością, nie spuszczać wzroku z Zośki.

– Tak jak widać – odparła i wskazała na stolik kawowy, który zawałony był skrawkami materiału w (teraz to ułożyło się w logiczną całość) pastelowych kolorach. – Wyciągnęłam z piwnicy starą maszynę do szycia po babci i działałam. Jestem przeszczęśliwa.

Zdążyłam już kupić dziewczynską farbę na ściany i naklejki. Będzie nadmiar różu. – Uśmiechnęła się.

– Zamierzasz robić remont?

– Tak. Chcę urządzić Tosi pokój z mojej obecnej sypialni.

Wiadomo, że przez pierwsze dwa albo trzy lata będę tam spała z nią, ale później przeniosę się do salonu. Znalazłam piękną farbę w odcieniu pastelowego fioletu, do tego naklejki z króliczkami. Marzą mi się białe mebelki, na ścianie jakaś lampka w kształcie gwiazdki.

Nie wszystko od razu, bo nie mogę wykorzystać wszystkich oszczędności, ale chcę zacząć już teraz, żeby ze wszystkim zdążyć –

wyjaśniła tonem, którego miała w zwyczaju używać zawsze wtedy, gdy obierała jakiś cel do zrealizowania. A ten aktualny był niewątpliwie na wagę złota!

– Chyba nie zamierzasz remontować pokoju sama – zauważyłem z trwogą w głosie.

Roześmiała się w sposób, który zabrzmiał niezwykle przyjemnie dla moich uszu, i pokręciła głową.

– Nie, no coś ty. Szukam jakiegoś majstra, który mógłby się tym zająć. Wera obiecała popytać, bo ja nie posiadam takich znajomości.

– Wprawdzie jestem fotografem, a nie malarzem, ale pamiętaj, że zawsze mogę ci po...

– Masz teraz dużo pracy, więc czas wolny spędź z Martyną – upomniała i posłała mi znaczące spojrzenie, które sprawiło, że się uśmiechnąłem. Dawno temu, gdy mieliśmy naszą wyjątkową nić porozumienia, często też tak na mnie patrzyła.

– Martyna w poniedziałek wyjeżdża na kilka dni z koleżankami nad morze – poinformowałem.

Wyglądała na lekko zaskoczoną.

– Nie chciała, żebyś z nią jechał?

– Ten wypad jest typowo babski. Ogólnie to mieliśmy jechać gdzieś razem, ale nie potrafiłem się określić, kiedy wezmę urlop, więc trochę się wściekła – odparłem z ciężkim westchnieniem i wywróciłem oczami.

Zośka zacmokała z przyganą.

– Nie ma z tobą łatwo, panie pracoholiku.

– Wiesz, jak jest. To mój biznes, moje zlecenia i mój zarobek. Kto ma tego dopilnować w najgorętszym okresie, jeśli nie ja? Wprawdzie mam grupę zaufanych pracowników, którzy dobrze zajęliby się firmą, ale to jednak nie to samo.

Słuchała mnie ze skupieniem i analizowała każde moje słowo –

poznałem to po jej subtelnie zmarszczonych brwiach. Nagle zrobiła wielkie oczy i dotknęła lewego boku brzucha.

– Szybko, daj rękę! – zawołała. Nie czekała na moją reakcję, tylko złapała mój nadgarstek i przytknęła w to samo miejsce. – Skup się, może poczujesz – poprosiła szeptem, uśmiechając się szeroko.

Patrzyłem na jej brzuch z ekscytacją małego chłopca. Wszystkie moje myśli zbiegały się w miejscu, którego dotykała dłoń. Czekałem,

czy uda mi się dostąpić tego zaszczytu i przekonać się w fizyczny sposób o istnieniu małej Tosi.

I nagle to się wydarzyło.

Delikatny ruch, który mógłbym łatwo przeoczyć, ale sobie na to nie pozwoliłem. Było to coś jakby delikatne pukanie od środka. Czułem, jak ciało Zośki unosi się rytmicznie w tym jednym miejscu. Może to mała piąstka uderzała w brzuch mamy, a może kopniaki wprowadzała nóżka małych rozmiarów.

Wzięłem drżący oddech i spojrzałem Zośce w oczy. Promieniała wyjątkowym, pięknym blaskiem.

– Przywitała się z tobą, prawda? – zapytała szczęśliwa.

– Tak. To... niesamowite – przyznałem mało elokwentnie, ale byłem pod takim wrażeniem, że trudno mi było zebrać myśli na jakąkolwiek mądrzejszą odpowiedź.

– Za kilka tygodni brzuch będzie mi falował tak mocno, że zobaczysz to gołym okiem. Teraz jeszcze ma całkiem dużo miejsca, ale za chwilę już tak nie będzie.

Zobaczę...

– Nawet nie mam wystarczająco rozbudowanej wyobraźni, by zrozumieć, jak ty to musisz odczuwać – przyznałem lekko oszołomiony.

– Jest to przepiękne uczucie. Niezapomniane.

Wierzyłem. Całym sobą wierzyłem w to, co powiedziała. I nie musiała dodawać nic więcej.

18. Zośka

Chyba oboje z Kubą straciliśmy poczucie czasu. Rozmowa, która z początku zapowiadała się sztywno – po koncercie krzyków, jaki urządził mi Radek – nagle po prostu potoczyła się swoim własnym, niewymuszonym rytmem.

Chciało mi się uśmiechać, mówić, przeżywać. A przede wszystkim nie myśleć o sytuacji, która przeraziła mnie nie na żarty, gdy mój były chłopak zaczął rzucać coraz to gorsze groźby ubarwione niezwykle rozbudowanymi przekleństwami. Nie to, żeby mi się nie zdarzyło przekląć. Po prostu nigdy nie robiłam tego z taką częstotliwością jak on.

Kuba ze swoim spokojem i pokrzepiającą miną był jak plaster na wszystkie rany, i nie ma w tym porównaniu przesady, dokładnie tak na mnie działał. A poza tym polubiłam jego towarzystwo, zupełnie jak kiedyś. Teraz miałam do czynienia z dorosłym mężczyzną, a nie nastolatkiem. Tembr jego głosu brzmiał inaczej, spojrzenie nabrało intensywności. Budowaliśmy nową, tym razem, z racji wieku, znacznie bardziej dojrzałą niż porozumienia.

Pozwoliłam mu dotknąć brzucha pod wpływem emocji, ale nie żałowałam. Widziałam, że ruchy Tosi zrobiły na nim ogromne wrażenie. To było wspaniałe uczucie... Do tej pory nigdy z nikim go nie dzieliłam, nawet Wera nie miała jeszcze okazji, żeby przekonać się, jak to małe ciało rozpycha się w moim brzuchu. Padło na Kubę.

To on był pierwszy.

Od kilku dni wiedziałam już, że noszę pod sercem dziewczynkę.

Gdy lekarz mi to oświadczył, zdałam sobie sprawę, że... nie jestem zaskoczona. Jakbym podświadomie od początku tak właśnie przeczuwała. Cieszyłam się jak szalona i wreszcie mogłam zwracać się do niej po imieniu.

Rozwijała się dobrze, ja czułam się znacznie lepiej, przyjmowałam witaminy i zaczynałam planować nasze kolejne miesiące. W głowie miałam remont i organizowanie wyprawki. A zaczęłam ją kompletować od kupna materiałów.

Bo kiedyś, wiele lat temu, moja kochana babcia, która była wspaniałą krawcową, nauczyła mnie szyc. Przyniosłam jej maszynę z piwnicy niedługo po przeprowadzce, ale brakowało mi śmiałości, by sprawdzić, jak wiele pamiętam z dawnych nauk. Wracając z badań połówkowych, wyobraziłam sobie, jak bardzo babcia byłaby szczęśliwa, wiedząc, że na jej ukochanej maszynie do szycia powstały pierwsze śpioszki dla prawnuczki. To ostatecznie mnie przekonało.

Działałam powoli, ale ze skupieniem, i tylko wieczorami, kiedy robiło się już chłodniej i siedzenie przy maszynie nie wyciskało ze mnie siódmych potów.

Terkot maszyny początkowo straszył Prymulkę. Kicia chowała się pod łóżko w sypialni, więc przenieśliśmy się z całym babcinym sprzętem do salonu, by nie dokładać mojemu pupilowi stresu.

Opiekunowie w fundacji podczas procesu adopcyjnego tłumaczyli, bym zapewniła jej jak najwięcej ciszy i spokoju na jesień życia, ponieważ bała się głośnych i nieznanymi dźwięków, prawdopodobnie z racji tego, że została potrącona przez samochód. Komfort Prymulki był dla mnie niezwykle ważny. Przecież ją kochałam i wierzyłam, że ta miłość pozwoli jej przeżyć jeszcze kilka dobrych lat.

Przerwaliśmy z Kubą rozmowę, gdy nagle drzwi odchyliły się i kicia pokuśtykała w naszą stronę.

– Chodź, pomogę – powiedziałam, kiedy zbliżyła się do kanapy, zamierzając na nią wskoczyć. Przez amputację tylnej łapki nie ze wszystkim sobie radziła, a kilka razy zdarzyło się, że spadła z jakiegoś mebla, gdy próbowała się na niego wdrapać, dlatego zawsze, gdy mogłam, to jej pomagałam.

Ułożyłam sobie Prymulkę na kolanach i dostrzegłam, że Kuba się jej przygląda. Chyba po raz pierwszy aż tak uważnie.

– Nie jestem wielkim fanem kotów, odkąd kilka lat temu jeden dziki i bezdomny pogryzł mi dłoń, gdy próbowałam mu pomóc, ale twój mnie zadziwia – przyznał z powagą.

– Dlaczego? – Zadałam to pytanie może odrobinę zbyt ostro, ale byłam uczulona na dziwne komentarze pod adresem mojego kota, bo zdawałam sobie sprawę, że jej fizyczny wygląd odbiega od tego, co powszechnie uważa się za słodkie i ładne.

A ja właśnie dlatego ją zaadoptowałam. Bo przez swoje braki i niepełnosprawność była dla mnie wyjątkowa.

– Nie widzi na jedno oko, nie ma połowy tylnej łapy, a daje sobie świetnie radę – odparł przyciszonym głosem i lekko się uśmiechnął.

– Można powiedzieć, że w pewnym sensie nie miała wyjścia, jak tylko dawać sobie radę. Fundacja i lekarze bardzo o nią walczyli.

Rokowania były bardzo ostrożne, bo z tego, co mi powiedziano, dość długo leżała na poboczu, potrącona przez samochód, zanim przechodząca chodnikiem kobieta zainteresowała się nią i zauważyła, że oddycha. Miała ogromne szczęście w gigantycznym nieszczęściu.

Mówili mi, że mam być świadoma tego, że ona zbyt długo nie pożyje, że to taka adopcja na krótko. A ja się uparłam, że chcę właśnie ją. – Trudno mi było o tym wszystkim opowiadać, tym bardziej że moja ciężko doświadczona koteczka wpatrywała się we mnie tak, jakby doskonale rozumiała moje słowa. Drapałam ją po łebku i czekałam, aż zacznie cicho pomrukiwać.

– Wygląda więc na to, że uporu obie macie w sobie nadmiar – stwierdził Kuba.

– Myślisz, że rzuci się na mnie, jeśli spróbuję ją dotknąć?

– Pozwól jej obwąchać dłoń, zanim to zrobisz – poinstruowałam, a on wykonał moje polecenie.

Po chwili oboje głaskaliśmy Prymulkę. Nasze palce od czasu do czasu spotykały się w jednym miejscu, lecz żadne z nas na to nie reagowało.

No bo niby dlaczego mielibyśmy?

– Czyli szycie... – zagadnął po chwili milczenia Kuba i spojrzał na materiały, które zostawiłam na stoliku kawowym.

– Długo się przed tym wzbraniałam, ale gdy poznałam płęć dziecka, postanowiłam przekonać się, ile mi zostało z nauk babci – przyznałam z lekkim, melancholijnym uśmiechem.

– Niemalże widzę ciebie i panią Kazię, gdy pochylacie się nad maszyną do szycia, a ona ci wszystko tłumaczy. Jakby to było wczoraj. – Oczy Kubu na moment zasnuły się mgłą wspomnień.

On i Sebastian wpadli kiedyś do mieszkania babci, gdy ta akurat dawała mi kolejną lekcję krawiectwa. Zapewne to o tej sytuacji mówił. Wspomnienie babci wywoływało we mnie mieszanię smutku i tęsknoty. To ten rodzaj miłości, która nigdy nie przeminie.

– Była świetną nauczycielką. W końcu o czymś to świadczy, że po tylu latach zdołałam uszyć już pięć całkiem ładnych śpioszków – pochwaliłam się.

– A wiesz, że nadal mam ten T-shirt, który dla mnie uszyła?

– Mieliście z Sebastianem takie same – przypomniałam sobie.

– On też trzymał go w szafie latami.

To była ta chwila, w której po raz kolejny zdaliśmy sobie sprawę z tej nieodżałowanej, niemożliwej do odwrócenia straty. Kuba opuścił

wzrok i wziął powolny, głęboki oddech. Patrzyłam na niego tak długo, aż i on na mnie nie spojrział. Pojawiła się między nami nic porozumienia, która nie wymagała dodatkowych słów.

I choć dobrze mi się z nim rozmawiało i dobrze milczało, to ze stoickim spokojem zaakceptowałam moment, gdy powiedział, że musi już iść. Może to tylko moje mylne wrażenie, a może rzeczywiście zmuszał się do wyjścia. Odłożyłam śpiącą Prymulkę na jedną z miękkich poduszek zdobiących kanapę i odprowadziłam Kubę do drzwi.

– Zapomniałem ci się do czegoś przyznać – oświadczył nieoczekiwanie.

– Co się stało? – zapytałam zaniepokojona. Miałam już dość wrażeń jak na jeden wieczór. Radek o to zadbał.

– Poprosiłem Sabinę o twój numer telefonu, żeby mieć go w telefonie, w razie czego.

Uniosłam lekko brwi i uśmiechnęłam się.

– W takim razie, żeby było sprawiedliwie, puść mi sygnał, żebym i ja mogła mieć kontakt do ciebie. W razie czego.

Wyszczrzył się i od razu zrobił to, o co go prosiłam. Moja komórka zagrała krótko gdzieś w głębi mieszkania.

– Gotowe. Do zobaczenia. Dziękuję ci za miło spędzony czas.

– To ja dziękuję... wiesz za co. – Nie musiałam mówić, jak jestem mu wdzięczna za przegonienie Radka spod moich drzwi. – Do zobaczenia.

I poszedł. A ja odprowadzałam go wzrokiem jeszcze przez chwilę, po czym zamknęłam drzwi na wszystkie spusty i zasiadłam do maszyny z zamiarem dokończenia ostatniego maleńkiego śpioszka.

Wtedy jednak zerknęłam na spokojną Prymulkę. Nie miałam sumienia znów jej straszyć tym osobliwym stukotem. Postanowiłam pójść spać. Zanim jednak opuściłam rolety w oknach, zauważyłam, że te w mieszkaniu naprzeciwko już rozbłysnęły światłem, co oznaczało, że Kuba był u siebie.

W telefonie zaś czekała na mnie wiadomość, która sprawiła, że się uśmiechnęłam.

Dobrej nocy dla Ciebie i Tosi.

*

Następnego dnia z samego rana postanowiłam wybrać się na cmentarz. Zapowiadał się niestety kolejny upalny dzień, ale zatęskniłam za babcią tak bardzo, że musiałam do niej pójść i zanieść świeże kwiaty. Kilka minut po ósmej opuściłam mieszkanie.

Udało mi się okiełznać lekkie mdłości za pomocą owsianki z malinami, więc miałam nadzieję, że żadne żołądkowe perturbacje już mnie nie dopadną.

Wakacyjna aura już unosiła się w powietrzu! Dzieci bawiły się na placu zabaw, a pilnujący ich opiekunowie rozsiedli się na ławkach i głośno dyskutowali o tym, jak sobie radzić ze zbyt wysokimi temperaturami. Współczułam kobietom, którym na to upalne lato przypadła końcówka ciąży. Ja miałam rodzić dopiero w grudniu, więc istniała szansa na przetrwanie tych miesięcy bez większej męki.

Stoisko mojej ulubionej staruszki zostało dziś przeniesione w cień wielkiego dębu. Pani Stasia rozmawiała właśnie z trzymającym się pod rękę małżeństwem w średnim wieku. Kobieta kupiła dwa bukiety żywych kwiatów i chwilę później wraz z mężem weszła na teren cmentarza. Wtedy starsza pani dostrzegła, że się zbliżam, i pomachała mi z daleka.

– Zosieńka! Jak dobrze cię widzieć! I brzusio, bo już wyraźnie urósł

– powiedziała z szerokim uśmiechem. Patrzyła na mnie roziskrzonymi z radości oczami, spod ronda słomkowego kapelusza, który chronił jej głowę przed promieniowaniem słonecznym. – Jak się czujesz, kochana?

– Dzień dobry, pani Stasiu. Samopoczucie już coraz lepsze, dziękuję. Wreszcie mogę się pani pochwalić oficjalnie, że będę miała córkę. Antonina. – Dotknęłam z miłością brzucha i uśmiechnęłam się. Wewnątrz poczułam delikatne kopnięcie.

– Gratuluję po raz kolejny! Co za cudowna wiadomość! – ucieszyła się energicznie i wyszła zza stoiska, by mnie uściskać.

Jej drobne, szczupłe ciało wydało mi się takie kruche, gdy ją objęłam.

– A co u pani? Jak zdrowko? Czy to bezpieczne, że stoi pani przy stoisku nawet w takie upały?

Machnęła ręką, jak zawsze, gdy okazywałam jej swoją troskę czy zmartwienie. Ona ani sobie, ani nikomu innemu na to nie pozwalała.

Chciała być samodzielna pomimo podeszłego wieku. Godne podziwu? Owszem. A przy tym niebezpieczne, bo przecież mogło jej się coś stać. Nie wyglądała mi na taką, która przesadnie uważa i skupia się na sobie. Rezulotna staruszka, ot co.

– Nie obawiaj się. Jestem tutaj teraz tylko do jedenastej trzydzieści, przed południem wszystko zwijam, wnuki przyjadą mi pomóc, bo kto by w takim ukropie dał radę ustać. – Sapnęła dla zobrazowania swoich słów. – Martwiłam się nawet, że przyjdiesz później i pomyślisz, że przestałam sprzedawać, gdy mnie nie zobaczysz.

– Też staram się nie opuszczać mieszkania w najgorętszych godzinach, dlatego wybrałam się dzisiaj zaraz po śniadaniu.

– Kogo dzisiaj odwiedzasz? – zagaiła, wróciwszy za ladę swojego stoiska.

– Idę do babci. Kilka dni temu zaczęłam szyć ubranka dla córki. Na babci starej maszynie do szycia, którą bardzo kochała i na której kiedyś uczyła mnie tej sztuki. Zatęskniłam.

– Szycie to trudna sztuka, ja zawsze miałam do tego dwie lewe ręce – zaśmiała się. – Za to z szydełkiem idzie mi lepiej, więc gdy nie sprzedaję kwiatów, to szydełkuję. Skoro odwiedzasz dziś babcię, to co powiesz na żółte tulipany? – Pani Stasia sięgnęła do jednego z wiader wypełnionych wodą i pokazała mi ładny, skromny bukietek.

– Idealnie – potwierdziłam z zadowoleniem.

Zapłaciłam z nadwyżką, jak zawsze, nie dając jej możliwości wypowiedzenia sprzeciwu.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym pożegnałam się z panią Stasią i ruszyłam w kierunku bramy cmentarza. Usłyszałam jednak jej wołanie za plecami, więc zatrzymałam się i spojrzałam przez ramię.

– Ten młody mężczyzna, który pewnego razu ci towarzyszył...

– Tak? Co z nim? – zapytałam, wiedząc, że miała na myśli Kubę.

– Od tamtego razu przychodzi regularnie. Kupuje u mnie kwiaty, zawsze przez chwilę zagadnie, taki grzeczny i miły. Odwiedza Sebastiana – poinformowała z czułym uśmiechem, jakby ten fakt niesamowicie ją wzruszał.

Hmm... Nie miałam pojęcia, że to robi. Niczego nie mówił. A ja nie mogłam teraz przyznać, że o czymkolwiek wiem.

Przytaknęłam i uśmiechnęłam się, mówiąc:

– To bardzo miłe z jego strony. Kiedyś byli najlepszymi przyjaciółmi.

*

Już o dziesiątej zrobiło się nieznośnie gorąco, więc z ulgą weszłam do mieszkania i opuściłam wszystkie rolety, by promienie słoneczne nie wdzierały się do wnętrza i go nie nagrzewały. Niezbyt przyjemnie siedziało się w półmroku, natomiast Prymulka wyglądała na zadowoloną.

Nakarmiłam ją porcją ulubionej mięsnej karmy dostosowanej dla kociaków w okresie rekonwalescencji, a następnie wyczyściłam kuwetę znajdującą się w łazience, uzbrojona w łopatkę oraz sięgające łokci gumowe rękawiczki. Później przez dłuższą chwilę myłam ręce, bo miałam na tym punkcie lekką obsesję, choć doskonale wiedziałam, jak trudno zarazić się toksoplazmozą od kota.

Sporo o tym czytałam jeszcze przed zajściem w ciążę, bo od zawsze chciałam zaadoptować zwierzątko, a i nie kryłam się z pragnieniem bycia mamą. Wówczas odzywały się te wszystkie samozwańcze ciotce dobra rada, które grzmiąły o tym, jakie to nieodpowiedzialne.

Kto to widział, kot i ciąża? Albo – o zgrozo! – kot i dziecko?

A nietrudno było się poinformować, że koty nie stanowią bezpośredniego zagrożenia dla rozwijającego się płodu. Wprawdzie te zwierzęta to ostatni żywicieli toksoplazmozy, ale znacznie łatwiejszą drogą zarażenia są niedomyte owoce i warzywa oraz surowe mięso. Kategorieczne przestrzeganie zasad czystości i uważność podczas gotowania stanowią klucz do zachowania zdrowia. Prymulka nie zagrażała więc Tosi i byłam przekonana, że po jej narodzinach uda nam się wypracować jakiś tryb zgodnego wspólnego życia.

Po porannym spacerze na cmentarz, odwiedzeniu grobu babci i zrobionych tam porządkach czułam się doszczętnie zmęczona, a do tego dopadł mnie ból głowy. Przez półmrok panujący w mieszkaniu nie mogłam nawet zająć się szyciem, więc skorzystałam z okazji i położyłam się do łóżka na krótką drzemkę. Zasnęłam w towarzystwie kopniaków mojej córeczki.

Obudziłam się dopiero kilka godzin później. Okres największego gorąca już minął, choć i tak miałam wrażenie, że w mieszkaniu jest nieznośnie duszno. Leżałam w samej sukience, a i tak byłam spocona na szyi i karku. Obok mojej głowy, na poduszce, leżała Prymulka i mruczała głośno z zadowoleniem. Przypatrywała mi się, mrugając powoli, a ja podrapałam ją lekko pod pyszczkiem, kolejny raz dziękując w duchu, że ją mam.

Wstałam i zrobiłam sobie lekką sałatkę, bo w zasadzie na nic bardziej wymagającego nie miałam ochoty. Podniosłam rolety i przez kilka minut obserwowałam bawiące się na placu zabaw dzieci. To było już dla mnie takie naturalne – wyobrazić sobie, że za kilka lat moja córeczka też będzie rywalizować, kto huśta się wyżej, albo wchodzić na zjeżdżalnię od drugiej strony i wspinać się na sam szczyt. Z tych przyjemnych i wzruszających rozmyślań wyrwał mnie dźwięk telefonu.

Dzwoniła Sabina.

– Halo? – odebrałam, zanim połączenie zdążyło dobiec końca.

– Hej! Właśnie idę na dosłownie kilka minut do Kuby i pomyślałam, że może miałybyś ochotę wybrać się na lody? Nie jest już tak gorąco, a spacer i babskie pogaduchy mogłyby nam dobrze zrobić.

Co ty na to? – Jej rezolutny, pełen energii głos sprawił, że uśmiechnęłam się szeroko. W tle słyszałam szum jadącego samochodu, zapewne właśnie prowadziła.

– Chętnie. Ucięłam sobie drzemkę, więc tylko się ogarnę i możemy spotkać się przy bramie podwórza – odpowiedziałam i natychmiast usłyszałam krótki, radosny pisk.

– Ale super! To widzimy się za dwadzieścia minut, dobrze?

– Pasuje!

Miło było słyszeć, że komuś tak zależało na spotkaniu ze mną.

Reakcja Sabiny była szczerą, w ogóle w to nie wątpiłam. Nie musiała mi proponować żadnych spotkań, to była wyłącznie jej dobra wola.

Skoro to robiła, to znaczy, że chciała.

Lata temu nasze kontakty nie były zbyt bliskie. Ja trzymałam się z rówieśnikami, ona natomiast, o kilka lat młodsza dziewczynka, ciągle zostawała gdzieś w tyle. Ale i tak zawsze ją lubiłam, choć ona prawdopodobnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

Zeszliśmy się przy bramie o umówionym czasie. Jej szeroki uśmiech sprawił, że kąćki moich ust też automatycznie uniosły się ku górze.

– Cześć, jak dobrze cię widzieć! – powiedziała na powitanie i przytuliła mnie. – Świetnie wyglądasz! Brzuszek już widoczny!

– Ty także promieniejesz. A my rośniemy, to fakt – przyznałam lekko rozbawiona.

Sprawiło mi przyjemność to, że mój stan jest już zauważalny dla innych osób. Było to coś, czym chciałam się szczycić. Z dumą nosiłam pod sercem moje dzieciątko.

– W parku postawiono budkę z lodami naturalnymi. Są tak pyszne, że nie mogę się nimi najeść, a byłam tam już kilka razy.

– No to w drogę!

O tej godzinie na ulicach wciąż jeszcze panował spory ruch. Dużo ludzi zmierzało, tak jak my, w kierunku parku. Już z oddali widziałam bujne korony drzew. Przestrzeń ta była bardzo zadbane, regularnie czyniono tu jakieś inwestycje – a to nowe ławki, a to renowacja tych starych, a to ścieżki dla rowerzystów. Podobno w przyszłym roku miała tu stanąć fontanna. Temat wzbudzał wśród mieszkańców skrajne emocje: jedni się cieszyli, inni uważali, że pieniądze włożone w tego typu atrakcję można by spożytkować dużo lepiej. Sama uważałam, że fundusze zdecydowanie bardziej przydałyby się naszemu powiatowemu schronisku dla zwierząt. Nie tak dawno znów widziałam na Facebooku post, w którym wolontariusze pisali o aktualnych brakach w wyposażeniu i prosili o pomoc ludzi dobrej woli.

– Opowiadaj, jak się czujesz – przerwała moje rozmyślenia Sabina.

Włosy miała związane w wysoki kucyk, a na sobie dżinsowe ogrodniczki z krótkimi spodenkami i top, który podkreślał jej nienaganną figurę. Wyrosła na naprawdę piękną i pewną siebie kobietę. Emanowała odwagą i animuszem, którego gdzieś po cichu chyba trochę jej zazdrościłam.

– Całkiem dobrze. Nie tak dawno dowiedziałam się, że będę miała córkę. Obecnie siedzę w domu na zwolnieniu, więc odkurzyłam maszynę do szycia po mojej babci i zabijam czas tworzeniem ubranek – odpowiedziałam i popatrzyłam na nią z lekkim uśmiechem.

– Oczywiście ci gratuluje, ale ja już o wszystkim wiem, moja droga.

Kuba mi powiedział – oznajmiła dumnie i puściła mi oko.

– Nie sądziłam, że tak szybko pójdzie mu rozpowszechnianie tej wiadomości – zauważyłam, choć nie miało to żadnego negatywnego

wydzwisku. W końcu podzielił się informacją z własną siostrą, a nie kimś przypadkowym i obcym.

– A przestań, przecież sam w życiu by mi nie powiedział!

Pociągnęłam go trochę za język. – Zerknęła na mnie znacząco. –

Dłubie w tym komputerze bez opamiętania ostatnio. Martyna się wścieka, ciągle angażuje mnie w sprawy ich związku, a mnie już trochę szlag trafia. Lubię ją, to dobra dziewczyna z sercem na dłoni, ale w ogóle nie radzi sobie z Kubą. I przy każdym konflikcie prosi mnie o pomoc.

Wypaliła z tą informacją, zanim zdążyłam się przygotować na obronie takiego tematu rozmowy. Jej słowa mnie zaskoczyły. To w ogóle nie pasowało do mojego wyobrażenia o związku Martyny i Kuby. No i nie byłam pewna, czy powinnam słuchać o ich problemach... A co ważniejsze, czy w ogóle tego chciałam.

– Nie przypuszczałam, że to tak wygląda, ale wiesz, każda para ma czasami pod górkę. – Pokusiłam się o najbardziej neutralną odpowiedź, jaka tylko przyszła mi do głowy.

Swoją drogą, gdyby Sabina wiedziała, jak bardzo pod górkę miałam ja w moim nieaktualnym już związku...

– Nie o to chodzi – powiedziała rzeczowo. – Znasz Kubę, wiesz, jaki on jest.

Czy rzeczywiście nadal go znałam tak, jak to się wydawało mojej towarzyszce? Może i pewne rzeczy pozostały niezmiennie, ale cała reszta zdecydowanie wyglądała inaczej niż kiedyś.

– Znałam bardzo dobrze nastoletniego Kubę, teraz jest dorosłym mężczyzną, który ma swoje życie i...

– Nie zmienił się aż tak bardzo, jak chciałabyś sobie wmówić – wtrąciła ze znaczącym uśmiechem. – W każdym razie wiesz, że bywa trudny, zamknięty w sobie i uparty jak cholera. Jest też niezwykle pracowity, przywiązuje się do rzeczy i miejsc, nie wstydzi się być melancholijnym, w przeciwieństwie do większości facetów. A Martyna chce go zmienić. Niby daje mu czas, niby nie robi nic na siłę, ale ciągle po cichu na niego napiera, bo ma wizję ich wspólnego życia i Kuba musi się do niej dostosować – powiedziała z goryczą i pokręciła głową z dezaprobatą.

Sama z siebie po prostu zaczęła o tym mówić, gdy szłyśmy ramię w ramię, otoczone przez gwar tętniącego życiem miasta. Z jakiegoś powodu ciężko mi się tego słuchało. Nie miałam odwagi, by powiedzieć jej, że chcę zmienić temat, bo to nie moja sprawa.

Postanowiłam milczeć, chyba nie oczekiwała ode mnie komentarza, po prostu chciała zostać wysłuchana. Tyle musiałam jej dać, nawet jeśli było mi niezręcznie zaglądać za kulisy związku Kuby.

– Nie popieram tego ich ślubu. Powiedziałam o tym Martynie jakiś czas temu, to przez miesiąc się do mnie nie odzywała, ale później oczywiście znów przyszła po pomoc, gdy Kuba nie tańczył tak, jak ona zagrała. To mój brat, który wnerwia mnie jakieś trzysta sześćdziesiąt pięć razy w ciągu roku, ale kocham go. Zresztą kto jak kto, ale jestem pewna, że ty to rozumiesz – powiedziała, a już sekundę później zdała sobie sprawę ze swojego faux pas. Zakryła usta dłonią i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi, przepraszącymi oczami. – Wybacz... Nie powinnam.

Od razu pokręciłam głową, by dać jej znać, że w gruncie rzeczy nie powiedziała nic złego. Nie poczułam się urażona. Owszem, gdzieś w sercu zakłuło. Delikatnie. Był to smutek po stracie jedyne go brata.

Mojego brata bliźniaka. Ale to normalna reakcja, świadcząca wyłącznie o przeżywanej żalobie. Czymś, z czym uczyłam się żyć każdego kolejnego dnia.

– Nic się nie stało, Sabina – uspokoiłam ją od razu. – Sebastian odszedł, ale to nie znaczy, że nie pamiętam, jak to jest mieć brata i go kochać. Miłość do niego cały czas jest we mnie żywa i taka będzie, niezależnie od tego, ile czasu minie.

Widziałam, jak po moich słowach opanowuje ją wzruszenie.

Pociągnęła nosem i objęła mnie ramieniem w geście pocieszenia.

Uśmiechnęłam się, dając jej znać, że ma się nie martwić, że naprawdę wszystko w porządku.

Dotarliśmy do budki z lodami, którą obsługiwała młoda dziewczyna w dredach. Pewnie dorabiała sobie w ramach wakacyjnej pracy. Lista smaków wypisanych na tablicy była długa i brzmiała bardzo smakowicie.

– Ja cię zaprosiłam, więc stawiam – oznajmiła Sabina. – Jakie smaki wybierasz?

Raz jeszcze przyjrzałam się rozpisce.

– Poproszę jedną gałkę lodów bakaliowych, a drugą... guma balonowa. A co mi tam!

– Dla mnie będzie sernik pomarańczowy i snickers – złożyła swoje zamówienie Sabina.

Dziewczyna nabiła rachunek i przyjęła od mojej koleżanki należną kwotę, po czym przygotowała dla nas lody i bez słowa usadowiła je w plastikowym podajniku. Wyglądała na bardzo znudzoną swoim zajęciem. Odeszliśmy, rzucając jej na odchodne kulturalne podziękowania, na które jednak w żaden sposób nie odpowiedziała.

Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów dalej urodziwą parkową alejką, którą po obu stronach porastały kolorowe kwiaty. Dzień powoli dobiegał końca, jednak ptasie trele były tak głośne i chóralne, jakby rozpoczynał się kolejny poranek.

– Wybacz, że tak zarzuciłam cię informacjami o Martynie i Kubie, ale w sumie nie mam z kim o tym pogadać – przyznała Sabina, gdy zasiadłyśmy na jednej z odnowionych ławek w cieniu wielkiego dębu.

– Nie oczekuję od ciebie żadnych rad ani pocieszenia. Jeśli poczułaś się zakłopotana, to przepraszam.

– W porządku. Naprawdę. Po prostu nie przypuszczałam, że to może tak wyglądać. Jako para zrobili na mnie bardzo dobre wrażenie

– przyznałam, czując na języku przyjemnie chłodną słodycz gumy balonowej.

– Bo oni teoretycznie są parą całkiem zgraną, w praktyce jednak wychodzi zupełnie coś innego. Obawiam się, że nigdy nie dotrą się na tyle, by mogli stworzyć małżeństwo z perspektywą dożycia wspólnej starości – odpowiedziała z poważną miną. – Gdybym to powiedziała Kubie, on pewnie by się wkurzył i odpalił mi coś w stylu, że nie mam bladego pojęcia o związkach, bo w żadnym nie byłam.

Już otwierałam usta, by coś odpowiedzieć, gdy nagle w oczy rzuciła mi się zmierzająca ku nam postać. I prawie pomyślałam, że mam zwidy, bo... to była Martyna. Jej figurę modelki oraz idealny uśmiech poznałabym wszędzie, bo bardzo zapadły mi w pamięć.

– Hej, co za spotkanie! – powiedziała entuzjastycznie i poprawiła na przedramieniu naręcze papierowych toreb z logo różnych sklepów odzieżowych. – Ja właśnie skończyłam bieg po galerii, bo musiałam kupić kilka rzeczy przed wyjazdem z dziewczynami nad morze – dodała i wzięła głęboki oddech. – Poczekajcie chwilę, też skoczę sobie po lody. Zostawię wam moje zakupy pod opieką.

Żadna z nas nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo już pomknęła do stoiska.

– Jest tak samo żywiółowa jak ty – skomentowałam z lekkim uśmiechem, patrząc na stojącą w oddali narzeczoną Kubę.

– Mamy podobny rodzaj życiowej energii, to fakt – przyznała Sabina.

Po chwili wróciła Martyna, więc natychmiast przesunęliśmy się odrobinę na ławce, by zrobić jej miejsce.

– Duży park w centrum małego miasta to jednak miejsce wielu nieoczekiwanych spotkań, co nie? – zagadnęła z uśmiechem i spróbowała lodów.

– Coś w tym jest. Wejdiesz do parku i od razu spotykasz kogoś znajomego – przyznała Sabina.

Gdyby wcześniej nie powiedziała mi tego wszystkiego o Martynie i Kubie, to pomyślałabym, że bardzo lubi swoją przyszłą bratową.

Teraz natomiast wiedziałam, że po prostu potrafi robić dobrą minę do złej gry.

– Cieszę się, że was spotkałam – przyznała Martyna i brzmiało to całkowicie szczerze. – Promieniejesz, Zosiu – dodała, zwracając się do mnie.

Posłałam jej pełen wdzięczności uśmiech. Miło było to słyszeć.

Wszak przez ostatnie kilka tygodni, gdy chodziłam jak cień i pozwalałam, by żaloba wysysała ze mnie wszelkie siły witalne, nikt nie mówił, że dobrze wyglądam... Ludzie pytali, czy jestem na coś poważnie chora.

– Dziękuję. Trwa drugi trymestr i rzeczywiście jest tak przyjemny, jak obiecywał mój lekarz prowadzący – przyznałam miło.

– Ja wiem, że długo się nie znamy, ale przyznam ci się, że twoja ciąża i nasza pierwsza rozmowa napełniły mnie mnóstwem pomysłów oraz pozytywnej energii. I uznałam, że może fajnie byłoby zorganizować ci baby shower za kilka tygodni. Co ty na to? Jesteś dobrą znajomą mojego narzeczonego, więc to tak, jakbyś była także moją – powiedziała Martyna.

Całkowicie mnie zaskoczyła. Popatrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami.

– Oczywiście wszystko zorganizuję, tylko poproszę cię o informację, które twoje przyjaciółki zaprosić – kontynuowała.

No nieźle... W życiu nie przeszłoby mi przez myśl żadne baby shower. Poza tym moją jedyną koleżanką była Wera. Poczulałam się bardzo niezręcznie. Być może Sabina dostrzegła coś w moim wyrazie twarzy, bo szybko przyszła z pomocą.

– Myślę, że można wrócić do tematu za jakiś czas. Niech się Zośka zastanowi nad tym wydarzeniem na spokojnie.

Puściłam jej ukradkowy, pełen wdzięczności uśmiech, a ona odpowiedziała mi w ten sam sposób. I już wiedziałam, że zrozumiałyśmy się bez słów.

A Martyna na szczęście odpuściła i szybko zmieniła temat, ekscytując się swoim wyjazdem nad morze w całkowicie babskim gronie.

19. Kuba

Martyna wyjechała. Po dotarciu do Kołobrzegu wysłała mi zdjęcie morskich fal. Napisałem jej, żeby bawiła się dobrze, po czym bez wyrzutów sumienia wróciłem do pracy. Przez kilka dni nie musiałem się martwić, że moja kobieta będzie wszczynać awantury o brak czasu dla niej. Liczyłem, że dzięki temu nadgonię przynajmniej dwa zlecenia i do końca tygodnia oddam wszystkie materiały oczekującym na nie parom.

Zerkając co jakiś czas w okna Zośki, zauważyłem, że od poniedziałku rozpoczął się u niej remont sypialni, która miała stać się pokoikiem dziecięcym. Zdałem sobie sprawę, że sam prowadzę ostatnimi czasy bardzo nudne życie.

I chyba nie tylko ja tak myślałem, bo moja narzeczona po powrocie z babskich wakacji powiedziała mi dokładnie to samo. Bez żadnych skrupułów.

– Nie wiem, co się znowu z tobą dzieje. W ogóle nie idzie do ciebie dotrzeć, tylko praca i praca! – powiedziała ostro Martyna, gromiąc mnie spojrzeniem. – Czy w ostatnim czasie załatwiłeś coś w związku z naszym ślubem? – Czekwała na moją reakcję tylko krótką chwilę. – To było pytanie retoryczne. Wiem, że nie.

– Zajmę się tym, tylko zdam najpilniejsze zlecenia, okej? – mruknąłem, wklejając ostatnie zdjęcie do albumu pary młodej. Takie kosmetyczne kwestie załatwiałem obecnie grubo po godzinach.

– Miło, że chociaż tu posprzątałeś. – Nie mogła darować sobie tej uszczypliwości.

Przytaknąłem tylko i postanowiłem nie odpowiadać. Nie tak łatwo dawałem się sprowokować do kłótni i choć zachowanie stoickiego spokoju częstokroć wymagało ode mnie sięgania po ostatnie zasoby siły, to najczęściej się udawało. A Martynę szlag trafiał, bo jak sama kiedyś stwierdziła, wołałaby, żebyśmy od czasu do czasu nakrzyczeli na siebie i wyrzucili negatywne emocje.

Cóż... Nie ze mną te numery. Od krzyczenia była ona. Ja głównie przytakiwałem albo broniłem się spokojną rozmową, byle nie pozwolić sobie wejść na głowę. Chociaż Sabina dogryzła mi kiedyś, że to nie potrwa długo, a po ślubie Martyna uczyni ze mnie pantofla...

– Obiecuję ci, że niebawem zajmiemy się ponownie tematem ślubu

– zadeklarowałem, kolejny raz celowo unikając udzielania szczegółowych informacji co do rzeczonoego „niebawem”.

– A co z wyjazdem na urlop? Przejrzałam oferty kilku biur podróży i ceny są naprawdę atrakcyjne. Myślę o Chorwacji albo Bułgarii.

Teatralne wywracanie oczami nie było w moim stylu, ale teraz autentycznie miałem ochotę to zrobić. Zamiast tego cicho westchnąłem.

– Kochanie, przecież wiesz, że trwa obecnie sezon ślubny. Dużo się dzieje.

– Sezon ślubny trwa co najmniej do końca września, więc kiedy chcesz jechać na wakacje? W październiku? – uniosła się.

– Możemy połączyć wakacje z podróżą poślubną i wybrać się gdzieś po Nowym Roku – odpowiedziałem. Wpadłem na to już jakiś czas temu, ale dopiero teraz odważyłem się coś takiego zaproponować.

Po moich słowach rozpętała się mała wojna, która zakończyła się wyjściem Martyny z mojego mieszkania i trzaśnięciem drzwiami.

Przez kilka minut siedziałem bez ruchu, patrzyłem w jakiś przypadkowy punkt na ścianie i zastanawiałem się, czy urlop naprawdę jest aż takim powodem, by toczyć regularne awantury.

Przecież po ślubie, gdy nadejdzie czas życia pod jednym dachem, pojawią się dużo większe i bardziej przyziemne problemy, z którymi będziemy musieli sobie radzić. Jak to zrobimy, jeśli już teraz nie dochodziliśmy do kompromisu w znacznie prostszych kwestiach?

Kolejna awantura bez jednoznacznego rozwiązania wprawiła mnie w wisielczy humor.

A wtedy popatrzyłem przez okno na plac zabaw i zobaczyłem na jednej z huśtawek Zośkę. Uśmiechnąłem się. I niemal natychmiast dotarło do mnie, że w ostatnim czasie to właśnie ona była jedynym jasnym punktem w moim życiu. Odganiała ciemne chmury, potrafiła przywołać dobre myśli...

Zakończyłem pracę na ten dzień i wyszedłem z mieszkania.

Zauważyła mnie niemal od razu po wyjściu z kamienicy. Już z daleka widziałem, że jej twarz delikatnie się rozpromieniła. Jasne włosy Zosia zaplotła w luźny warkocz. Miała na sobie ciężowe ogrodniczki i ciemnozielony top. Jej brzusek sporo już urósł. Wyglądała bardzo ładnie w swoim obecnym stanie.

– Hej – przywitałem się z nią i usiadłem na drugiej wolnej huśtawce.

– Ostatnim razem, gdy cię tu zauważyłem, poczułaś ruchy Tosi. Czy coś podobnego wydarzyło się dzisiaj? – zagadnąłem zaciekawiony.

Zośka zacisnęła usta, jakby chciała powstrzymać pełen radości i dumy uśmiech, ale nie dała rady. Oczy świeciły się jej w przepiękny sposób.

– Dostałam od lekarza zdjęcie 3D buzi mojej córeczki – powiedziała podekscytowana i sięgnęła dłonią do kieszeni ogrodniczek znajdującej się na piersi. Wysunęła ku mnie mały, prostokątny wydruk.

Wstrzymałem oddech na widok tej maleńkiej, trochę niewyraźnej buzi. Zamknięte powieki, zarys noska i usteczek... Wszystko było

w pełni dostrzegalne i wzruszało w jakiś nieznanym mi dotąd sposób.

Miałem wrażenie, jakby widok tej słodkiej twarzy chwycił mnie za serce. A wspomnienie tej chwili już nigdy miało nie puścić...

– Jest prześliczna – przyznałem z całkowitą szczerością.

– Prawda? Z początku myślałam, że nie uda się uchwycić na zdjęciu buzi, bo przytulała się do łóżyska, ale lekarz próbował dość długo, aż wreszcie się obróciła i udało mu się zrobić to jedno doskonałe zdjęcie – opowiedziała głosem do granic możliwości przesiąkniętym miłością.

Słyszałem i widziałem jej uczucia do tego maleńkiego dziecka. One ją w pewnym sensie otaczały, a przede wszystkim dopełniały jako człowieka. I jako kobietę.

Była kompletna. Z ciężowym brzuszkiem, oczekiwaniem na narodziny upragnionego dziecka, z przygotowywaniem się na ten ważny moment, z przeżywaniem całą sobą wszystkich wielkich momentów swojego obecnego stanu. I choć w tym pięknym obrazku brakowało ojca dziecka, który wspierałby Zośkę i troszczył się o nią na każdym kroku, to czas, który mijał od ich rozstania, zaczynał zacierać wrażenie, że coś w jej życiu jest nie tak, jak powinno. Była silną kobietą i jeśli ktoś miał sobie poradzić z rodzicielstwem w pojedynkę, to właśnie ona.

– Jest doskonałe – zapewniłem z pełnym przekonaniem.

Oddałem Zośce wydruk z USG. Zanim zniknął w kieszonce na jej piersi, udało mi się raz jeszcze rzucić na niego okiem.

– Kupiłam już ramkę, muszę je powiesić na ścianie w pokoiku Tosi.

– Jeśli chcesz, to mogę to zrobić. Nawet teraz. Wezmę tylko wiertarkę z mieszkania, haczyki i zaraz to ogarniemy –

zapropnowałem spontanicznie, a Zośka wyprostowała się jak struna i popatrzyła na mnie z nadzieją.

– Mógłbyś?

– No jasne!

– To ja już pójde wszystko przygotować, a ty po prostu przyjdź z wiertarką do mnie. Dobrze?

– Pewnie. Widzimy się za kilka minut.

I rzeczywiście już niespełna kwadrans później wierciłem dziurę w świeżo pomalowanej ścianie dziecięcego pokoju. Remont wykonany przez młodego fachowca poleconego Zośce przez koleżankę z pracy został wykonany niezwykle starannie. Póki co w pomieszczeniu stało tylko łóżko oraz komoda, a wolne miejsce czekało, by postawić łóżeczko, wózek i inne niezbędne dla dziecka przedmioty.

– Gotowe – ogłosiłem i wykonałem kilka kroków w tył, by sprawdzić, czy ramka ze zdjęciem wisi prosto.

– Jest idealnie – odparła z wdzięcznością Zośka. – Dziękuję za pomoc. – Spojrzała na mnie w jakiś trudny do opisanego sposób. Było w jej oczach mnóstwo emocji, i to takich, których nie potrafiłem nazwać, choć i mnie się udzieliły.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – obiecałem, czując na ustach smak tych słów, które wypowiedziałem już przed laty, a teraz padły ponownie.

– Coś mi się przypomina – powiedziała z lekkim uśmiechem, lekko przekrzywiając głowę na bok.

– Chyba myślimy o tym samym.

Słowo daję, jakbyśmy porozumiewali się telepatycznie.

Nagle uśmiech na ustach Zośki zgasł, a jego miejsce zastąpił grymas wyrażający ból. Wstała, pochyliła się lekko do przodu i złapała za brzuch.

Ściął mnie strach. Podszedłem do niej i przytrzymałem ją, by nie upadła.

– Co się dzieje? Wszystko w porządku? – zapytałem zdenerwowany.

Serce w jednej chwili zaczęło mi walić jak młot, bo ewidentnie wydarzyło się coś złego, a ja nie miałem pojęcia, co zrobić, by pomóc.

– Muszę się położyć – wyszeptała przerażona.

– Powoli i spokojnie, pomogę ci.

Poprowadziłem Zośkę do sypialni, cały czas trzymając ją blisko swojego ciała, by nie wydarzyło się nic gorszego.

Asekurowałem ją, gdy zajmowała miejsce na łóżku. Przyjęła pozycję boczną i popatrzyła na mnie wystraszoną wzrokiem.

– Co mogę zrobić? – zapytałem niepewnie.

– W kuchni na szafce stoi wiklinowy koszyk. Mam tam witaminy ciążowe i magnez. Jeśli mógłbyś, to wyciśnij mi, proszę, dwie tabletki magnezu. To skurcz. Powinno zaraz przejść – powiedziała spokojnie, ale napięcie wcale ze mnie nie opadło.

– W porządku. Czy to normalne na tym etapie ciąży? Zdarzało się już wcześniej?

– Jak do tej pory raz. Lekarz powiedział, że mogą się już pojawić skurcze przepowiadające. I nie trzeba się niepokoić, jeśli ustąpią po kilku lub kilkunastu minutach.

Zapisałem te informacje w pamięci i przytaknąłem. Poszedłem po tabletki, nalałem Zośce szklankę wody i wróciłem do sypialni.

Popatrzyła na mnie z wdzięcznością, powoli usiadła i połknęła magnez.

– Dziękuję ci – powiedziała i ponownie ułożyła się na boku.

Poruszała się bardzo powoli i ostrożnie.

– Nadal masz skurcze? – zapytałem ze ściśniętym gardłem.

– Jeszcze się pojawiają, ale już słabsze.

Całe szczęście. Wpatrywałem się w Zośkę z z troskaniem. W jednej chwili dotarło do mnie, że jeśli zaczęłoby się dzieć coś złego, to rzuciłbym wszystko i zawiózł ją do szpitala. Nie wiedzieć kiedy zaczęło mi zależeć... Na bezpieczeństwie Zośki i maleńkiej Tosi.

Na tym, by wszystko było z nimi dobrze. Gdzieś pomiędzy jedną rozmową o dziecku a drugą zaangażowałem się w przeżywanie tego, co działo się aktualnie w życiu mojej dawnej przyjaciółki. Nic już nie

mogłem na to poradzić. A tak Bogiem a prawdą, to nawet nie chciałem.

– Zostanę tu z tobą, dopóki nie ustąpią na dobre – zdecydowałem i usiadłem na łóżku przy jej podkulonych nogach.

– Nie musisz, Kuba... – Oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie zaproponowała.

– Ale chcę – odpowiedziałem stanowczo i posłałem jej spojrzenie, które wyrażało wszystko, co musiała w tej chwili wiedzieć.

Nie rozmawialiśmy. Po prostu przy niej czuwałem. Widziałem, gdy zamknęła oczy i zaczęła regulować przyspieszony oddech. Jej delikatna twarz z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej spokojna. Uchodził z niej strach, dłonią cały czas gładziła brzuch, jakby w ten sposób pragnęła uspokoić swoje dziecko. W pewnej chwili ruch ręki ustał, Zośka najzwyczajniej w świecie zasnęła.

Patrzyłem na jej śpiącą postać. Po raz nie wiem już który przypominałem sobie, jak to było kiedyś, a przede wszystkim podziwiałem to, jaka jest teraz.

Dzielna, odważna i piękna.

Moje myśli, po raz pierwszy tak śmiało, nawet mnie nie przeraziły.

Godziłem się z nimi, przyjmowałem je. I przez cały czas nie spuszczałem wzroku z Zośki.

Okryłem jej nagie stopy kawałkiem plecionego jasnoszarego koca, by nie zmarzła podczas snu. A później zrobiłem coś, czego może nie powinienem, choć wmawiałem sobie, że to tylko z troski i ulgi, że skurcze nie okazały się poważne. Pochyliłem się nad nią i delikatnie pocałowałem jej skroń. Na krótką chwilę, gdy byłem tak blisko niej, poczułem kwiatowy zapach wpleciony w jasne kosmyki włosów i ciepło delikatnej skóry.

Serce wybijało mi w piersi bardzo szybki rytm. Byłem właśnie pod wpływem silnych i zróżnicowanych emocji. Część z nich potrafiłem nazwać, jednak zdecydowana większość stanowiła zagadkę. Chociaż może, gdybym odważył się nad nimi zastanowić, to wtedy...

Rozległo się pukanie do drzwi mieszkania.

Spojrzałem na nią raz jeszcze, lecz się nie obudziła. Wyszedłem na korytarz z przekonaniem, że to pewnie Radek, ale gdy zerknąłem przez przeziernik, okazało się, że na progu stoi koleżanka Zośki, bodajże Weronika. Towarzyszyła jej wtedy, gdy przyszedłem z truskawkami. Od zawsze miałem świetną pamięć do twarzy, co w sumie często przydawało mi się w pracy, tak swoją drogą.

Przekręciłem zamek i otworzyłem drzwi. Kobieta wytrzeszczyła oczy na mój widok, a jej usta lekko się rozchyliły w wyrazie zaskoczenia.

– Yyy... cześć? – wydukała skonfundowana. – Jest Zośka?

Jednego mogłem być pewien: w życiu nie spodziewała się zobaczyć w progu nikogo innego niż swojej koleżanki.

– Cześć. Zasnęła kilka minut temu. Miała atak skurczy, wzięła magnez i odleciała – poinformowałem, otwierając szerzej drzwi. –

Wejdz.

Może zachowywałem się zbyt swobodnie w nie swoim mieszkaniu, ale starałem się myśleć jak Zośka, a ona z pewnością by chciała, żeby jej dobra koleżanka została zaproszona do środka.

Wera przekroczyła próg i razem przeszliśmy do salonu. Wtedy jej spojrzenie stało się bardziej przeszywające. A gdy założyła ręce na piersi, wiedziałem już, że mgła szoku opadła i kobieta przymierza się do ataku.

– Ty jesteś Kuba – nie zapytała, lecz stwierdziła.

– A ty Weronika – oznajmiłem, choć nie tak pewnie jak ona, bo autentycznie nie dałbym sobie ręki uciąć, że dobrze zapamiętałem jej imię, które padło podczas którejś z rozmów z Zośką.

– Wolę, żeby mówić do mnie Wera, także się nie krępuj – odparła i posłała mi lekki, krzywy uśmiech. – Jesteś zaręczony, prawda?

To pytanie zostało zadane aż nazbyt lekkim tonem, jakby moja rozmówczyni w całej tej sytuacji dostrzegła coś niestosownego i nie tyle pytała, ile przypominała mi o istnieniu mojej narzeczonej.

– Tak. Zośka ci wspominała?

Postanowiłem zachować pełen spokój, bo przecież nie robiłem nic złego. Przynajmniej tak myślała moja głowa. Serce natomiast skutecznie póki co uciszałem. Zależało mi na tej śpiącej spokojnie w pomieszczeniu obok dziewczynie. W sumie chyba tak naprawdę nigdy nie wyzbyłem się sentymentu z młodości lat. Ona i Sebastian byli dla mnie kiedyś jak rodzina. Z bratem nigdy nie stworzyłem silnej więzi, siostra uchodziła w moich oczach za gówniarę, z którą nie mogłem pogadać, więc obecność bliźniaków ratowała sytuację. A w okresie dojrzewania wsparcie innych osób to coś najważniejszego na świecie. Sam się o tym przekonałem.

– Wspominała – odparła Wera i lekko zacmokała ustami. – No i będzie ślub!

Znów zabrzmiała, jakby mi przypominała, a przecież wcale o tym nie zapomniałem.

– Owszem. – Tym razem pokusiłem się o bardziej zdawkową odpowiedź – A ty jesteś koleżanką z pracy Zośki, zgadza się?

Kiedyś mógłbym z całym przekonaniem stwierdzić, że jestem najgorszym człowiekiem do prowadzenia small talku. Nie potrafiłem tego robić, zaciąłem się, milkłem i idiotycznie przytakiwałem.

Jednak kilka lat pracy w zawodzie fotografa nauczyło mnie tej niezbyt łatwej sztuki i z czasem najzwyczajniej w świecie takie rozmówki o niczym weszły mi w krew.

– Pracujemy razem w przedszkolu. Prowadzimy jedną grupę z Zośką. Dzieci za nią tęsknią i przygotowały dzisiaj laurki, chciałem je przekazać, ale skoro ona śpi... – Wzruszyła ramionami, rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi sypialni i ponownie wpatrzyła się we mnie. – Te skurcze to było coś poważnego? – Niepokój odmalował się na twarzy Wery.

– Wyglądało poważnie, ale na szczęście ustało. Zośka mówiła, że to jakieś skurcze przepowiadające i lekarz uprzedzał, że mogą się już pojawiać.

– To z jednej strony już połowa ciąży, a z drugiej dopiero. Mówiła ci, kiedy ma termin? Próbowałem sobie przypomnieć, ale wyglądało na to, że nie podała przewidywanej daty. Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Początek grudnia.

To podobnie jak termin ślubu mojego i Marty – pomyślałem.

– No nic, wpadnę innym razem z tymi laurkami – powiedziała Wera po chwili milczenia. – Miło było cię poznać – dodała i raz jeszcze prześwieciła mnie bacnym spojrzeniem.

– Ciebie również – odpowiedziałem grzecznie, choć wiedziałem, że cokolwiek bym teraz powiedział, to ona prawdopodobnie wyrobiła już sobie o mnie zdanie i raczej nie było ono najlepsze. Tak wnioskowałem po jej wyrazie twarzy.

Widziała we mnie grającego na dwa fronty palanta? Nie byłem taki.

Albo raczej nie chciałem być. Bo w ostatnim czasie coś zaczynało wymykać się spod kontroli...

Zamknąłem drzwi za Werą i usiadłem na kanapie w salonie.

Spędziłem dobrych kilka minut, zastanawiając się, czy wyjść, czy może czekać, aż Zośka się obudzi. Moje rozważania zaczęły niepostrzeżenie mknąć w niezbyt dobrym kierunku.

Jej zaspanych oczu...

Leniwego uśmiechu...

Delikatnych rumieńców po przebudzeniu...

Jakieś słodko-gorzkie uczucie mierzilo mnie w okolicach klatki piersiowej.

Nie potrafiłem się go pozbyć ani nijak sobie z nim poradzić.

Zerwałem się z kanapy, wściekły. Na samego siebie. Wyciągnąłem telefon i spojrzałem na zdjęcie, które miałem na wyświetlaczu. Ja i Martyna. Całowała mnie w policzek. Zrobiliśmy tę fotkę podczas wyjazdu majówkowego. Spędziliśmy wtedy cudowny czas. Choć między nami ostatnio nie było zbyt kolorowo, to przecież ją kochałem.

Życie we dwoje to nie tylko kwiatki i czekoladki. To kryzysy i ciche dni, prawda?

Zośka była mi bliska. Jak siostra czy dawna przyjaciółka. Nic więcej. To nie mogło być nic więcej. Powtarzałem to sobie z uporem maniaka. Całkiem dobrze mi szło, z minuty na minutę coraz lepiej.

Jednak potem zajrzałem do sypialni, żeby sprawdzić, czy nadal śpi i...

Oddychała miarowo i spokojnie, taka zrelaksowana, oderwana od otaczających ją problemów. To wystarczyło, żeby moja mantra rozplynęła się w powietrzu, jakby nigdy jej nie było. Serce znów zaczęło mi bić szybciej. Niepokojąco szybko.

Wziąłem głęboki oddech i przymknąłem drzwi. Spojrzałem na siedzącą na parapecie Prymulkę, która obserwowała mnie uważnie swoim zdrowym, widzącym okiem. Sprawiała wrażenie, jakby dostrzegała więcej, niżbym chciał.

Postanowiłem jak najszybciej wyjść z mieszkania Zośki.

Napisałem jej SMS-a z informacją, że coś pilnego mi wypadło, i żeby po przebudzeniu przekręciła zamek w drzwiach, bo nie są zamknięte na klucz.

Ja nie mogłem tam dłużej zostać.

20. Zośka

Wzruszenie odebrało mi mowę, gdy zobaczyłam te wszystkie piękne laurki od dzieci z mojej grupy przedszkolnej. Przyniosła mi je Wera –

i od razu została na popołudniową lemoniadę. Siedziałyśmy na balkonie, bo wieczory kończącego się powoli sierpnia wręcz prosiły się o to, żeby korzystać z ich przyjemnej, jeszcze letniej aury.

Przeglądałam te wszystkie karteczki, nieidealne, a jednak przepiękne serduszka i słoneczka, i czułam, jak bardzo tęsknię za tymi słodkimi psotnikami...

– Podobają ci się, co? – zagadnęła Wera znad szklanki z chłodną lemoniadą, w której pływały kostki lodu.

– Są idealne. Wyściskaj ich wszystkich ode mnie – poprosiłam i ułożyłam wszystkie laurki w idealnym stosiku. Zamierzałam schować je do mojego prywatnego pudełka na wspomnienia.

Bo miałam taką piękną, drewnianą skrzyneczkę przyozdobioną metodą decoupage, którą zawsze chowałam w najgłębszych zakamarkach szafy i wyciągałam tylko wtedy, gdy pojawiał się kolejne wyjątkowe wspomnienie do ukrycia. Trzymałam tam na przykład plecioną z rzemyków, kolorową bransoletkę, którą kiedyś dostałam od Sebastiana. I pierwszego, bardzo wczesnego kasztana, którym rzucił mnie Kuba jakieś wieki temu. Była też apaszka uszyta dla mnie przez babcię, broszka mojej mamy i nieważny od lat paszport taty. Znalazło się tam nawet czarno-białe zdjęcie dziadka w mundurze wojskowym – zmarł, zanim się urodziłam, ale ta fotografia miała dla mnie ogromne znaczenie.

Wiedziałam, że wieczorem do skrzyneczki włożę te wszystkie piękne laurki. A następnym razem, gdy ją otworzę, dołączę do wszystkich bezcennych rzeczy szpitalną opaskę zdjętą z maleńkiej rączki mojej córeczki po powrocie do domu.

– Od razu to zrobiłam, ale dostanę w takim razie drugą porcję przytulasów – odpowiedziała Wera i uśmiechnęła się szeroko. Po chwili jej oczy zwęziły się w szparki. Odchrząknęła.

– W ogóle wiesz, że ja już raz przyszedłam do ciebie z tymi laurkami?

– Co? Kiedy?

– Wczoraj. Spałaś, a w mieszkaniu był Kuba i to on mi otworzył – oświadczyła pozornie spokojnym tonem.

Zbyt dobrze ją jednak znałam, by uwierzyć, że porusza ten temat ot tak, bez przyczyny.

– Nie było go już, gdy się obudziłam. Napisał mi tylko wiadomość, że coś mu wypadło i żebym zakluczyła drzwi. Nie rozmawialiśmy, więc nie miał kiedy mi powiedzieć, że byłaś – wyjaśniłam.

Wera potarła podbródek, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

– Czy nie masz wrażenia, że on trochę za bardzo się o ciebie troszczy?

Wpatrzyłam się w nią zaskoczona. To pytanie wydało mi się co najmniej dziwne.

– Jest po prostu dobrym człowiekiem. Zawsze taki był.

– Nie rozumiesz, co mam na myśli. – Pokręciła głową. – Nie odczuwasz w jego gestach i zamiarach czegoś więcej?

Przełknęłam ślinę. Serce zaczęło bić mi szybciej. Słowo „więcej”

w ostatnim czasie kilka razy przeszło mi przez głowę, gdy myślałam o Kubie, ale nie zamierzałam nikomu się do tego przyznawać.

Z ledwością dopuściłam tę świadomość do siebie.

– Nie. I naprawdę nie wiem, co insynuujesz – zirytowałam się. Ta irytacja podszyta była niepokojem. Nie tylko o to, co ewentualnie mogłoby kierować Kubą, ale także o to, jaki wpływ to miałyby na mnie.

– Doskonale wiesz.

W jej głosie słyszałam absolutną pewność.

– Wera, ty tak na poważnie? On w grudniu bierze ślub!

– No właśnie! Ma wziąć ślub, a jest przy tobie i Tosi. Nie jest to wyłącznie przyjacielskie. Wiem, co widziałam.

– Co widziałaś? – zachnęłam się.

– W jego spojrzeniu? No nie wiem. Uczucia, które bynajmniej nie są platoniczne ani przyjacielskie.

– Wydawało ci się, Wera. Serio. Nas nigdy nic w tym stylu nie łączyło – odpowiedziałam, choć gdzieś z tyłu głowy zaczynała świtać maleńka wątpliwość. Zdusiłam ją szybko.

– Kiedyś? Możliwe, że was nie łączyło nic więcej. Teraz ewidentnie jest inaczej. – Nie dawała za wygraną.

– Dlaczego ty mi to wmawiasz? – zdenerwowałam się.

– A dlaczego ty tak zawzięcie zaprzeczasz i nawet nie chcesz przeanalizować tego, co mówię? Jestem osobą trzecią, która obserwuje was z boku i wyciąga wnioski. Może wy macie oboje klapki na oczach albo celowo nie dopuszczacie do siebie ewentualności, że...

– Stop! – zagrzałam.

Nie chciałam, żeby wypowiedziała swoje przypuszczenia na głos.

Prawdopodobnie wtedy mogłyby się stać zbyt prawdziwe, bym była w stanie dalej udawać przed samą sobą. Kuba miał narzeczoną.

Zaplanowany ślub. Tylko to miało znaczenie.

– Zośka, do cholery! – Wera nachyliła się przez wiklinowy stół, który razem z krzesłami do kompletu zdołał mój osiatkowany dla bezpieczeństwa Prymulki balkon, i złapała moją dłoń. – Wszystko dzieje się po coś i nic nie dzieje się bez przyczyny, sama tak mówisz.

Może spotkaliście się po latach, właśnie wtedy, gdy Radek pokazał, jakim jest skończonym chujem, bo tak miało być. Bo może los nie powiedział przed laty ostatniego słowa i pozostały jakieś niedokończone sprawy. Kuba ponownie pojawił się w twoim życiu, gdy byłaś w koszmarnym stanie. Emocjonalnym i fizycznym. Nie widzisz tutaj znaków?

Strzelała we mnie kolejnymi zdaniami jak z karabinu. Nie miała skrupułów dla mojego coraz bardziej pobudzonego serca. Słuchałam jej, choć miałam przemożną ochotę zatkać uszy, by nic do mnie nie docierało. Ale przecież nie byłam dzieckiem, żeby tak postępować.

– Nie wierzę w znaki – odparłam sucho. – Poza tym... gdyby rzeczywiście było tak, jak mówisz, to Kuba nie miałby zaplanowanego ślubu i narzeczonej, która olśniewa swoim pięknem!

Oto fakty. Bez koloryzowania i dorabiania zbędnych teorii. Kuba nie był mężczyzną dla mnie. Tworzył związek z kimś innym, a my się tylko na nowo zaczęliśmy kumplować i czasami mi pomagał.

– Może nie jest z nią tak dopasowany i szczęśliwy, jak ci się wydaje.

Wzięłam głęboki oddech i nic nie odpowiedziałam. Gdyby nie tamta rozmowa z Sabiną, może i kolejny raz bym zaprzeczyła, ale po tym, co mi powiedziała, czułam, że w tym „może” Wery jest sporo prawdy.

– Myślę, że ty też coś czujesz – stwierdziła przyciszonym głosem. –

Nie odpowiadaj. Nie zaprzeczaj.

Nie odpowiedziałam. Nie zaprzeczyłam.

Zamiast tego kolejny raz obiecałam sobie, że nie będę powodem, dla którego między Martyną a Kubą miałyby się coś zepsuć.

Zresztą z nią i tak nie miałabym żadnych szans.

*

Powaliła mnie na łopatki – przyszła do mojego mieszkania razem z Kubą i przyniosła dużą, różową torbę ze słoniem w stroju baletnicy, oznajmiając mi, że to prezent dla Tosi.

– Nie musiałaś – wydukałam zakłopotana.

– Och, weszłam do sklepu z artykułami dziecięcymi zupełnie spontanicznie, ale gdy zobaczyłam te wszystkie cudёнka, to wprost nie mogłam się powstrzymać! – Martyna uraczyła mnie swoim olśniewającym uśmiechem.

Stojącemu obok niej Kubie było dziwnie daleko do radości narzeczonej.

– Otwórz – poprosiła. – Jestem ciekawa, czy ci się spodoba!

Jak mogłoby mi się nie spodobać? W torbie znajdowały się ubranka i specjalne zabawki kontrastowe dla maluszków, a wszystko było tak piękne, że wprost odebrało mi mowę. Musiała wydać fortunę na te rzeczy. To nie był skromny upominek...

Cztery przepiękne komplety śpioszków z kaftanikami w pastelowych kolorach.

Brzoskwiniowy sweterek na guziki.

Pakiet mikroskopijnych, przesłodkich skarpetek.

Dwie książeczki.

Spirala kontrastowa do zawieszenia w wózku.

Czapka zimowa w kolorze różowym, z kocimi uszami.

Na samym dnie torby znajdował się jeszcze szary pleciony kocyk, który miałam na swojej liście zakupowej, odkąd pierwszy raz trafiłam na taki w internecie. Kosztował sporo, ale musiałam go kupić. To znaczy... teraz już nie musiałam, bo Martyna podarowała go mojej córce w prezencie.

– To za dużo – odpowiedziałam przez ściśnięte gardło i popatrzyłam na nią z przejęciem. – Wszystko jest piękne, ale...

– Nie ma żadnego ale! Niech wam służą te wszystkie rzeczy jak najlepiej.

Miała naprawdę ogromne serce i coś takiego w sobie, co sprawiało, że nie dawało się jej nie lubić. Nawet Sabina, która znała problemy w związku Kubę i tej dziewczyny, mówiła, że lubi Martynę.

Zerknęłam ukradkiem na Kubę, który cały czas milczał, i choć liczyłam, że pochwycę jego spojrzenie, on wyglądał, jakby robił

wszystko, żeby tego uniknąć. Zabolalo. Prawdo podobnie bardziej, niż powinno.

Podeszłam do narzeczonej mojego kolegi i przytuliłam ją w wyrazie wdzięczności za ten kosztowny podarunek. Wręcz promieniała radością, i to tylko dlatego, że mogła obdarować mnie i moje dziecko...

Dalsza rozmowa toczyła się w zasadzie pomiędzy nami dwiema.

Kuba w obecności swojej narzeczonej wydawał mi się dziwnie spięty, jakby nie potrafił wrzucić na luz i być sobą. Może chodziło o to, że ja im towarzyszyłam... Było mi źle z myślą, że zachowuje się tak nietypowo, jakby zły, że Martyna i ja rozmawiamy ze sobą zupełnie swobodnie.

Znów powrócił niezbyt dla mnie komfortowy temat organizacji baby shower. Tego typu wydarzenia nie były w moim stylu, natomiast Martyna czuła się jak ryba w wodzie, snując wizję, jak taka impreza mogłaby wyglądać. Nie okazywałam entuzjazmu, mając nadzieję, że to zauważy.

– Przepraszam was na moment, skoczę do łazienki – powiedziała w końcu i zniknęła na chwilę, a w salonie zapadła niezręczna cisza.

Popatrzyłam na Kubę pytającym wzrokiem, jakbym chciała go rozliczyć z zachowania przy jego narzeczonej. Chociaż przecież nie miałam do tego żadnego prawa.

– Widziałem, że przyjechały meble do pokoju Tosi – odezwał się pierwszy i wskazał ruchem głowy w kierunku uchylonych drzwi drugiego pomieszczenia. To tam kurier zostawił mi kartony z mebelkami czekającymi na złożenie.

– Tak, dzisiaj dotarły – odpowiedziałam ze stoickim spokojem.

– Kto ci je złoży?

– Może poproszę męża Wery, on podobno całkiem nieźle sobie z takimi rzeczami radzi.

– Ja mogę to zrobić – zaoferował od razu Kuba, a w jego tonie zabrzmiała jakaś niezłomność, która prawdo podobnie miała sprawić, że nie zaoponuję.

Wzięłam głęboki oddech. Gdybym się na to zgodziła, spędziłby w moim mieszkaniu kilka godzin, mogłabym patrzeć, jak pracuje, rozmawiać z nim, cieszyć się jego obecnością, która sprawiała mi mnóstwo radości. Czy jednak byłoby to stosowne? W relacji przyjacielskiej – jasne, czemu nie. Przecież powtarzałam sobie z uporem maniaka, że właśnie coś takiego nas łączy. Nic ponad przyjaźń. Ale później napotykałam to intensywne spojrzenie i grunt pod moimi nogami nie był już tak solidny.

Martyna, Martyna, Martyna. Pamiętaj o niej.

– Dam sobie radę – odpowiedziałam zdawkowo i rzuciłam szybkie spojrzenie w stronę łazienki.

Dlaczego nie chciałam, żeby narzeczone Kuby usłyszała naszą rozmowę?

– Jak? Sama chcesz to złożyć? Przecież nie masz jeszcze nikogo, kto to ogarnie, a ja ci właśnie mówię, że mogę to zrobić. Będziesz miała problem z głową. – Wyglądał, jakby naprawdę nie rozumiał, dlaczego próbuję się wymigać od przyjęcia jego pomocy.

On ciągle mi pomagał. Ciągle coś dla mnie robił.

Rozmowa z Werą, jej wszystkie insynuacje i przypuszczenia... Cały czas miałam to w głowie. Fragmenty tego, co mówiła, rozbrzmiewały mi w głowie wielokrotnie każdego dnia, atakowały bez ostrzeżenia...

– To żaden problem... – mruknęłam pod nosem i wzruszyłam ramionami.

Zmarszczył brwi. Wyglądał na zdenerwowanego. Wtedy drzwi łazienki się otworzyły. Koniec rozmowy. Na szczęście.

– Jutro przyjdę i się tym zajmę. Koniec i kropka – powiedział przyciszonym głosem i posłał mi spojrzenie, po którym wbrew sobie musiałam się poddać.

Hormony ciąży wpływały na mnie w przedziwny sposób. Miałam mętlik w głowie, a wyrzuty sumienia splatały się ciasno z pragnieniami i pokusami oraz usprawiedliwianiem samej siebie, swoich myśli i poczynań. Irytowało mnie to.

Życie doświadczyło mnie w niezwykle brutalny sposób – straciłam wszystkie najbliższe osoby. Tylko twarde stąpanie po ziemi i racjonalne myślenie pozwoliło mi się nie zatracić w poczuciu beznadziei i braku chęci do dalszej egzystencji. Lubiłam w sobie tę stanowczość, ten rozsądek. Bujanie w obłokach, nadmierne analizowanie i zastanawianie się na ogół nie leżało w mojej naturze.

Kuba sprawiał, że przestałam poznawać samą siebie. A może to cięża i hormony?

Kilka miesięcy temu zakończyłam związek, który po śmierci Sebastiana stanowił dla mnie fundament wszystkiego, co najistotniejsze. Okazał się kolosem na glinianych nogach. Upadek był nagły i cholernie bolesny. Zawód miał gorzki smak, złamane serce krwawiło niezwykle długo. Małymi kroczkami uporałam się z tym, co mnie spotkało. Czy naprawdę teraz, będąc blisko porodu, potrzebne mi były jakieś mrzonki na temat przyjaciela z dzieciństwa, który za kilka miesięcy miał wziąć ślub ze wspańską kobietą?

– Hej, kochana. Odpłynęłaś. – Martyna pomachała mi dłonią przed oczami, a ja ocknęłam się zakłopotana.

Gdyby tylko wiedziała, o czym myślałam...

– Przepraszam, ostatnio często mam takie momenty zawieszenia – odparłam i założyłam maskę utkaną z uśmiechu. – Mogłabyś powtórzyć, o czym mówiłaś?

– Zapytałam, czy chciałabyś wybrać się ze mną i moimi przyjaciółkami do salonu sukien ślubnych na ostatnie przymiarki mojej kreacji.

Zamarłam. Tylko cudem najprawdziwszym nie rozdziawiłam ust.

Czułam na sobie intensywne spojrzenie Kuby, ale sama nie potrafiłam popatrzeć na niego.

Pójdziecie do salonu sukien ślubnych? Nie. To nie byłoby właściwe.

– Nie obraż się, ale odmówię, ponieważ mam teraz sporo na głowie i... wiesz, jak to jest.

Czułam, że Martyna chce się ze mną zaprzyjaźnić, ale nagle wydało mi się to po prostu niestosowne. Jej serdeczność zrobiła się nieco przytłaczająca. Byłam gotowa wzbraniać się przed nią, jak to tylko możliwe.

Nawet nie zdawała sobie sprawy...

Jednak ktoś oprócz mnie wiedział, jakie myśli krążą mi po głowie.

Kuba. Jego wzrok wyrażał wszystko. A naszego milczącego porozumienia nie dało się porównać z niczym innym.

*

Nie umówiliśmy się na konkretną godzinę, więc gdy minęła czternasta, a on jeszcze nie przyszedł, pomyślałam, że po prostu odpuścił, w końcu widział, jak zareagowałam na jego propozycję.

Postanowiłam poprosić później Werę, by z kolei ona poprosiła swojego męża – aby to on pomógł mi ze złożeniem mebli, w dogodnym dla siebie terminie i oczywiście za opłatą.

Popołudnie spędziłam przy maszynie do szycia, a pod wieczór zabrałam Prymulkę na ogólną kontrolę stanu zdrowia – raz w miesiącu oglądał ją weterynarz, co było nie tylko jednym z podpunktów zawartej z fundacją umowy, ale i moją prywatną potrzebą, wynikającą z czystej troski. Bardzo się martwiłam o moją kotkę, zwłaszcza że tak wiele przeszła. Po powrocie ugotowałam sobie zupę z przepysznych pomidorów malinowych zakupionych w pobliskim warzywniaku. Tak miło było znów mieć na cokolwiek apetyt! Wspomnienia z początków ciąży wciąż przyprawiały mnie o dreszcze... Kończyłam właśnie dokładkę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Pospiesznie otarłam usta z resztek zupy i poszłam otworzyć.

Na progu stał Kuba. Miał na sobie czarną koszulkę z krótkim rękawem i dresowe, wygodne szorty w takim samym kolorze. W ręce trzymał kuferek z narzędziami.

– Hej – powiedział z leniwym, krzywym uśmiechem. – Wybacz, że jestem tak późno, ale klientka na sesji ciążywej miała koszmarne wydumane wymagania i trochę nam zeszło. Nie kładziesz się jeszcze spać, prawda?

– Nie, dopiero skończyłam kolację. Ale myślałam, że już nie przyjdiesz – odparłam, wpuszczając go do mieszkania.

Kolejny już raz w ostatnim czasie byliśmy w niewielkiej przestrzeni mojego mieszkania zupełnie sami, jeśli nie liczyć ukrytej za zasłoną Prymulki, która odreagowywała wizytę w lecznicy. To zawsze był dla niej stres.

– Powiedziałem, że się tym zajmę – przypomniał i zerknął na mnie bacznie. – Wolisz, żebym składał te meble tutaj czy u Tosi?

– Może lepiej tam, bo później bez sensu trzeba by przenosić wszystko z jednego pomieszczenia do drugiego.

– W porządku – odparł i wszedł do mniejszego pokoju.

Nie był zbyt rozmowny, ale i ja czułam w sobie jakieś dziwne napięcie. Powietrze jakby strzelało od iskier. Na linii naszych spojrzeń zachodziła nietypowa reakcja.

On też to czuł czy wszystko odbywało się wyłącznie w mojej głowie?

Od razu wziął się do pracy, usłyszałam, jak rozpakowuje pierwszy karton, i chwilę później zaczęły dzwonić narzędzia. Prymulka powolnym krokiem przemaszerowała do łazienki, szukając spokoju w innym miejscu. Znałam moją kotkę i wiedziałam, że ułoży się w koszu na pranie – swoją drogą nigdy go nie zamykałam właśnie ze

względu na nią. Traktowała tamto miejsce i moje ubrania jako swoją bezpieczną przystań.

Kuba nie robił dużego hałasu, ale wydobywające się z pokoju Tosi dźwięki potęgowały moją świadomość, że jesteśmy w mieszkaniu sam na sam. Żeby nie zwariować, zająć czymś głowę i ręce, wzięłam się do wykrawania kaftaników dla mojej córki. To zajęcie wymagało pełnego skupienia i uwagi, czyli idealnie pasowało na tę chwilę.

Za oknem kończył się kolejny dzień. A te były coraz krótsze, zbliżał się koniec wakacji. Dla mnie nadejście września zawsze oznaczało, że już jesień. Niewiele dzieliło uczniów od powrotu do szkół.

Pamiętałam te czasy i utyskiwania, że najlepszy czas w roku tak szybko mija. Przyzwyczajenie się znowu do wstawania rano i maszerowanie na lekcje nie przychodziło mi lekko. Minęło już kilka lat, odkąd skończyłam edukację, łącznie ze studiami, i jeszcze nie zatęskniłam za szkołą, choć zawsze byłam jedną z lepszych uczennic w klasie i na roku, a sama nauka nigdy nie sprawiała mi problemów.

Udało mi się zatracić w szyciu. Na szczęście. Robiłam swoje i nie zastanawiałam się obsesyjnie nad tym, jak idzie Kubie i czy powinnam tam zajrzeć i jakoś go zagadnąć.

Drgnęłam raptownie, gdy nagle pojawił się w salonie.

– Gotowe. Komoda z przewijakiem złożona, szafka nocna i regał też – poinformował i uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem, jak ci się zrewanżuję – przyznałam. Po rozmowie z Werą bardzo się wzbraniałam przed jego pomocą, ale teraz byłam mu tak ogromnie wdzięczna.

– Wiesz, że nie musisz. To zwykła przysługa. Po prostu – odparł i wzruszył ramionami. Postawił skrzynkę z narzędziami przy drzwiach i podszedł bliżej.

Spojrzał na stosik malutkich ubranek, a jego wzrok wypełnił się ogromem czułości, która natychmiast złapała mnie za serce.

– Talent do szycia odziedziczyłaś po babci.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedziałam i przeciągnęłam się z grymasem, bo ból kręgosłupa dawał mi się już we znaki od długotrwałego siedzenia w jednej pozycji. Wstałam od maszyny i wyprostowałam plecy. – Napijesz się czegoś?

Powinnam chcieć, żeby jak najszybciej sobie poszedł, ale to nie było takie proste... Jego towarzystwo sprawiało mi przyjemność, koilo w sposób, który zdążył mnie już uzależnić.

– Nie, dzięki. Ale usiądźmy może na kanapie, bo chcę ci coś pokazać – zaproponował, więc przenieśliśmy się w wygodniejsze miejsce.

Znaleźliśmy się blisko siebie. Wystarczyłyby lekki ruch, by jego ramię dotykało mego.

Kuba wyciągnął z kieszeni telefon i wszedł w aplikację YouTube.

Przez chwilę czegoś szukał, a następnie spojrzał na mnie i uśmiechnął się w sposób, który przyprawił mnie o niespodziewany dreszcz.

– Podpytałem ostatnio sąsiadkę o tytuł tej piosenki, do której tańczyliśmy na placu zabaw. Oto ona – powiedział i włączył utwór w swoim telefonie.

Bez końca – Lanberry.

Znów ta melodia i tekst, który dotykał najczulszych zakamarków duszy. Teraz, gdy nie skupiałam się na niespodziewanym tańcu i emocjach, jakie wywoływał we mnie dotyk Kuby, mogłam dokładnie go przeanalizować. Niewątpliwie była to piękna i poruszająca ballada o miłości. O nieskończonej miłości, takiej, którą chce się przeżyć, nawet gdyby jutro nie nadeszło. Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz, a chwilę później to poczułam...

Dotyk. Delikatny, przyjemny. Ciepło męskiej skóry, które otuliło moją dłoń.

Palce samoistnie mi drgnęły, splatając się z palcami Kuby.

Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę. Nie z nim! On ma przecież narzeczoną... On...

Pod powiekami jak w kalejdoskopie zaczęły przesuwać mi się obrazy... Sprzed lat, gdy myślałam, że na Kubę nie da się patrzeć inaczej niż na brata. Sprzed kilku miesięcy, gdy przypadkiem się spotkaliśmy, a ja uciekłam przed nim, gdy zapytał o Sebastiana.

Sprzed kilku tygodni, gdy coś między nami zaczęło się zmieniać.

Sprzed kilku dni, gdy gadanina Wery narobiła mi niezłego bałaganu w głowie...

O ile przed nią mogłam zaprzeczać i udawać, to okłamywanie samej siebie już nie szło mi tak dobrze.

Powinnam puścić jego dłoń i postawić kres tej bliskości. To było tylko pozornie niewinne, w rzeczywistości wywoływało emocje gorące jak wulkaniczna lawa.

Zaczął gładzić kciukiem moją skórę. Powoli, raz za razem.

Wstrzymywałam oddech, by zaraz wciągnąć głęboko kolejny haust i poczuć zapach jego perfum. Męski, głęboki, tak bardzo pasujący do jego osoby.

Otworzyłam oczy z trwogą, gdy piosenka dobiegła końca. Bałam się na niego spojrzeć. Choć nie widziałam samej siebie, to wiedziałam, że wszystkie uczucia mam wypisane na twarzy. Te, których czuć nie powinnam...

Kuba złapał mnie za podbródek i nakierował moją twarz na siebie.

– Wszystko w porządku? – zapytał przyciszonym głosem.

Mogłam odpowiedzieć, że tak, i robić dobrą minę do złej gry.

Jednak jaki na dłuższą metę przyniosłoby to skutek? Nadal zbliżalibyśmy się do siebie tak, jak zdecydowanie nie powinniśmy.

Musiałam to ukrócić. W tej chwili.

– Nie, Kuba. Nie jest w porządku – odparłam i stanowczym gestem wysunęłam dłoń z jego uścisku. – Nie powinniśmy robić takich rzeczy. To nie jest przyjacielskie...

Mógłby zaprzeczyć, ale co by to dało? Oboje wiedzieliśmy, że mam rację. Otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Myślał intensywnie.

Zastanawiał się. Chciał coś powiedzieć, tylko pewnie szukał odpowiednich słów.

Martyna. Martyna. Martyna. Myśl o Martynie, nawet jeśli on o niej zapomina. Ta dziewczyna nie zasłużyła na to, by złamać jej serce.

– Chciałbym... – zaczął, a ja raptownie wstrzymałam oddech w nerwowym oczekiwaniu. To jedno słowo zawierało w sobie ogrom pragnień. Serce biło mi w piersi jak oszalałe. – Chciałbym się tobą zaopiekować. Tobą i Tosią. Nie umiem tego powstrzymać, Zośka.

Przed laty też się o ciebie troszczyłem, byłeś dla mnie jak siostra.

Teraz...

– Teraz jest nieco inaczej – dopowiedziałam, czując, że myślimy o tym samym.

– Jest zupełnie inaczej – poprawił mnie z zadumą w głosie. – To nie przyszło od razu. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy po latach, sytuacja była jasna i klarowna. Ja i Martyna, po prostu. Teraz już tak nie jest.

– Stop, Kuba – uniosłam lekko głos. – Jesteś zaręczony. Planujesz ślub. Proszę cię, trzymaj się tego i nie patrz... na boki.

– Na boki? – Zmarszczył brwi poirytowany. – Nie patrzę na boki.

Patrzę na ciebie. Na to, jaka jesteś teraz, jak bardzo się zmieniłaś, a jednocześnie wiele w tobie pozostało takie samo. Patrzę, jak rozkwitasz w miłości do swojego dziecka, jaka jesteś dzielna mimo wszystko. To nie jest patrzeć na boki.

Jego słowa bez trudu znalazły drogę prosto do mojej duszy.

Znalazły sobie wygodne i ciepłe miejsce w moim sercu, wypełniły głowę.

Zawsze potrafił do mnie trafić, jednak to, co zrobił teraz, a przede wszystkim jak... To przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

21. Kuba

Coś we mnie pękło. Kiedy zamknęła oczy i wsłuchała się w piosenkę Lanberry, a ja na nią patrzyłem... była najbardziej wyjątkową, niesamowitą, najpiękniejszą istotą na świecie.

Ja właśnie tak ją widziałem. W taki sposób postrzegałem.

Otulona spokojem, aurą matczynej miłości do swojej córki, lekkością chwili, wyglądała tak, że dopadło mnie przemożne pragnienie, aby uwiecznić ją na zdjęciu. Żałowałem, że w moich dłoniach nie może zmaterializować się aparat. Powstałaby fotografia idealna. I niewymagająca żadnej obróbki.

Odważyłem się – zainicjowałem bliskość między nami.

O tym, że dotyk jest bardzo specyficznym i intymnym środkiem przekazu, zdałem sobie sprawę, wbrew pozorom, nie przy własnej dziewczynie, ale podczas sesji zdjęciowych. Kilka razy robiłem portrety przedstawiające nagich kochanków – sam nie wpadłbym na to, żeby dodać taki rodzaj usług do swojej oferty, jednak klienci o to pytali i prosili – więc miałem okazję, by przez obiektyw aparatu obserwować sensualną stronę miłości.

Postrzegałem więc świat inaczej niż większość ludzi. Na Zośkę też patrzyłem w wyjątkowy sposób, którego miała prawo nie rozumieć.

W zasadzie ona wydawała się nawet lekko przerażona, wręcz przytłoczona... Wątpiłem, by jej kręgosłup moralny diametralnie zmienił się przez lata. Nigdy nie chciałaby być tą drugą. Przyczynić się do rozpadu czyjegoś związku. Brzydziłaby się tym. Tym bardziej że Martyna robiła wszystko, by się zaprzyjaźniły.

Widziałem, jak jej pierś uniosła się w głębokim oddechu. Zośka zacisnęła usta w wąską linię, na sekundę zamknęła oczy, prawdopodobnie zbierając się w sobie. Czekałem na pozór spokojnie, w rzeczywistości jednak wszystko we mnie drżało.

– Kuba... – zaczęła rzeczowym tonem. – To, co powiedziałeś... –

Urwała i pokręciła głową, jakby chciała odegnąć od siebie jakąś natrętą muchę. Jej wewnętrzna walka odmalowywała się w zmarszczonych brwiach i grymasie na twarzy.

– To, co powiedziałem, jest prawdą.

– Często coś nam się tylko wydaje, wiesz? Działamy pod wpływem chwili i silnych emocji. Przez taki rodzaj spontaniczności bardzo łatwo popełnić błąd, a w skrajnych przypadkach zniszczyć sobie życie.

Chyba wiem, co próbowałeś mi przekazać. Domyślam się, a jednocześnie nie potrafię sobie tego wyobrazić. – Spojrzała na mnie zagubiona. – Martyna to piękna kobieta. Sam wiesz, że jest wspaniała. Nawet ja zdaję sobie z tego sprawę, choć znam ją tak krótko. Możemy uznać, że tej rozmowy nigdy nie było, i zachowywać się tak, jak do tej pory. Twoje miejsce jest przy narzeczonej, moje tutaj. Nie komplikujmy.

– Zarzucasz mi, że działam pod wpływem chwilowych emocji? – zapytałem, czując, jak wzrasta we mnie oburzenie.

- Proszę cię, żebyś nie niszczył sobie życia.
- Zośka, co ty w ogóle... – Zabrakło mi słów. Ona była niemożliwa.

I niemożliwie uparta, jakby dla zasady wypierała to, co jej ofiarowywałem swoimi słowami.

– Zawsze miałaś silny instynkt opiekuńczy. Ty po prostu uwielbiasz troszczyć się o innych. Moja sytuacja pozwala ci otoczyć opieką nie tylko mnie, ale i nienarodzone dziecko, co pewnie sprawiło, że zaczęły pojawiać ci się w głowie przeróżne myśli i scenariusze. Nic z tego nie jest trwałe. To chwilowe. A ja dam sobie radę, możesz być pewien.

Rękami i nogami broniła się przede mną, przed uczuciami, których stała się obiektem, choć najwyraźniej tego nie chciała. Bolało.

A z drugiej strony rozumiałem jej punkt widzenia.

Wstałem z kanapy bez słowa. Musiałem zaczerpnąć tchu, przez chwilę nie czuć jej zapachu i ciepła ciała. Otulała mnie sobą, wkradała się ostrożnie, by z całym impetem zaatakować serce.

Potałem twarz rękami. Poczułem się zmęczony. Nie fizycznie, bardziej emocjonalnie. I przez to, jak przebiegła ta rozmowa. Piękna, pełna emocji chwila zamieniła się w walkę na argumenty.

– Chodzi o Radka? Czy tylko o Martynę? – zapytałem przyciszonym głosem i spojrzałem Zośce prosto w oczy.

– Radek nie ma z tym zbyt wiele wspólnego. Uczucia, jakie we mnie wzbudza, nie są nawet trochę związane z miłością. Chodzi o zawód, jaki mi sprawił, ale też o to, że nasza przyjaźń nie ma prawa zmienić się w cokolwiek innego, bo ty masz swoje życie, a ja swoje, i tak pozostanie. Mnie urodzi się dziecko niemal w tym samym czasie, w którym odbędzie się wasz ślub. Skupmy się na tym, co nas czeka, i nie szukajmy komplikacji – odpowiedziała, choć nie była w stanie utrzymać ze mną kontaktu wzrokowego. Opuściła głowę, patrzyła na swoje splecione na podołku dłonie i kciuki kręcące młynka.

– A gdybyśmy wrócili za jakiś czas do tej rozmowy?

Wzięła głęboki oddech i pokręciła przecząco głową.

– Potrzebuję przyjaciela. Bądź moim przyjacielem.

*

Lato dobiegło końca, dzieciaki wróciły do szkół, dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Udało mi się przekonać Martynę, byśmy odpuścili wakacje w tym intensywnym dla mnie okresie, obiecując, że zgodzę się na podróż poślubną do miejsca, które wybierze. Wtedy już nie na tydzień, a na co najmniej dziesięć dni. To się nazywa kompromis.

W pracy jesień była dla mnie spokojniejszym czasem, ale wciąż przybywało kolejnych zleceń. Dużo rodzin chciało mieć piękną pamiątkę wśród kolorowych liści, kobiety w ciąży chętnie pozowały na tle zachodzącego słońca i parkowych alejek tonących w jesiennych kolorach. Ilekroć przed moim obiektywem stawała przyszła mama, w głowie pojawiała mi się Zośka. Myślałem o niej każdego dnia i nie pomagało, że po tamtej pamiętnej rozmowie w jej mieszkaniu nasze stosunki uległy wyraźnemu ochłodzeniu, a my już nie widywaliśmy się tak często. Udawała, że wcale mnie nie unika, a jednak ja wiedziałem, że właśnie to robi. Tylko ja inicjowałem spotkania czy chociażby telefoniczny kontakt. Zawsze serwowała mi uśmiech, miłą i tylko pozornie swobodną rozmowę, po czym znajdowała wymówkę i uciekała. Wiedziałem, że muszę odpuścić.

Poznałem smak dojrzałej tęsknoty. Lata temu, gdy nasze kontakty się urwały, gdy zmarła babcia Sebastiana i Zośki, a oni przestali pojawiać się na osiedlu, uniosłem się honorem i wmawiałem sobie, że skoro oni po śmierci pani Stasi nie pomyśleli, żeby się do mnie odezwać, to ja też nie będę. Mieliśmy do siebie numery telefonów.

W dniu pogrzebu napisałem do nich wiadomość z wyrazami współczucia, która nigdy nie doczekała się odpowiedzi. Czas mijał, a moja śmiertelna – i z perspektywy czasu bardzo dziecinna – uraza zmieniała swój charakter. Poczulem tęsknotę, taką młodzieńczą i trochę żalną, za tym, co utraciliśmy poprzez wspólne zaniechanie.

Teraz tęskniłem inaczej. Przede wszystkim nie użalałem się nad sobą ani nie wypłakiwałem oczu. Myślałem o niej, analizowałem wszystko po sto pięćdziesiąt razy i szukałem rozwiązań.

A przede wszystkim rozkładałem na czynniki pierwsze mój związek z Martyną. Przyznałem w końcu sam przed sobą, że dalecy byliśmy od ideału, a z drugiej strony łączył nas czas, wspomnienia, doświadczenia i plany na przyszłość. I gdy ten związek osiągnął już poważny etap, dotarliśmy do momentu złożenia kluczowych deklaracji wobec siebie, właśnie wtedy, zupełnie niespodziewanie, niepozornie i po cichu pojawiła się Zośka. Zawsze miałem do niej słabość, niegdyś darzyłem ją uczuciem typowo platonicznym, teraz stała się kimś, kogo zaczynałem pragnąć.

Na każdej płaszczyźnie życia.

Z nikim nie rozmawiałem o tym, co się dzieje w mojej głowie, a ponad wszystko w sercu. Praca. Ciągłe siedziałem z nosem w nowych zleceniach, obróbce zdjęć, szykowaniu materiałów.

W ciągu dnia, będąc w studiu, wykazywałem się pełną produktywnością, ale w mieszkaniu ostatnio szło mi dużo gorzej – zbyt często wpatrywałem się w okna mieszkania po drugiej stronie podwórza.

– Powinieneś zrobić Zośce taką brzuszkową sesję – powiedziała któregoś razu Sabina, gdy wpadła do mnie z niezapowiedzianą wizytą, przyniosła obiad i dostrzegła zdjęcie klientki na ekranie laptopa, które obrabiałem, zanim przyszła.

– Nie wiem, czy się zgodzi – odparłem znad talerza.

Jedliśmy przepyszne pulpety w sosie pomidorowym z ziemniakami.

Moja siostra miała zachwycające zdolności kulinarne.

– No to zapytaj i się dowiesz. To dla niej wyjątkowy czas, myślę, że za kilka lat doceni taką pamiątkę – odpowiedziała ze znaczącym uśmiechem. Ja mogę z nią porozmawiać, jeśli ty się boisz.

Parsknąłem cichym śmiechem.

– A czego miałbym się bać?

– No nie wiem, ostatnio podchodzisz do niej jak pies do jeża.

Pokłóciliście się czy coś?

Oczywiście. Jeśli istniał ktoś, kto mógł dostrzec, że coś się między mną a Zośką zmieniło, to właśnie Sabina. Widywały się regularnie, z tego, co wiedziałem, i pewnie rozmawiały na te wszystkie babskie

tematy. Siostra obserwowała niezwykle czujnie także mnie i, jak się właśnie przekonałem, wyciągała swoje wnioski.

– Nie pokłóciliśmy się, bo niby o co? – Wzruszyłem ramionami i udawałem zupełnie obojętnego na te spytki.

Sabina przygryzła na moment wnętrze policzka i zmrużyła lekko oczy. Tak, znałem tę minę aż za dobrze. Nie wróżyła niczego dobrego.

– Biorąc pod uwagę fakt, że Zośka za każdym razem, gdy usłyszy twoje imię, czerwieni się i ucieka wzrokiem, jestem niemal pewna, że coś się między wami wydarzyło. I wątpię, by to było coś przyjacielskiego – wypaliła ze stoickim spokojem, choć słowa, które wypowiedziała, mocno elektryzowały.

– Co sugerujesz? – Mój puls nerwowo przyspieszył.

– Czujesz coś do niej?

No jasne, strzeliła prosto z mostu, i to tonem, który wręcz przypierał człowieka do ściany.

– Sabina... – warknąłem, próbując ją powstrzymać.

– Czujesz czy nie? Wiesz, że mi możesz powiedzieć, bo ja jedna od dawna nie widzę twojego związku z Martyną w różowych barwach i mam świadomość, jak wiele rzeczy między wami nie przebiega pomyślnie – wypaliła, całkowicie mnie w ten sposób zaskakując.

Zastygłem z widelcem w połowie drogi do ust i patrzyłem na siostrę, jakby mi właśnie powiedziała, że za moment na moich oczach wyrośnie jej druga głowa, więc mam nie być zdziwiony.

– Skąd ty to wiesz? – wydukałem.

– Bo twoja narzeczona dzwoni do mnie z każdym związkowym problemem i szuka ratunku, gdy nie może sobie z tobą poradzić – odpowiedziała ze znudzoną miną.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy moim niewielkim stole kuchennym, jedliśmy pyszny obiad, a ona jak gdyby nigdy nic postanowiła urządzić nam moment szczerości.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałas?

– Solidarność jajników i takie tam – odparła, machnąwszy ręką. –

A tak na poważnie, to po prostu myślałam, że z czasem się dotrzecie i ona zrozumie, że bywasz uparty jak osioł i nie jesteś najłatwiejszym człowiekiem w obyciu. Czas mija, ale ona nadal uważa, że powinieneś ze wszystkim ustępować, żeby było dobrze.

– Udało nam się dojść do kompromisu w kwestii urlopu – odparłem, bo nagle poczułem, że powinienem stanąć w obronie Martyny.

– No, to naprawdę sukces – zironizowała. – Nie chcesz wiedzieć, ile rozmów telefonicznych poświęciłam, żeby jej przetłumaczyć, że powinna odpuścić.

Cóż... wyglądało na to, że jak do tej pory nie miałem pojęcia o istnieniu dublerki w naszym związku, którą była moja własna siostra. Sądziłem, że wypracowujemy wszystko sami, że raz za razem pokonujemy kolejne trudności i dzięki temu umacniamy to, co nas łączyło.

Wyobrażenia jedno, a rzeczywistość drugie. Nic nie umocniłyśmy, niczego nie wypracowałyśmy. Moje myśli bardziej niż ku Martynie uciekały w kierunku Zośki. Moje uczucia odnajdywały się przy Zośce.

Wszystko było jakieś lepsze, intensywniejsze i żywsze właśnie przy niej.

– Dlatego jeśli czujesz coś do swojej „przyjaciółki” – wyrysowała palcami cudzysłów w powietrzu i posłała mi znaczące spojrzenie spod brwi – to ja w pełni to zrozumieję i nie będę cię oceniać ani prawić morałów. Ty i Zośka zawsze mieliście to coś, czego tobie i Martynie brakuje. Bez obrazy.

– Kiedyś traktowałem Zośkę wyłącznie jak siostrę – zaznaczyłem od razu, bo co do tego nie miałem wątpliwości.

To nie tak, że lata temu utknąłem w jakimś friend zone. Nie wzdychałem do niej potajemnie, nie była moją pierwszą miłością.

Takie rzeczy działy się w filmach i książkach, w naszym przypadku nigdy do niczego takiego nie doszło.

Teraz... Teraz zaś to już zupełnie inna para kaloszy.

– Wiem. Pamiętam – odpowiedziała szczerze.

– Obecnie sytuacja jest trochę bardziej skomplikowana – stwierdziła.

A i owszem.

– Próbowalesz porozmawiać z Zośką? – drążyła.

– A jak myślisz, dlaczego jest teraz między nami tak, jak jest?

Przecież sama zauważyłaś... – Odbiłem piłeczkę z nietęgą miną.

– Yhym... – mruknęła pod nosem i zastanowiła się przez chwilę. –

Chyba nie powinienesz się jej dziwić. Ona jest kobietą po przejściach, dodatkowo spodziewa się dziecka, więc chce mu przygotować najbardziej spokojny i pewny grunt do życia. Ty zaś jesteś w poważnym związku z fajną babką, planujesz ślub i takie tam...

Raczej żadna rozsądna przyszła matka nie wchodziłaby do tak niepewnej, cholernie rwącej rzeki.

Wiedziałem to wszystko. Cholera jasna, wściekałem się, ale przecież wiedziałem, że z punktu widzenia Zośki tak to właśnie wygląda. Czy naprawdę miałem prawo mieć do niej pretensje, że nie chce podążyć dalej ze mną? Przecież miałem sporo aktualnych spraw i dość jasną sytuację, w której dla niej nie było miejsca.

– Co powinienem w takim razie zrobić? – zapytałem ze złością.

Byłem wściekły na samego siebie.

Sabina roześmiała się i spojrzała na mnie z politowaniem.

– Masz ponad trzydzieści lat, braciszku. Przede wszystkim przemyśl wszystko milion razy, żebyś później nie żałował, nie płakał i nie był zdziwiony. Jeśli nadal będziesz czuł, że to Zośka, wtedy czeka cię niełatwa przeprawa z Martyną. I szczerze? Aż ci współczuję.

Tak, ja też sobie współczuję.

*

Za namową Sabiny Zośka zgodziła się na sesję ciążową i pewnego słonecznego, sobotniego popołudnia stanęła przed moim

obiektywem w jasnych, rozpuszczonych włosach i lawendowej sukience. Wyglądała jak marzenie. Tak piękna, urocza, niewinna i słodka. Jej twarz pokryta była delikatnym, bardzo naturalnym makijażem. Materiał sukienki eksponował duży, krągły brzusek.

Wiedziałem, że jest onieśmielona, więc na wstępie po prostu poprosiłem, żeby była sobą. Bez przesadnego pozowania.

– Chciałbym zobaczyć twoje szczęście wynikające z oczekiwania na dziecko – powiedziałem zachęcająco i uśmiechnąłem się do niej.

Jej twarz się rozpromieniła. Pomajstrowałem przy obiektywie i zrobiłem zbliżenie. Uchwyciłem tę radość i błysk w oku, a na tym zależało mi najbardziej. Lekki wiatr zdawał się w pełni z nami współpracować. Unosił lekko kosmyki włosów Zośki, jej sukienka falowała, a ja robiłem zdjęcie za zdjęciem, bo każdy moment wydawał się idealny do uwiecznienia.

Podczas każdej sesji ciążowej patrzyłem na kobietę profesjonalnym okiem. Czasem radziłem, by ułożyły inaczej dłoń czy wyprostowały plecy. Nie miałem do takich zleceń żadnego osobistego stosunku.

Dziś po raz pierwszy przekonałem się, jak to jest mieć przed aparatem kogoś bliskiego. Kogoś, kto wiele dla mnie znaczył. Serce biło mi szybciej, a ja miałem ochotę nie mrugać, by niczego nie utracić. Żadnej gry światła, żadnego jej uśmiechu ani spojrzenia pełnego dumy wynikającej z faktu, że będzie mamą. Podziwiałem ją w ciszy, zachwycałem się i coraz bardziej zatracalem w tej niezwyklej kobiecie.

Całkowicie nieprzyjacielsko, oczywiście.

– Tosia chyba wie, że dzieje się coś ważnego, bo jest bardzo pobudzona – powiedziała Zośka z lekkim śmiechem i przycisnęła dłoń do lewego boku brzucha. – Auć... – Nagły grymas potwierdził jej wcześniejsze słowa.

– Może usiądź chwilę na ławce, stoisz już dłuższy czas, a tutaj też mogę zrobić ładne ujęcia.

Zośka poszła za moją radą, a ja znów trochę popstrykałem. Dzień był idealny do zdjęć w plenerze. Promienie słoneczne tworzyły piękne tło, podobnie jak majaczące wokół kolory jesieni. No i ten wiatr... Czynił prawdziwe cuda.

– Taka sesja pewnie na ogół sporo u ciebie kosztuje, co? – zapytała nagle, a ja zastygłem i odsunąłem aparat od twarzy.

– To prezent. Nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy – przypomniałem jej, gdyby jakimś cudem Sabina zapomniała o tym wspomnieć.

– Pogodziłam się już z tym, bo twoja siostra powtórzyła mi to dziesięć razy, ale wiesz, że mi głupio. Mam pieniądze. Radzę sobie bez Radka, naprawdę.

– Nie wątpię, że sobie radzisz. Zawsze byłaś bardzo zorganizowana, jednak czas, byś nauczyła się przyjmować od innych coś, co chcą ci po prostu podarować – odpowiedziałem, patrząc jej intensywnie w oczy. Piękne, duże, skupione.

– Ty już dałeś mi zbyt wiele – odparła i przełknęła ciężko ślinę.

– Chciałbym dać ci więcej. Dużo więcej – wyszeptalem, tak by nikt poza nią nie mógł tego usłyszeć.

Zerwała nasz kontakt wzrokowy, uciekła spojrzeniem w bok i zagryzła dolną wargę. Poczułem dziwny ucisk w klatce piersiowej.

– Kuba, proszę...

Zamierzałem ją zapytać, czy ona też TO czuje... Czy dostrzega znaki, czy widzi, jak wiele się zmieniło. Nie dane mi jednak było tego zrobić, bo nagle ktoś zatrzymał się przy ławce, którą zajmowaliśmy, więc oboje unieśliśmy głowy i...

Wstrzymałem oddech.

Przed nami stał Radek.

– Moja kobieta... – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Był zapuszczony, jego ubrania dawno nie widziały pralki, zarost wręcz prosił się o okiełznanie, a w oczach błędziła beznadzieja pomieszana z amokiem alkoholowym. Nie sprawiał wrażenia aż tak pijanego jak wtedy, gdy awanturował się w kamienicy, ale zdecydowanie miał coś we krwi.

– Co ty tutaj robisz? – Głos Zośki raptownie się zmienił. Spięła się, zaskoczona i przerażona jednocześnie.

– Szedłem do sklepu po piwko, gdy zobaczyłem, że wyginasz się przed aparatem tego gogusia – odpowiedział i pogardliwie machnął ręką w moim kierunku.

Zacisnąłem zęby, by powstrzymać emocje.

– Wybrałeś bardzo okrężną drogę – odgryzła mu się.

Obejmowała dłońmi brzuch. Zauważyłem, że to u niej odruch bezwarunkowy. Robiła tak zawsze, gdy nie czuła się pewnie. Chroniła w ten sposób dziecko.

– Dzięki temu dowiedziałem się, że już znalazłaś kogoś na moje miejsce – wycodził i zacisnął zęby, a mięśnie na jego szczęce zadrgały złowrogo.

Dużo mnie kosztowało, by zachować milczenie i się nie odezwać.

Póki co.

Spróbuj się tylko do niej zbliżyć...

– To już na szczęście nie twoja sprawa, Radek. Między nami wszystko skończone. Po narodzinach mojego dziecka będę chciała od ciebie tylko zrzeczenia się praw rodzicielskich – odpowiedziała z powagą i tym razem patrzyła na niego pewnie. A ja byłem z niej cholernie dumny.

Na twarzy tego zniszczonego fizycznie i emocjonalnie gościa odmalował się szpetny, złośliwy uśmiech, Zośka na szczęście nie straciła rezonu. Tylko czekałem, żeby wstać i nim potrząsnąć, by dał jej święty spokój.

– I myślisz, że pójdzie ci tak łatwo, jak byś tego chciała... – zaśmiał się.

– Biorąc pod uwagę to, co ze sobą zrobiłeś... – Nie wytrzymałem i zmierzyłem go spojrzeniem.

– Nikt cię nie pytał o zdanie – odwarknął.

Nie był jednak taki pewny siebie, na jakiego pozował. Być może pamiętał nasze poprzednie spotkanie.

– Zostaw Zośkę w spokoju – wycodziłem i wstałem z ławki, by zmierzyć się z nim na spojrzenia. – Nie będę więcej powtarzał.

Wyglądał, jakby chciał mi przywalić, ale najwyraźniej nie czuł się na siłach. Zamiast tego popatrzył na swoją byłą partnerkę i wykrzywił usta w grymasie.

– Niczego nie będę ci ułatwiał, zapamiętaj to sobie – warknął

i z tymi słowami, wygrażając palcem, wykonał kilka kroków w tył, po czym odwrócił się i odszedł.

Od razu znalazłem się przy Zośce. Patrzyłem na nią, spodziewając się, że będzie roztrzęsiona. Ona jednak oddychała miarowo i spokojnie, a jej oczy nie wyrażały paniki.

– Wszystko w porządku? – zapytałem i odruchowo objąłem ją ramieniem.

Myślałem, że może będzie chciała się odsunąć i zwiększyć dystans, ale... Nie zrobiła tego. Może wyobraźnia płatała mi figła, ale miałem wrażenie, że przysunęła się do mnie jeszcze bardziej, jakby potrzebowała tej bliskości tak samo jak ja.

– O dziwo tak. On już nie ma nade mną takiej władzy jak kiedyś – odpowiedziała z pełnym przekonaniem, a po jej ustach zaczął przemykać delikatny uśmiech.

Drgnąłem, chwyciłem ekspresowo za aparat i zrobiłem jej zdjęcie z zaskoczenia. Nie musiałem sprawdzać podglądu, by wiedzieć, że wyszło pięknie.

– Co to było? – zapytała lekko rozbawiona.

– Szybka akcja, by uwiecznić to, co najszczęśliwsze i najpiękniejsze – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Jej blade policzki pokryły się uroczym rumieńcem.

Nie straciła rezonu i chciała kontynuować naszą sesję. Kilka razy na chwilę odpłynęła gdzieś myślami, ale szybko wracała.

Te jej powroty były dla mnie na wagę złota.

22. Zośka

Pierwszy trymestr ciąży był koszmarem. Drugi pozwolił mi wrócić do życia. Trzeci natomiast oznaczał, że po intensywnym dniu leżałam na kanapie z opuchniętymi nogami, męczyłam się po każdorazowym wejściu schodami na pierwsze piętro i przestałam widzieć swoje stopy. Dodatkowo doszła jeszcze zgaga. Paliła każdego wieczora tak bardzo, że bez sporego kubka mleka nie było mowy o zaśnięciu.

Na szczęście jesienne dni były już chłodniejsze, choć nadal słoneczne, dzięki czemu nie musiałam walczyć o każdy oddech w katorżniczych upałach, które mieliśmy już wszyscy za sobą. Od kilku tygodni uczęszczałam do szkoły rodzenia na zajęcia z położną.

Razem z innymi ciężarnymi uczyłyśmy się tam, jak prawidłowo oddychać podczas porodu, miałyśmy możliwość podpięcia się pod KTG i wykonywania ćwiczeń redukujących nieznosne bóle kręgosłupa.

Byłam zaskoczona, gdy na jednym ze spotkań wśród kursantek dostrzegłam znajomą twarz. Choć w sumie „znajoma” to za dużo powiedziane, bo miałyśmy okazję spotkać się tylko raz i porozmawiać raptem przez kilka minut.

– Matylda? – zagadnęłam po wejściu na salę. Zajęcia nie zdążyły się jeszcze rozpocząć, a zawsze na początku panował lekki chaos i można było chwilę porozmawiać.

Kobieta spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, gdy i ona mnie rozpoznała.

– Zosia! Jak miło cię znów widzieć – powiedziała serdecznie i wskazała mi wolne krzesło obok swojego. Jej brzuch był jeszcze większy od mojego, była już na samej końcówce ciąży. – Co u ciebie? U was?

– Będę miała córkę. No i jak widać... rośniemy – odparłam i nie chciałam wdawać się w szczegóły, bo przecież byłam świadoma jej problemów z ciążą i dzieckiem. Trudno mi więc było cieszyć się przed nią, że z moją Tosią wszystko dobrze, bo ona nie miała tyle szczęścia co ja.

– Gratuluję! To wspaniała wiadomość!

– Jej entuzjazm był szczerzy i trochę mnie wzruszył.

Po tamtej krótkiej rozmowie w poczekalni wiele razy wracałam do niej myślami, zastanawiałam się, jak sobie radzi i co z jej synkiem.

To nieoczekiwane spotkanie w szkole rodzenia było jak okazja do otrzymania wszystkich odpowiedzi.

– Dziękuję. A co u ciebie? – zapytałam ostrożnie przyciszonym głosem, by dziewczyny kręcące się w pobliżu nie usłyszały zbyt wiele.

– Od naszego pierwszego i ostatniego spotkania nie zmieniło się zbyt wiele. Dobrą informacją jest to, że Jaś rośnie tak jak każde zdrowe dziecko. Mam wyznaczony termin cesarskiego cięcia za trzy tygodnie i przed upływem pierwszej doby jego życia musi zostać wykonana operacja. Jedziemy do szpitala w Warszawie, tam mają świetnych lekarzy, którzy ratowali już dzieci z gorszymi wadami wrodzonymi – odpowiedziała szeptem i popatrzyła mi w oczy. Nie była zrezygnowana jak ostatnio. Teraz patrzyła na mnie z nadzieją, że wszystko będzie dobrze.

Ja też tę nadzieję czułam. I mocno trzymałam kciuki za Matyldę i jej synka.

– Jestem przekonana, że ten trudny start Jasia w życie będzie za jakiś czas tylko niemiłym wspomnieniem, a wy będziecie cieszyć się sobą.

Uśmiechnęła się. Przytaknęła. Wierzyła w to. A taka postawa była już ważnym krokiem do odniesienia sukcesu. Oczywiście wiedziałam, że moje słowa nie miały żadnej mocy sprawczej. Wszystko zależało od tego, jak silny będzie jej synek po narodzinach i co uda się zdziałać lekarzom. A jednak chciałam, by myślała pozytywnie – dla tego maleńkiego, bezbronnego człowieczka, który po operacji będzie bardzo potrzebował silnej mamy gotowej do otoczenia go całym swoim bezmiarem miłości i opieką. Nie wątpiłam, że Matylda da maluszkowi to wszystko.

Położna rozpoczęła spotkanie kilka minut później, więc wszystkie rozmowy umilkły i skupiłyśmy całą uwagę na lekcji, która dotyczyła kąpieli noworodka. Widziałam kątem oka, że moja niedawno poznana koleżanka zapisała coś w małym, torebkowym notesie, a następnie wyrwała jedną z karteczek. Wcisnęła mi ją w dłoń pod koniec zajęć.

– To mój numer telefonu. Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie – powiedziała z ciepłym, szczerym uśmiechem.

Pod wpływem wielu miłych emocji przytuliłam ją i zapewniłam, że odezwę się do niej jeszcze przed zaplanowanym za trzy tygodnie cesarskim cięciem.

*

Po śmierci Sebastiana czułam się całkowicie i stuprocentowo sama.

Los odebrał mi każdego członka rodziny. Najpierw ukochaną babcię, odeszła zaraz po moich i brata osiemnastych urodzinach.

Później, po latach względnego spokoju, nagle i niespodziewanie odeszli rodzice. Na koniec brat, który był jakby częścią mnie. Taki rodzaj więzi zrozumie tylko ktoś, kto sam ma bliźniaka. Z całych sił trzymałam się więc obecności Radka, który jednak nie udźwignął ciężaru straty najlepszego przyjaciela i postanowił w akcie rozpaczyny wywalić ze swojego życia ostatni element, który łączył go z utraconym Sebastianem – mnie. Mnie i swoje nienarodzone dziecko. Nie było już nic. Żadnej nadziei. Tak przynajmniej na początku myślałam.

Bo później otworzyłam szerzej oczy i dostrzegłam, że wszystko dzieje się po coś i nic tak naprawdę nie dzieje się bez przyczyny.

Miałam to niewinne maleństwo. Werę. Niespodziewanie pojawił się Kuba, który kiedyś niezliczoną ilość razy ratował mnie i mojego brata z nastoletnich dramatów – a my odwdzięczaliśmy się, robiąc dla niego to samo. Teraz byłam także w stałym kontakcie z Sabiną.

Nawet Martyna... Chciała się zaprzyjaźnić, natomiast mój wewnętrzny opór nie pozwalał nam na pokonanie mostów. Nie mogłam pijać z nią kawek i udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie było. Kuba i ja byliśmy blisko. Coraz bliżej.

I choć próbowaliśmy to w jakimś sensie powstrzymać, to nie wychodziło. Bałam się, że sytuacja zajdzie zbyt daleko, że nie będzie już odwrotu, że te głębokie, przyjacielskie uczucia wymkną się spod kontroli i znów poczuję ten okropny ból.

Nie oczekiwałam, że zostawi dla mnie swoją narzeczoną. Nie mógł tego zrobić. Tworzyli poważny związek, mieli plany. Ja i moja Tosia stanowiłyśmy niepotrzebną komplikację.

Starałam się zwiększyć dystans między nami już kilka razy, lecz Kuba pod żadnym pozorem na to nie pozwalał i raz za razem pokonywał mój opór.

Może ja byłam zbyt słaba, albo on zbyt silny i uparty.

Każdy mętnik w głowie udawało mi się okiełznać choć na chwilę podczas wizyt na grobach najbliższych. Postanowiłam więc skorzystać ze sprzyjającej pogody i dobrego samopoczucia.

Naciągnęłam na siebie ciepły sweter, bo niestety w żaden z dwóch jesiennych płaszczy już się nie mieściłam, i przez jakiś czas gimnastykowałam się z włożeniem butów. Odczekałam minutę, aż wyreguluję oddech, i powolnym krokiem opuściłam mieszkanie. Po drodze wstąpiłam do sklepu zoologicznego po przekąski dla Prymulki, które bardzo lubiła. Wychodząc z zakupami, spojrzałam swoje odbicie w witrynie i miałam ochotę parsknąć śmiechem.

Zastanawiałam się, czy inni ludzie też uważają, że poruszam się trochę jak kaczką... Kołysałam się na boki dość niezgrabnie.

Już z daleka po wyjściu zza zakrętu dostrzegłam stragan pani Stasi ustawiony w tym samym miejscu co zawsze. Coś jednak od razu wydało mi się inne. Było mniej kwiatów niż zawsze. W zasadzie dostrzegłam tylko kilka bukietów... Przyspieszyłam kroku i podeszłam, by przywitać się z tą przemiłą staruszką.

– Dzień dobry! – powiedziałam raźnie.

Kobieta drgnęła i odwróciła się do mnie. W tej samej sekundzie coś trudnego do opisanego ścisnęło mnie w klatce piersiowej. Pani Stasia była blada, a jej uśmiech wyglądał, jakby z trudem się na niego zdobyła.

– Dzień dobry, Zosieńko – odpowiedziała niepokojąco słabym i smutnym głosem.

Coś jest nie tak...

– Czy wszystko w porządku? – zapytałam od razu. Nagle cały dobry nastrój wyparował.

Staruszka, zamiast odpowiedzieć, zwróciła się do pana sprzedającego znicze na sąsiednim stoisku.

– Bogdan, będziesz miał na oku mój stragan? Chciałabym porozmawiać z Zosią przez kilka minut.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Nie potrzebowałam większej ilości dowodów na to, że coś właśnie bezpowrotnie się zmienia.

– Jasne, że tak. Wiem, jak czekałaś na tę rozmowę – odpowiedział starszy pan z siwą brodą i sumiastymi wąsami, a jego smutny uśmiech omal nie wycisnął mi z oczu łez.

Pani Stasia wyszła zza lady swojego stoiska, popatrzyła na mnie uważnie i poprosiła, byśmy wybrały się na spacer cmentarną alejką.

Ruszyliśmy wolnym krokiem ramię w ramię, a ja czekałam na to, co mi powie, niemal wstrzymując oddech.

– Widzę, że jesteś przerażona, Zosiu. Przepraszam, że przysparzam ci stresu w twoim stanie – zaczęła swoim ciepłym, otulającym głosem. – Zacznę może od tego, co powiedział już Bogdan...

Czekałam na ciebie od pewnego czasu, bo musimy porozmawiać. Nie mam niestety do przekazania dobrych wiadomości, ale jestem ci to winna po tych miesiącach rozmów i porozumieniu, jakie udało nam się stworzyć.

Mój puls szalał. Otoczenie w ogóle przestało dla mnie istnieć, skupiałam się w pełni na idącej obok mnie staruszce. Jej postać wydawała mi się dzisiaj jeszcze drobniejsza niż zawsze. Szła zgarbiona, w oczach był smutek zamiast znanego mi blasku. I ta cienka, poznaczona zmarszczkami skóra, która przerażała swoją bladością.

– Kobiety w mojej rodzinie od zawsze miały sporego pecha.

Takiego, że czasami aż trudno w to uwierzyć. Prababcia, później mama, a nawet moja córka. No i ja. Żadnej, za wyjątkiem babci, nie udało się uniknąć walki z tym strasznym przeciwnikiem. – Kluczyła, przedłużała chwilę, gdy zrzuci na mnie bombę, a ja już nie dawałam sobie rady z tym dręczącym mnie napięciem i oczekiwaniem.

– Jest pani chora? – zapytałam wprost.

– Tak – potwierdziła, a to jedno słowo było jak nóż wbity prosto w moje serce.

– Rak piersi w ostatnim stadium. Bez szans na wyleczenie. Bez szans na cokolwiek.

Nie mogłam w to uwierzyć. Jak ta ciągle uśmiechnięta, pozytywna staruszka mogła być tak poważnie chora? Wyciągała mnie z przeróżnych stanów emocjonalnych, zawsze wiedziała, jak poprawić humor, działała niczym promyk nadziei na każdego, kto tylko miał szansę dłużej z nią porozmawiać.

Jak to możliwe? Dlaczego?

– Nie mogę w to uwierzyć... – wydukałam.

Uśmiechnęła się smutno, ale tak, jakby rozumiała. Złapała mnie swoją drobną dłonią za rękę i pociągnęła na ławkę. Usiadłyśmy.

– Walczę z tym cholerstwem już pięć lat. Przeszłam dwie remisje, sporo cyklów chemii, operacje. Długo była mowa o całkowitym wyleczeniu. Ja też nie zamierzałam się poddawać i żyłam pełnią życia, jakby nic złego się nie działo. Napędzała mnie praca, ciągłe bycie w ruchu, kontakt z ludźmi. Lekarz był pod wrażeniem mojej emocjonalnej siły, a przy tym dopingował mnie do dalszej walki.

Cudowny człowiek, słowo daję. Kilka tygodni temu nastał dla mnie gorszy okres. Zaczęło boleć. Zrobili badania. Dziadostwo wymknęło się spod kontroli i całkiem mną zawładnęło. Tym razem już nieodwracalnie – powiedziała, cały czas trzymając moją dłoń w swojej. Jej cienka skóra była niepokojąco zimna, a przyglądając się z bliska, dostrzegłam cienie pod tymi doskonale znanymi, zawsze pełnymi entuzjazmu oczami.

– Tak mi przykro, pani Stasiu. Tak strasznie mi... – Urwałam, bo wstrząsnął mną powstrzymywany aż do tej chwili szloch.

– Wiem, kochana. Mnie też. Kocham życie, choć powinnam je znienawidzić w dniu, gdy choroba zabrała moją piękną córkę w wieku niespełna czterdziestu lat. Od zawsze wiedziałam jednak, że ona nie chciałaby, żebym się poddała. Powtarzała przed śmiercią, że po jej odejściu ja wciąż będę miała dla kogo żyć. Mam męża, synów, wnuki... I kocham ich wszystkich do szaleństwa! Moją Renię też kocham, jakby nadal była wśród nas.

To był okropny ból. Z jednej strony znajomy, a z drugiej jakby zupełnie nowy. Wydawało mi się, że wiem o pani Stasiu dużo, a okazało się, że tak naprawdę nie wiedziałam nic. Chorowała od lat, ale potrafiła jednocześnie żyć, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Walczyła o siebie i o normalność każdego dnia. Straciła córkę, a nie ma niczego gorszego od śmierci dziecka, niezależnie od tego, ile miało lat. Jednocześnie potrafiła mówić tak pięknie o tej szczęśliwej stronie macierzyństwa i dzielić się pozytywnym

myśleniem z innymi. A to wszystko zamknięte w drobnym ciele starszej, niepozornej kobiety.

– Nie zostało mi wiele czasu. Choć długo się opierałam, w końcu nadszedł moment, gdy już zabrakło mi sił. Od jakichś dwóch tygodni czekałam na stoisku każdego dnia, by spotkać się z tobą i opowiedzieć o wszystkim. Nie mogłam przecież zniknąć bez słowa wyjaśnienia, zbyt wiele nas łączyło. Przecież nigdy nie wymieniliśmy się numerami telefonów! Jak mogłyśmy o tym zapomnieć! – Zaśmiała się, jakby wraz z jej opowieścią nie umierała we

mnie z rozpaczy jakaś cząstka serca poświęcona tej dobrej kobiecie. – A skoro już o wszystkim wiesz, to dziś oficjalnie jest mój ostatni dzień w pracy, którą pokochałam całą sobą.

Po moich policzkach potoczyły się łzy. Duszące uczucie w klatce piersiowej było coraz cięższe, coraz bardziej przytłaczające.

Ostateczność tej historii, tej rozmowy, tego dnia, który zapowiadał się całkiem miło, straszliwie mnie dobiła. Pani Stasia, jej stragan i kwiaty, które kupowałam zawsze przed bramą cmentarza, to był stały punkt, prawdziwy pewniak. Nie mieściło mi się w głowie, że nagle miało tego wszystkiego zabraknąć.

Że miało zabraknąć jej.

Ktoś mógłby stwierdzić, że przeżyłam już od losu tyle ciosów, straciłam tylu bliskich ludzi, że odejście staruszki, z którą nie łączyły mnie więzy krwi, to przecież nic wielkiego. Tyle że na czyjaś nieuleczalną chorobę czy świadomość zbliżającej się nieuchronnie śmierci nie da się uodpornić. Zwłaszcza gdy chodzi o osobę, która była opoką, iskierką nadziei i wsparciem w wielu trudnych momentach.

– Chciałam pójść do hospicjum, by oszczędzić moim bliskim patrzenia, jak zabiera mnie ta wstrętna kostucha. Oni jednak uparli się, że mam zostać w domu. Dostaję już tylko leki, które zabierają ból na ten ostatni czas... Jestem zła, jest mi przykro, krzyczę wniebogłosy, że już nie będę taka samowystarczalna. A z drugiej

strony powtarzam sobie, że Renia na mnie czeka. Wreszcie się z nią spotkam. Moi bliscy sobie poradzą. Zdążyliśmy się już wszyscy oswoić z rakiem, jest z nami od lat. – Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się blado i otarła mi z twarzy niezliczoną ilość łez, które płynęły już bez opamiętania. – Przykro mi patrzeć na twoje łzy, choć wiedziałam, że je zobaczę, bo przecież jesteś tak dobrą i wrażliwą osobą. Nie doczekam już narodzin twojej córeczki, ale wiedz, że otoczę ją moją opieką z góry. Będzie miała za sobą cały sztab aniołów stróżów: twoją ukochaną babunię, rodziców, brata, no i mnie! Włos jej z głowy nie spadnie! – Jej twarz rozpogodziła się łagodnie.

Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam głośno płakać. Jak ona mogła mówić coś takiego? Jak mogła się uśmiechać w chwili, która tak straszliwie łamała mi serce? Ileż jeszcze zamierzała udawać, że jest silna i niezniszczalna?

Obie wiedziałyśmy już przecież, że to nieprawda...

– Kochana... – westchnęła i mnie przytuliła.

Przylgnęłam do niej i uderzyło mnie, jak bardzo jest chuda. Miała już swoje lata. Umierali przecież dużo młodszy ludzie od niej, jak chociażby moi kochani rodzice i brat, ale czy to oznaczało, że nie mogłam jej opłakiwać? Zasługiwała na więcej, niż dostała. Tak samo jak moi bliscy...

– Niech się pani jeszcze nie poddaje... Do mojego porodu zostało coraz mniej czasu. Tak bardzo chciałabym, żeby zobaczyła pani Tosię

– wyszeptalam, gdy odsunęłyśmy się od siebie, a ja znów mogłam spojrzeć w te wypełnione ciepłem oczy.

– Ja się nie poddaję. Uwierz mi. Po prostu opadam już z sił i nic nie mogę na to poradzić, choć bardzo bym chciała... Czasami boli już tak, że nie daję rady wstać z łóżka. Widzę już zbliżający się koniec, godzę się z nim, choć serce pęka, gdy pomyślę, ile mnie ominie.

Życie nie jest sprawiedliwe. Nigdy nie było i nigdy nie będzie. Choć czy mam prawo pomstować na los, skoro pozwolił mi spędzić na tym

świecie aż tyle lat? Inne rodziny przeżywają znacznie większe tragedie. To nie ja mam najgorzej – odpowiedziała spokojnym, pewnym głosem.

Kolejny raz sprawiła, że byłam pod wrażeniem... Tej niewiarygodnej akceptacji i godzenia się na to, co daje los. To jedna z cech, których stopniowo, z trudem się od niej uczyłam – nadal nosiłam w sercu świeżą żalobę po Sebastianie. A co za tym idzie, także złość, zaprzeczenie i smutek...

– Jeśli jest coś, czego nie wolno robić pod żadnym pozorem, to wartościować czyjejs tragedii oraz straty. Każda jest wielka i ogromnie bolesna dla osoby, która jej doświadcza – powiedziałam.

Właśnie takie myślenie pozwalało mi odnaleźć się w rzeczywistości bez osób, które wcześniej stanowiły fundament mojego życia.

– Masz rację, Zosięńko – powiedziała pani Stasia. – Obiecuję ci, że odwiedzę Tosię, choć nie będziesz mnie już mogła zobaczyć. Będę u was gościem nie raz i nie dwa. – Znów ten uśmiech. Jakby wszystko było piękne i w jak najlepszym porządku.

Patrzyłam na tę kobietę i docierało do mnie, że gdyby siła miała twarz, wyglądałaby tak jak pani Stasia.

– Mam do ciebie prośbę. – Po chwili milczenia spojrzała na mnie poważnie.

Wiedziałam, że o cokolwiek poprosi, z pewnością jej nie odmówię.

Choć tyle mogłam zrobić...

– Oczywiście, proszę mówić.

– W zasadzie to jednak dwie prośby, ale po kolei... – W jasnych oczach otoczonych siateczką zmarszczek dostrzegłam te iskierki, które pojawiały się tak często podczas wielu naszych wcześniejszych rozmów, gdy nie wiedziałam jeszcze, że niebawem kolejny fragment mojego układanego na nowo świata rozpadnie się w drobny mak. –

Chciałabym, żebyś dała mi swój numer telefonu. Będę do ciebie dzwonić, jak długo wystarczy mi sił, a później... Później zadzwoni mój mąż albo któryś z synów. Zgoda?

Później... Gdy pani już nie będzie wśród nas.

Przełknęłam z trudem gulę, która blokowała mi gardło, i przytaknęłam. Wyciągnęłam z torebki podręczny notes, zapisałam na kartce ciąg cyfr i wyrwałam ją. Złożyłam na pół i podałam pani Stasi.

– Proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Nawet codziennie – powiedziałam zapłakany głosem, a w myślach dodałam: bo i tak nie zdążymy się nagadać.

Tych rozmów i tak będzie za mało.

– Zapamiętam! – obiecała pogodnie. – Teraz druga sprawa... –

Uniosła lekko swoje siwe brwi i popatrzyła na mnie sugestywnie.

– Tak?

– Jesteś kobietą po przejściach. Pragniesz kochać i być kochana. Ja wiem, że twoje serce wypełniają teraz uczucia do dziecka, to zupełnie normalne. Jednak przyjdzie czas, gdy zapragniesz mieć kogoś jeszcze przy sobie. I chciała bym, żebyś wtedy rozejrzała się uważnie dookoła siebie. Nie szukaj daleko. – Ostatnie zdanie wypowiedziała szeptem.

W moim cierpiącym sercu coś drgnęło, jakby podświadomość już wiedziała to, czego ja wolałam nie wiedzieć.

Chociaż... ile mogłam się oszukiwać? Pani Stasia miała na myśli tę samą osobę, o której myślałam ja... Częściej, niż powinnam.

– Kuba jest zaręczony i...

– Sam fakt, że od razu wypowiedziałaś jego imię, jest dla mnie najlepszym zapewnieniem.
– Rozpromieniła się jak zwykle. –

Rozmawiałam z nim dużo, obserwowałam, a wiesz, że obserwatorką jestem wyśmienitą. Ten mężczyzna jest odpowiedzią na wszystkie twoje potrzeby, jest plastrem na zadane przez innych rany. Jednak dopóki sama tego nie zauważysz, to nie podejmuj decyzji. Kuba jest zaręczony, ale on już wie, czego chce od przyszłości. Niczego więcej zdradzić ci nie mogę.

Popatrzyłam uważnie na siedzącą obok mnie staruszkę, a mój oddech raptownie przyspieszył. Pozostawiła mnie swoimi słowami na

rozdrożu, powiedziała sporo, lecz nie wyjaśniła niczego. Jakby ją i Kubę łączyła jakaś tajemnica...

Musiałam to uszanować. Przytaknęłam, choć nie było mi łatwo pozostawić ten wątek bez rozstrzygnięcia. Ostateczność tej rozmowy rodziła pytania, których być może nigdy już nie będę mogła pani Stasi zadać...

Porzuciłam słowa i po prostu po raz kolejny ją przytuliłam.

Dziękowałam bezgłośnie za wszystko, co dla mnie zrobiła, choć nie musiała. A później wróciłyśmy do jej stoiska, gdzie kupiłam od niej trzy ostatnie bukiety kwiatów.

Tego dnia udałam się na groby wszystkich moich bliskich wbrew własnej zasadzie, by nigdy tego nie robić, bo to przecież zbyt trudne.

Nie czułam się pogodziona z tym, że pani Stasia umierała, a ja właśnie traciłam kolejną osobę, tak dla mnie bliską. Nie akceptowałam myśli o przyszłości, w której nie zatrzymam się przy jej straganie, żeby kupić kwiaty. Nie wyobrażałam sobie, że jej grób będzie czwartym, który będę odwiedzać i nad którym wyleję niezliczoną ilość gorzkich łez...

*

– Wiedziałeś już wcześniej? – zagadnęłam Kubę, gdy siedzieliśmy razem na balkonie jego mieszkania.

Obejmowałam w dłoniach kubek z ciepłą, parującą herbatą i wpatrywałam się w jakiś przypadkowy punkt przed sobą. Po przyjściu z cmentarza musiałam porozmawiać z kimś, kto również poznał tę niezwykłą staruszkę. Sama nie mogłabym tego wszystkiego przetrwać.

– O czym? – odpowiedział pytaniem na pytanie, choć wiedziałam, że się domyśla, o co chodzi.

– O pani Stasi.

Głośne westchnienie było jednoznaczne.

– Powiedziała mi kilka dni temu. Chodzę na grób Sebastiana, odkąd mi pokazałaś, gdzie to jest. Lubię z nim rozmawiać. Może to dziwne, ale czuję się, jakby stał obok... Zaglądam też czasem do twoich rodziców i babci. Chciałem powiedzieć ci już wcześniej, ale nie miałem pojęcia, jak to przyjmiesz – przyznał się z niepewnym wyrazem twarzy.

– Nie mogłabym mieć ci tego za złe. Masz prawo tam chodzić – zapewniłam z powagą. – Zresztą pani Stasia już jakiś czas temu wygadała mi się na ten temat.

– Czyli wiedziałaś...

– Wiedziałam.

– Nie zawsze kupowałem kwiaty od niej, żebyś się nie zorientowała. A jeśli już, to sprzedawała mi bukiet takich samych, jakie ty zostawiłaś w wazonie wcześniej. Po prostu je podmieniałem

– wyznał z lekko zakłopotanym uśmiechem.

– Dobrze się kamuflowałeś, choć nie było takiej potrzeby, Kuba –
odparłam i prawie udało mi się poderwać kąciki ust ku górze. – Nie wiem, jak to możliwe, że osoba tak poważnie chora ma w sobie tyle pozytywnej energii, którą jeszcze dzieli się z innymi. Wydawała mi się absolutnie niezniszczalna.

– Nie tylko tobie. Też tak o niej myślałem.

– Pierwszy raz boję się śmierci tak świadomie – powiedziałam przyciszonym głosem i przełknęłam ślinę.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Kuba. Zawsze w pełni angażował się w rozmowę ze mną. Uwielbiałam go za to.

– Babcia umarła, gdy byłam nastolatką i wszystkie moje myśli skupiały się na ekscytacji wynikającej z tego, że za moment będę pełnoletnia. Sam wiesz, jakie to emocje... Wydawało nam się, że wraz z otrzymaniem dowodu osobistego możemy zawojować cały świat. Rodzice odeszli nagle. To była tragedia, która w jednej chwili zwała mnie i Sebastiana z nóg, bo nijak nie byliśmy na to przygotowani. No a Seba... Sam już wiesz. Nikomu się nie chwalił, że zamierza odejść z tego świata. Zniknął też zupełnie nagle, zgasł. Nie przygotowałam się na to – wyjaśniłam, czując, jak z każdym kolejnym zdaniem przetacza się przeze mnie ból straty. – Pani Stasia umiera powoli. Jestem świadoma tego, że odchodzi. Poprosiła mnie dzisiaj o numer telefonu, obiecała, że będzie dzwonić, a gdy nadejdzie jej czas... Wtedy zadzwoni mąż albo któryś z synów. W ten sposób sprawiła, że za każdym razem będę się bała odebrać. Wiem, że to się w końcu stanie, ale...

– Rozumiem – powiedział Kuba, wyciągnął rękę przez stół dzielący dwa wiklinowe fotele i złapał moją dłoń. – To cholernie trudna sytuacja. Przeżywanie każdego dnia ze świadomością, że komuś ważnemu kończy się właśnie czas. Jeśli nam trudno poukładać to sobie w głowie, to co przeżywa pani Stasia i jej najbliżsi...

– Ona wydaje się zadziwiająco z tym pogodzona. Jest wściekła, bo kocha życie, ale zdążyła się już oswoić. Tak przynajmniej powiedziała

– odparłam ze smutkiem w głosie. Znów czułam, że pod powiekami zaczynają gromadzić mi się łzy.

Kuba zamilkł i przez chwilę intensywnie o czymś myślał. A gdy ponownie na mnie spojrzął, jego oczy wypełnione były tęsknotą.

– Jest coś, o czym chciałem ci powiedzieć już jakiś czas temu – zaczął, a mnie nieprzyjemnie ścisnęło w żołądku. Przymknęłam, dając mu znak, żeby mówił dalej. – Chodzi o Sebę. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał, nie wspominał dawnych czasów. To silniejsze ode mnie, ale jestem pewien, że ty wiesz, jak to jest. Coś chyba po latach do mnie dotarło.

– Co takiego? – wydukałam. Zaszło mi w ustach od nadmiaru emocji.

– Depresja to choroba. – Nie zapytał, lecz stwierdził to, co dla nas obojga było całkowicie oczywiste. – Potrafi rozwijać się w ukryciu przez bardzo długi czas. Nie zawsze daje jednoznaczne sygnały, a już wyniszcza. I gdy przypominam sobie fragmenty naszych rozmów, zwłaszcza tych, o których nigdy miałaś się nie dowiedzieć, dociera do mnie, że...

– Zrobił pauzę i popatrzył mi głęboko w oczy.

Wstrzymałam oddech. – On chorował już wtedy, choć prawdopodobnie nie miał o tym pojęcia.

Serce zabiło mocniej w mojej piersi.

– Co takiego? – wyszeptałam, bo przecież nastoletni Sebastian nie był tą samą osobą, u której kilkanaście lat później zdiagnozowano chorobę.

Depresja się śmieje... – powiedział cichutki głosik w mojej głowie, przypominając mi to, co doskonale wiedziałam. Często za pięknym uśmiechem kryła się poważnie chora dusza. Czy rzeczywiście ten energiczny, rezolutny i wiecznie żartujący nastolatek mógł już wtedy cierpieć wewnątrz?

– Czasami nachodziły go dziwne myśli. Siedzieliśmy, gadaliśmy, atmosfera generalnie była bardzo wesoła, gdy nagle poważniał i pytał, czy mogę mu coś obiecać. Zawsze się zgadzałem, a wtedy prosił o różne rzeczy związane z tobą, jak na przykład to, bym zaopiekował się tobą, jeśli on umrze. Myślałem wtedy, że po prostu się zgrywa, szturczałem go w ramię i odpowiadałem, że kto jak kto, ale on przeżyje nas wszystkich – opowiedział, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.

Wszystko wokół przez chwilę straciło ostrość. Nie miałam pojęcia, że Sebastian kiedykolwiek uciekał się do rozmów na takie tematy. To wydawało się wręcz abstrakcyjne, tak bardzo do niego niepasujące.

Ta troska... On ciągle się o mnie troszczył. Czy to wtedy, gdy akurat się zgrywał i robił wszystko, żeby mnie wkurzyć, czy też w chwilach pełnych powagi.

Nastolatek nie powinien myśleć o takich sprawach jak te w stylu „co będzie, gdy umrę”. Tego typu rozważania przeważnie nie oznaczają niczego dobrego. Jeśli Sebastian prosił Kubę o to, by w razie jego śmierci się mną zaopiekował, to oznacza, że już wtedy

pojawiły się u niego pewne oznaki choroby, która rozwinęła się w pełni po śmierci rodziców i przejęła nad nim kontrolę.

Może gdyby podjął leczenie wcześniej... Może gdyby porozmawiał ze mną, uświadomił sobie, że potrzebuje pomocy...

Gdybanie to najgorsza forma dobijania samego siebie.

Wyrwałam rękę z uścisku Kuby i ukryłam twarz w dłoniach. Wdech i wydech. Jeden, drugi i trzeci. Powolny, uspokajający...

Cholera, to w ogóle nie było proste.

Chciało mi się płakać. Nie. W zasadzie to miałam ochotę wyć na całe gardło, jak zranione zwierzę. Byłam niezwykle wrażliwa z powodu ciąży, a te wszystkie wspomnienia, kolejne sytuacje dziejące się tu i teraz tylko mnie dobijały. Regularnie i skutecznie.

Poczułam przy sobie jakiś ruch, a po chwili czuły, delikatny dotyk na policzku. Uniosłam głowę i zobaczyłam klękającego przede mną Kubę. Jego oczy były czyste jak bezchmurne niebo. Twarz, której teraz mogłam przyjrzeć się z bliska, wyglądała jednocześnie tak znajomo, a z drugiej strony przecież nie towarzyszył mi już nastolatek, lecz mężczyzna. Szczękę pokrywał krótki, zadbane zarost, na którego tle uwydatniały się pełne usta. Widziałam te kości policzkowe, idealnie prostą linię nosa...

– Nadejdzie dzień, gdy to minie. A jeśli nie minie, to stanie się znośne. Nawet po największej burzy i po najgroźniejszym sztormie wychodzi słońce. Cokolwiek będzie się działo, pamiętaj, że masz mnie. Jestem tu z tobą i dla ciebie – wyszeptał, po czym ujął moją twarz w dłonie.

Zamarłam w bezgłośnym oczekiwaniu na... No właśnie, na co? Na pocałunek, którego pragnęłam nieopisanie mocno, a jednocześnie wiedziałam, że byłby przekroczeniem granic, zza których nie ma już powrotu?

Zaczął wodzić kciukami po mojej skórze. Dotykał delikatnych miejsc pod oczami, obrysowywał nos, a następnie kontur ust powoli i tak delikatnie, że niemal niewyczuwalnie. Nie mogłam oddychać.

Czułam, jak rodzi się we mnie wewnętrzne drżenie. Emocji było zbyt dużo, już nie dawałam rady...

– Kuba... – wyszeptalam. Jego imię zabrzmiało w moich ustach jak modlitwa. Jakbym go prosiła, choć sama nie wiedziałam o co.

Uniósł się lekko i przytknął swoje czoło do mojego. Zamknęłam oczy. Trzęsłam się jak osika. Obejmowałam rękami brzuch, a Kuba powoli i niepewnie, jakby bezgłośnie pytał o pozwolenie, wsunął swoje dłonie pod moje, splótł nasze palce i razem ze mną tulił Tosię.

Cały świat przestał istnieć, to była właśnie ta chwila...

– Nie mów, że nie możemy, że to złe...

– Ale właśnie tak jest – odpowiedziałam łamiącym się głosem.

– Nie, Zośka. To życie. Bywa przewrotne i nieprzewidywalne, lubi mieszać w naszych planach i pokazywać, że tak naprawdę nie wiemy nic, gdy wydaje nam się, że znamy swoje kolejne kroki. Byłem przekonany, że wszystko już sobie poukładałem, że poza drobnymi nierozwiązanymi kwestiami ogarnąłem to, co najważniejsze. I wtedy spotkałem ciebie, dowiedziałem się o Sebastianie, później o twojej ciąży i tym wszystkim – powiedział tonem przepełnionym gwałtownymi, silnymi emocjami. – Nie jestem facetem z czystą kartą. Muszę załatwić kilka spraw, ale już teraz wiedz, że to, co czuję, jest na tyle silne, że nie da się tego pomylić z niczym innym.

Każde jego słowo bez trudu trafiało prosto do mojego serca. Nie chodziło o to, że potrafił czarować, on naprawdę był szczery. Od zawsze w taki sam sposób, precyzyjnie i otwarcie wyrażał swoje emocje i uczucia, by nie komplikować już wystarczająco skomplikowanego życia.

– Co zamierzasz zrobić? – Nie ukrywałam trawiącego mnie niepokoju.

– Porozmawiam z Martyną. To przede wszystkim. Musi wiedzieć, że bardzo wiele się zmieniło.

Pomyślałam o tej serdecznej, ciągle uśmiechniętej dziewczynie, która chciała zorganizować dla mnie baby shower i zrobiła dla Tosi

taki piękny prezent. Spróbowałam sobie wyobrazić jej ból, a przecież nie było to trudne, bo sama wiedziałam, jakie uczucia towarzyszą złamanemu sercu...

Przyczyniłam się do tego, choć się zarzekałam.

Stałam się powodem rozpadu solidnego związku, a przy tym krzywdy niewinnej osoby, gdy już się dowie. Broniałam się przed uczuciami, ale Kuba... Od początku był tak znajomy, a jednocześnie nowy, interesujący, inny od Radka.

Pod każdym względem lepszy.

Przez kilka lat powtarzałam sobie z uporem maniaka, że Radek trafił mi się jak ślepej kurze ziarno. Bo przecież mieliśmy w związku dobre czasy. A chociaż nigdy nie było idealnie, chociaż zdarzały się sytuacje skrajnie dołujące i raniące, to żadna nie objawiła przede mną jego prawdziwej twarzy tak bardzo, jak te ostatnie...

Gdy wyrzucił mnie z domu, bo zaszłam w ciążę i nie chciałam usunąć dziecka.

Gdy się odgrażał.

Pokazał swoją paskudną naturę, a przetrwać jego ciosy pomógł mi właśnie on. Kuba. Był w pobliżu, opiekował się i troszczył, choć wcale nie musiał.

Teraz dotykał mojego brzucha razem ze mną. Oboje czuliśmy te słodkie kopniaki, wyraźne ruchy.

Ta chwila była nasza. Tylko nasza.

Myślałam, że mnie pocałuje. Chciałam tego i obawiałam się jednocześnie. On jednak tego nie zrobił.

Skupił się na wyczuwaniu ruchów mojej małej Tosi, uśmiechał się za każdym razem, gdy mu się udało, i patrzył na mnie tak, jakby nie istniał nikt inny. Był wzruszony i poruszony jednocześnie.

– Jesteś szczęściarą, mała dziewczynko – zwrócił się cichym, czułym głosem do brzucha, zupełnie mnie tym zaskakując. – Masz wspaniałą mamę, która kocha cię ponad wszystko. Zaznasz w życiu wiele miłości i jestem pewien, że oczarujesz sobą cały świat.

Te słowa sprawiły, że się popłakałam – po raz kolejny tego dnia.

A później pozwoliłam, żeby Kuba otarł mi łzy i zobaczył, że czuję do niego... wszystko to, co dobre.

23. Kuba

Ja, Wera, Sabina, no i Martyna – wszyscy oczekiwaliśmy już narodzin Tosi. Przeżywaliśmy ciężę Zośki, myśleliśmy o niej, troszczyliśmy się.

Każdy na swój sposób ekscytował się tym malutkim człowiekiem, który niebawem miał się pojawić. Przyszła mama coraz częściej wspominała, że jest jej ciężko zrobić cokolwiek bez zadyszki. Męczyła ją wieczorami potworna zgaga, ale poza tym wyglądała na szczęśliwą. Uśmiech zniknął wtedy, gdy rozmawialiśmy o pani Stasi lub gdy wspominaliśmy jej najbliższych.

Na moich barkach spoczywało sporo... Praca, to jasne. Ona na szczęście nigdy się nie kończyła. Wolne chwile poświęcałem na pomaganie Zośce: złożyłem łóżeczko, które dostała od Wery po jednym z jej bliźniąt, powiesiłem na ścianie ramki na zdjęcia, zamontowałem lampkę do pokoju dziecięcego.

Co najgorsze, cały czas czekała mnie rozmowa z Martyną.

W ostatnich tygodniach rzadko się widywaliśmy. Oddaliłem się od niej i wiedziałem, że prędzej czy później mi to wypomni. Moje sumienie nie było czyste. Moje serce wypełniła Zośka, choć skłamałbym, twierdząc, że nie zostało w nim miejsca dla narzeczonej. Wiedziałem jednak, że jest go za mało, że rozgościł się tam ktoś inny...

Ktoś, kto od lat tam już mieszkał, choć nie w takiej roli, jak obecnie.

Nawet nie potrafiłem wyobrazić sobie reakcji Martyny, gdy jej powiem o tym, co się zmieniło. Przecież zamierzałem wyrzucić nasze dotychczasowe życie, plany i marzenia do góry nogami. Postawić wszystko na jedną kartę.

Odważne? Owszem.

Byłem winien Martynie szczerość. Ona nie zasługiwała na to, by być okłamywaną. Między mną a Zośką nie doszło do pocałunku.

A jednak ta bliskość, nie tylko fizyczna, a przede wszystkim emocjonalna, nie pozostawiała wątpliwości, że nie mogę dłużej trwać przy mojej narzeczonej. Musiałem to zakończyć, choć spodziewałem się, że będzie bolało.

A taki się czułem pewien w tym spokojnym życiu. No i pojawiły się komplikacje. Takie, które miały wszystko zmienić. Czułem się trochę jak tchórz, bo żaden dzień nie wydawał mi się odpowiedni do przeprowadzenia tej rozmowy. Gorący okres zleceniowy dobiegł

końca i teraz mogłem zmniejszyć bieg. Spędzałem sporo czasu na samych obróbkach zdjęć i składaniu albumów dla klientów. No i nie musiałem zabierać już pracy do domu, choć i tak to robiłem. Moim ulubionym zajęciem było otwieranie folderu z sesją ciążową Zośki i patrzenie na to, co udało nam się stworzyć. Mieliśmy mnóstwo pięknych kadrów, które wymagały tylko delikatnego szlifowania.

Analizowałem z czułością każdy jej uśmiech i roziskrzone spojrzenie utkwione prosto w obiektywie aparatu.

Właśnie podczas jednego z wieczorów spędzanych nad zdjęciami Zośki odwiedziła mnie Martyna. Bez zapowiedzi. Weszła do mieszkania, nie pukając, robiła tak od zawsze. Przyniosła ze sobą butelkę wina i kolację ze swojej ulubionej restauracji. Włożyła dziś jedną z sukienek, w których najbardziej lubiłem ją oglądać.

Czerwoną, zwiewną, sięgającą do połowy ud i ukazującą kuszący rowek między piersiami. Narzeczona pocałowała mnie na powitanie, co odwzajemniłem z trudem, bo wyrzuty sumienia wręcz zjadały mnie od środka.

– Spędźmy dziś razem wieczór, tak dawno tego nie robiliśmy – powiedziała przymilnym głosem i uśmiechnęła się, patrząc mi w oczy.

– Jak sobie życzysz – odpowiedziałem, choć miałem wrażenie, że mój głos zabrzmiał sztucznie.

Ona prędzej czy później się zorientuje. Zbyt dobrze mnie zna.

Przyniosłem z kuchni kieliszki oraz talerze i zasiedliśmy do najlepszego spaghetti w mieście. Zajadaliśmy się nim setki razy i zawsze smakowało tak samo dobrze. Dziś jednak było doprawione goryczą moich własnych działań i niewypowiedzianej, dręczącej prawdy.

– Nie wspomniałeś, że zrobiłeś Zosi sesję ciążową – powiedziała Martyna między jednym kęsem a drugim. – Jak wyszła?

Zerknąłem przerażony w kierunku ekranu laptopa i dostrzegłem jeden z kadrów, który zamierzałem dziś obrobić. Przedstawiał Zośkę siedzącą na ławce i uśmiechającą się wprost do aparatu.

Obejmowała dłonią brzuch, jej włosy delikatnie podrywał wiatr, a za plecami rozmazywały się krajobrazy złotej polskiej jesieni. Czułem się jak dzieciak przyłapany na gorącym uczynku, choć Martyna nie wyglądała, jakby cokolwiek podejrzewała.

– Bardzo dobrze, myślę, że będzie zadowolona – odpowiedziałem zdawkowo. – Sabina ją namówiła, bo pewnie gdybym ja zapytał, toby się nie zgodziła.

– Jak cię znam, to domyślam się, że wykonałeś dla niej te zdjęcia w prezencie – stwierdziła i popatrzyła na mnie z lekkim uśmiechem.

Cały czas nie było żadnego podtekstu ani drugiego dna. Czy ona naprawdę nie dostrzegała we mnie zmiany, a może wolała udawać, że wszystko jest w porządku?

– Jasne. Ma teraz sporo innych wydatków.

Włożyłem do ust kolejną porcję makaronu w nadziei, że Martyna również zajmie się jedzeniem i porzuci temat Zośki. Bo jeśli go pociągniemy, wtedy wszystko zmieni się bezpowrotnie.

– Może wywołaj jej kilka najpiękniejszych zdjęć, opraw w ramkę i dostanie to od nas w prezencie na baby shower. Co myślisz?

Od nas. Baby shower.

Każde kolejne zdanie sprawiało, że byłem bliski wybuchu. Nawet nie mogłem patrzeć na moją narzeczoną.

Cholera jasna...

– Może tak zrobię – odparłem i wzruszyłem ramionami.

Wtedy poczułem, jak się spięła. Nie widziałem jej wyrazu twarzy, jednak coś chyba zaczynało do niej docierać. Puls raptownie mi podskoczył. Nie mogłem być tchórzem. Musiałem zachować się jak facet, nawarzyłem piwa i teraz nadszedł czas, żeby je wypić.

Dopuściłem do siebie uczucia względem Zośki i jej nienarodzonej córeczki, choć miałem u boku kobietę, z którą zaplanowałem przyszłość. Starałem się przed tym bronić, ale może mogłem zrobić więcej? Może coś zaniechałem, czegoś w własnym zachowaniu nie zauważyłem? I przepadłem, nawet nie wiadomo kiedy.

Dokończyłem spaghetti i dopiero zerknąłem na Martynę. Także miała już pusty talerz i sięgała właśnie po kieliszek z winem. Ja swoje miałem ochotę wychylić duszkiem.

– Zaniozę brudne naczynia do zmywarki – poinformowałem i wstałem z kanapy.
Atmosfera zrobiła się gęsta.

– Może włączymy jakiś film? – zaproponowała Martyna, lecz bez entuzjazmu. – Albo serial?

– Na co masz ochotę? – zapytałem przez ściśnięte gardło.

Rozmawialiśmy ze sobą, jakby rozdzielał nas gruby mur.

– Od dawna chodzi mi po głowie Gambit królowej. Mam wrażenie, że wszyscy już to widzieli, tylko nie my.

Robiła wszystko, żeby brzmieć naturalnie, ale wiedziałem, że udawała. Jej lekko napięte ramiona i specyficzna nuta w głosie nie pozostawiały wątpliwości, że prawda, jak oliwa, niebawem wypłynie na wierzch.

– Włącz, to dobry wybór.

Usiadłem ponownie na kanapie, a Martyna wzięła do ręki pilot, uruchomiła Netflixa i włączyła pierwszy odcinek. Nie poświęciłem temu serialowi nawet minuty uwagi, choć słyszałem dziesiątki pozytywnych opinii, od znajomych i klientów przede wszystkim. Całe moje ciało wyczuwało zbliżającą się nieuchronnie katastrofę.

A ta nadeszła kilka minut później...

– Kuba? – zaczęła przyciszonym głosem Martyna.

– Tak?

– Znalazłam idealne zaproszenia na nasz ślub.

Wyciągnęła ciężkie działa. Coś mocno zapadło mi się w piersi.

Jestem beznadziejny...

– Rozumiem – mruknąłem. W tej chwili każdy kochający i zaangażowany przyszły pan młody poprosiłby swoją partnerkę o pokazanie projektu, o szczegóły. Ja tego nie zrobiłem.

– Chcesz zobaczyć?

Nie chciałem. To nam się już nie przyda. Ani zaproszenia, ani rezerwacja sali i kościoła.

Nic z tego nam się już nie przyda, do cholery! – miałem ochotę krzyknąć.

Wziąłem głęboki oddech. Na sekundę zacisnąłem powieki. Niemal miałem wrażenie, jakby coś paraliżowało mi język i uniemożliwiało mówienie. A przecież musiałem to wreszcie zrobić. Bez względu na wszystko.

Zawsze ceniłem w sobie szczerłość, a teraz zachowywałem się jak pieprzony tchórz. To nie w moim stylu...

– Musimy porozmawiać – wydukałem wreszcie i pod wpływem emocji porwałem ze stolika kawowego kieliszek wina, po czym wychyliłem go za jednym razem i odstawiłem z powrotem na blat tak gwałtownie, że tylko cudem nie pękł.

Martyna głośno westchnęła. Znacząco. Sugestywnie.

– Chyba wiem o czym – odpowiedziała po chwili. Zabrzmiała głucho, jakby jej głos dochodził z bardzo daleka. – Znam cię, Kuba.

Przecież mieliśmy kilka lat na to, by nauczyć się z siebie czytać. Tekst pisanej przez ciebie książki uległ zmianie jakiś czas temu. Mniej zaczęło być mnie, a więcej...

Oddychałem z trudem. Czułem, jakby na gardle zaciskało mi się imadło.

– Zośki – powiedzieliśmy jednocześnie.

– No właśnie... – dopowiedziała. – Przyjaciółki od początku alarmowały mnie, że jak mogę zezwalać, byś w taki sposób troszczył

się o inną kobietę. Tym bardziej że przecież łączyła was wspólna przeszłość, razem opłakiwaliście utraconego brata i przyjaciela. Nikt nie rozumiał, dlaczego jestem tak spokojna w związku z tobą i Zośką.

– A ty mi po prostu ufałaś – odpowiedziałem z bólem.

Zawiodłem ją tak bardzo, że bardziej się już nie dało. Złamałem to zaufanie, którego nikt wokół nie rozumiał.

– Tak. I nie – przyznała szczerym, spokojnym głosem.

Zaskoczony poderwałem głowę i spojrzałem na nią. Jej oczy wypełniał smutek. Cały ocean smutku. Czekałem na wybuch, krzyk, wyrzuty. Ale ona siedziała obok, była opanowana, choć nie ukrywała, że cierpi.

– To znaczy? – odważyłem się zapytać.

– Jesteśmy różni, zawsze byliśmy. Sporo nas łączy, ale i dzieli. I ja od początku wiedziałam, że właśnie te różnice mogą pewnego dnia przyczynić się do rozpadu naszego związku. Jeśli na twojej lub mojej drodze pojawiłby się ktoś bardziej pasujący, to wtedy... A ty od początku mówiłaś, że Zośka była dla ciebie kiedyś ważna. Uznałam, że tylko dana tobie swoboda zweryfikuje naszą i waszą relację. Zbyt wiele razy zamykałam cię w złotej klatce, z której uciekałaś, i nic dobrego z tego nie wynikało.

Słuchałem jej z szeroko otwartymi oczami i ogromnym zdumieniem wymalowanym na twarzy. To brzmiało tak abstrakcyjnie. Jakby zupełnie porzuciła instynkt samozachowawczy w naszej relacji. Ktoś mógłby powiedzieć, że może wcale nic do mnie nie czuła, więc pozostawiła mi wolną drogę.

A ja wiedziałem, że to nie tak. Martyna mnie kochała. Ta miłość zmieniała się wraz z upływem czasu, nie zawsze była łatwa, ale trwała. Moje uczucia też ewoluowały, nie zniknęły całkowicie, choć coś się wypaliło, gdy... jak sama powiedziała, pojawił się ktoś bardziej do mnie pasujący.

– Nie chcę, byś myślał, że nie cierpię, że mnie to nie boli. Po prostu chyba gdzieś podświadomie się tego spodziewałam. Mogłabym teraz krzyczeć, rzucać rzeczami i płakać. Nie zrobię tego, choć na złość i łzy z pewnością przyjdzie jeszcze czas – wyszeptala i sięgnęła po moją dłoń, a wtedy spojrzałem na twarz Martyny i zobaczyłem, że uśmiecha się w sposób, który całkowicie mnie rozbroił. To było pogodzenie. Niezrozumiałe dla mnie, a jednak. – Kobieta czuje, gdy coś się zmienia. U nas zaczęło się zmieniać, gdy pojawiły się pierwsze rozmowy o ślubie, czyli na długo przed tym, zanim ponownie spotkałeś Zosię. Z perspektywy czasu widzę to tak, że po kilku latach związku czuliśmy powinność, by przejść na kolejny etap.

Dlatego poczyniliśmy kroki, zaczęliśmy planować. Czasem z większą energią, innym razem z przymusu. Nie wiem, co by było po ślubie.

Ty nie byłeś i nie jesteś gotowy, by opuścić mieszkanie, które ma dla ciebie tak ogromną wartość. Ja szukałam i oczekiwałam od przyszłości czegoś innego. Nadal tak jest. Jak zamierzaliśmy to pogodzić, Kuba? – zapytała z pobłażliwym uśmiechem.

Kryła się za nim, choć w jej oczach wzbierały małe, błyszczące łzy.

Bolało. Mnie, bo nie tego dla nas chciałem. Ją, bo się tego spodziewała. Nas, bo właśnie coś ważnego kończyło się bezpowrotnie.

– Też wiele razy zadawałem sobie to pytanie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Do dziś nie znalazłem na nie odpowiedzi.

– Byłeś, jesteś i będziesz dla mnie bardzo ważny. – Po tym zdaniu uroniła jedną łzę, która samotnie spłynęła po jej policzku. Chciałem ją szybko zetrzeć, ale mnie powstrzymała. –

Myślę, że ty i Zosia to przeznaczenie.

– Jak możesz tak mówić, skoro zламаłem ci serce? – zapytałem z niezrozumieniem. Niewiele brakowało, bym sam zalał się łzami.

Pieprzyć to, że chłopaki nie płaczą.

– Złamałeś, ale nie mogę cię za to znienawidzić. Nienawidziłabym kłamstwa, bycia tą drugą, życia w iluzji udanego związku. Za uczucia nikt nic nie może. To prawda stara jak świat. Czasem dwoje ludzi spotyka się przypadkiem i nic już później nie jest takie samo. Ty i ona jesteście dla siebie tak bardzo, jak ja i ty nigdy byśmy nie byli –

odpowiedziała i sięgnęła swoją delikatną, zadbaną dłonią do mojego policzka. Pogładziła zarost i skórę, uśmiechnęła się przez łzy.

Zawsze wiedziałem, że była wyjątkowa, ale chyba aż do tej chwili nie miałem świadomości, jak bardzo.

– Nie tak miało być, Martyna...

Pokręciła głową.

– I tu się mylisz. Właśnie tak miało być, tylko o tym nie wiedzieliśmy – uściśliła z przekonaniem.

Nie wytrzymałem. Przytuliłem ją, a z moich oczu potoczyły się łzy.

Płakałem przez to, co jej zrobiłem, choć miała rację, że nie mogłem nic poradzić na uczucia do Zośki. One po prostu się we mnie pojawiły. Silne, zdecydowane, niemożliwe do pokonania. Bolało, że ta miłość krzywdziła naprawdę wartościową kobietę, w której latami upatrywałem mojej drugiej połówki. Może byłoby odrobinę łatwiej, gdyby się wściekła, wykrzyczała mi w twarz, jakim jestem draniem, i trzasnęła drzwiami. Jej akceptacja, pogodzenie się, zrozumienie...

To powaliło mnie na łopatki. Spodziewałem się przeróżnych reakcji, ale nie takiej, jaką otrzymałem.

– Masz we mnie bratnią duszę. Zawsze – wyszeptła wprost do mojego ucha, tuląc mocno. – Zajmę się odwołaniem wszystkiego.

Będę cię informować, co zostało załatwione, okej? – Odsunęła się i spojrzała mi w oczy z bardzo bliska.

Nie wstydziłem się przed nią płakać. A ona nie miała oporów, by wytrzeć moje łzy i uśmiechnąć się po raz kolejny z tą swoją niewiarygodną akceptacją dla całej sytuacji.

– W porządku – wydukałem.

I tyle. Pożegnała się i wyszła. Choć w ostatnich tygodniach kłóciliśmy się o większe bądź mniejsze pierdoły, to rozeszliśmy się w całkowitej zgodzie, bez krzyków, złości, wyrzutów.

Byłem doszczętnie rozbity po tej rozmowie. Siedziałem na kanapie przez całą noc i patrzyłem w jeden punkt, wspominając nasze wspólne lata i etap, który tego dnia przeszedł ostatecznie i w całości do czasu przeszłego, bez szans na teraźniejszość i przyszłość.

Nad ranem mój telefon ożywił się, informując o nadejściu SMS-a.

Sięgnąłem po niego i zobaczyłem, że to wiadomość od Martyny. Tej nocy chyba i ona nie zmrużyła oka.

„Before you go”, Lewis Capaldi. Posłuchaj. Proszę.

Od razu odpałiłem Spotify i włączyłem tę piosenkę. Głęboki, lekko ochrypły głos wokalisty wypełnił moje uszy. Tekst zaczął przetaczać się przez moje ciało falami.

W ten sposób się ze mną żegnała.

Zanim odejdiesz...

24. Zośka

Pani Stasia dzwoniła każdego dnia. Czasem jej głos był pełen wigoru, innym razem ledwie wypuszczała z siebie słowa. Lubiła rozmawiać o czymkolwiek, pytała też o mnie i moje dziecko.

Odnosiłam wrażenie, że chce zbierać jak najwięcej informacji, póki jeszcze może. Nie wspominała o swojej chorobie, czasem tylko mówiła, jak się czuje, ale to tak raczej przy okazji, aniżeli po to, by sprowadzić naszą rozmowę na temat tego, co ją spotkało.

Za każdym razem, gdy słyszałam ją po drugiej stronie, towarzyszyły mi dwa główne uczucia: ulga, że nadal tam jest, i przygnębienie, bo nie wiedziałam, ile jeszcze takich telefonicznych spotkań nam zostało.

Pewnego razu poradziła mi, bym nie skupiała się na tym, co aktualnie mnie smuci, lecz cieszyła się ostatnimi tygodniami z brzuszkiem i przygotowywała do zmiany, która nadchodziła wielkimi krokami.

– Ja się bardzo cieszę na to, co nadejdzie niebawem, pani Stasiu – powiedziałam szczerze i już otwierałam usta, by dodać „ale”, gdy mnie uprzedziła:

– Skup się na tym, proszę. Wszystko inne jakoś się ułoży – odparła swoim ciepłym, pokrzepiającym głosem.

To wcale nie była prawda. Wręcz przeciwnie. Przecież ona nie miała już szans wyzdrowieć i dożyć sędziwej starości, jak więc mogła twierdzić, że wszystko się jakoś ułoży?

Kilka dni po tamtej rozmowie znów odebrałam telefon, myśląc, że dzwoni pani Stasia. Oblał mnie zimny pot, gdy po drugiej stronie usłyszałam nieznanego męskiego głosu:

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Zofią?

Nie! Tylko nie to! Jeszcze nie czas, to za wcześnie... Proszę, proszę, proszę! To niemożliwe! – wszystko we mnie wrzeszczało, serce zaczęło rozbijać się o klatkę piersiową, ledwie łapałam kolejne oddechy.

Usiadłam szybko na krześle w kuchni, bo wiedziałam, że dalszej części tej rozmowy nie dam rady przetrwać na stojąco.

– Tak, przy telefonie – potwierdziłam zduszonym głosem.

Rzeczywiście zdołałam wyartykułować to na głos czy może odpowiedziałam jedynie w mojej głowie?

– Mam na imię Jan i jestem mężem Stanisławy – zaczął powoli.

Wyrażał się bardzo grzecznie, jakby długo przygotowywał się do tej rozmowy. – Dzwonię do pani, ponieważ...

Wdech i wydech. Zacisnęłam oczy z całych sił, bo nie chciałam, by padły kolejne słowa. Przecież jeszcze wczoraj rozmawiałam z panią Stasią, śmiała się nawet i żartowała. Co mogło stać się tak nagle, że dziś dzwonił jej mąż, by zapewne przekazać mi, że...

Cholera, przecież nie urodziłam się wczoraj. Wiedziałam, że rak bywa nieprzewidywalny. Niemalże z dnia na dzień sytuacja chorego mogła zmienić się z pozornie dobrej na taką, która zagraża życiu lub kończy się śmiercią.

Jeśli ta cudowna staruszka odeszła...

Tylko nie to – prosiłam w myślach.

A jednak wiedziałam, że żadne modlitwy już nie pomogą. Taka przecież była umowa: miałyśmy kontaktować się ze sobą dopóty, dopóki pani Stasia będzie wśród nas. Jeśli nadejdzie jej chwila, wówczas miał poinformować mnie o tym jej mąż lub synowie. Ten pierwszy właśnie znajdował się po drugiej stronie linii.

– Moja żona trafiła wczoraj do szpitala, bo poczuła się gorzej, i prosiła, żebym poinformował panią, że dziś nie zadzwoni. Narobiła nam ogromnego strachu, na szczęście dziś skontaktował się ze mną lekarz i powiedział, że jest mile zaskoczony, bo wyniki Stanisławy są lepsze niż tydzień temu, a i ona sama nabrała wigoru i chciałyby niezwłocznie wrócić do domu, na co oczywiście pozwolić nie mogą – powiedział, a ja wyczułam, że się uśmiecha.

Omam nie popłakałam się z ulgi, która spłynęła na mnie wartkim strumieniem. To była cudowna wiadomość!

– A ja już myślałam, że... – wydukałam głosem balansującym na granicy płaczu.

– Wiem. Żona uprzedziła mnie, że miałyście konkretną umowę na wypadek jej odejścia, dlatego nic dziwnego, że pani pomyślała o najgorszym, usłyszawszy mój głos. Na szczęście to nie ten moment.

Brzmiał sympatycznie. Wyobraziłam sobie miłego, starszego pana po drugiej stronie.

– I oby jeszcze długo nie nadszedł.

– Wszyscy wierzymy, że czas Stanisławy nie jest tak ograniczony, jak jakiś czas temu mówili lekarze. Ona jest niewiarygodnie silna.

Nasza córka zmarła na nowotwór kilka lat temu i ta tragedia z czasem chyba jeszcze bardziej ją umocniła. Teraz mierzy się z przeciwnikiem, jakby w ogóle jej nie zagrażał, choć wiadomo, że jest inaczej.

Pan Jan niespodziewanie podzielił się ze mną swoimi uczuciami względem żony. Słuchałam go poruszona i zaciekawiona jednocześnie.

– Wydaje mi się, że nie ma większej tragedii niż śmierć dziecka, niezależnie od tego, ile by miało lat – powiedziałam dokładnie to, co czułam.

Perspektywa czasu i niezliczona ilość godzin spędzonych na przemyśleniach pozwoliła mi dojść do wniosku, że los w jakimś sensie wszystko to sobie zaplanował.

Rodzice nie musieli zmierzyć się ze śmiercią Sebastiana, bo on postanowił dołączyć do nich, gdyż sobie nie radził. A gdyby wszystko potoczyło się inaczej? Gdyby mama i tata musieli przeżyć utratę syna?

Nawet nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić, bo moja głowa po prostu się blokowała, i chyba mogłam jej być za to wdzięczna.

– Całkowicie się z panią zgadzam. Odejście dziecka to tragedia, z którą nie sposób się pogodzić. Żaden rodzic nie powinien czegoś takiego doświadczyć... Nasza córka była tak waleczna jak Stanisława.

Wierzyłem, że jej się uda. Jednak nowotwory o podłożu genetycznym to prawdziwe cholerstwo. A w rodzinie żony pojawia się od lat.

Jego posępny głos sprawił, że zakłuło mnie w sercu. Tosia jakby wyczuła, że mój nastrój daleki jest od radosnego, i zaczęła energicznie ruszać się i kopać, co zawsze było takim niezastąpionym promyczkiem radości. Nawet teraz, gdy rozmowa potoczyła się w tak dołującym i ponurym kierunku.

– Pani Stasia opowiadała. To straszne... Bardzo panu współczuję – powiedziałam szczerze. To musiało niszczyć go od środka. Najpierw córka. Teraz żona...

Strata goniła stratę. Zupełnie jak w moim przypadku.

– Życie już takie jest. Raz na wozie, raz pod wozem, a jeszcze innym razem ten wóz robi z ciebie mokrą plamę. Niby jestem przygotowany na pożegnanie z moją ukochaną, ale to wcale nie jest prawda.

Zastanawiałam się, jak go pocieszyć. Co powiedzieć, by poczuł się choć odrobinę lepiej. W takiej sytuacji nie ma odpowiednich słów, jakiegoś złotego środka, który mógłby uratować człowiekowi nastrój.

Wzięłam głęboki oddech, myśląc gorączkowo. Miałam w głowie pustkę.

– Trzeba trzymać się tego, że to jeszcze nie czas. Pani Stasia jest blisko i to najważniejsze – powiedziałam w końcu, a pan Jan podziękował mi, że dodałam mu otuchy. Te słowa wiele dla mnie znaczyły, choć tak naprawdę nie zrobiłam nic wielkiego.

Poprosiłam jeszcze, by przekazał pozdrowienia dla żony, po czym się pożegnaliśmy i rozmowa dobiegła końca. Chwilę trwało, nim uspokoiłam szalejące pod wpływem adrenaliny emocje.

Zajęłam się prasowaniem świeżo wypranych ubranek dla Tosi.

Wera przyniosła mi trzy pojemniki ciuszków niemowlęcych w uniwersalnych wzorach, które można było włożyć zarówno dziewczynce, jak i chłopcu. Większość wyglądała, jakby nigdy żadne dziecko nie miało ich na sobie, a wiedziałam, że to elementy dawnej garderoby jej synów. Prasowanie było jedną z tych czynności domowych, którą bardzo lubiłam, bo zawsze działała na mnie uspokajająco. Znajdowałam się pod baczna obserwacją mojej czarnej koteczki, która odpoczywała na parapecie okna. Delikatnie podrywała końcówkę ogona i machała nią, jakby i ona intensywnie nad czymś myślała.

Pani Stasia miała się dobrze. Trafiła do szpitala, ale na szczęście nic złego się nie wydarzyło.

Wdech i wydech.

To jeszcze nie ten czas.

*

Usłyszałam pukanie do drzwi, gdy właśnie myłam zęby po niespodziewanych mdłościach – czułam się dobrze, gdy nagle rozboleła mnie głowa, a po chwili brzuch, i już musiałam lecieć zwrócić zawartość żołądka do muszli. Lekarz wspominał, że niektórym kobietom tak się zdarza w trzecim trymestrze. Wyglądało na to, że ja byłam właśnie tą jedną z niewielu „szczęściar”.

Doprowadziłam się szybko do porządku i zerknęłam przez przeziernik, pewna, że to Wera. Mógł wpaść też Kuba, choć on zazwyczaj w tych godzinach pracował w swoim studio.

Przez ułamek sekundy przestraszyłam się, że to może Radek.

Okazało się zaś, że na progu mojego mieszkania czekała Martyna.

Otworzyłam jej drzwi z przeklejonym do ust uśmiechem. Zdziwiło mnie, że przyszła. Jak do tej pory nigdy nie odwiedzała mnie w pojedynkę. Co się zmieniło?

– Hej – powiedziałam na powitanie, maskując zaniepokojenie lekkim tonem.

– Cześć. Mogę zająć ci chwilę? – zapytała, a ja od razu zauważyłam, że nie tryska dziś swoją zwyczajową energią. To trochę do niej niepodobne...

– Jasne! Wejdz.

Wpuściłam ją do środka, poprosiłam, żeby nie zdejmowała butów w korytarzu, a gdy odwiesiła płaszcz na wieszak, obie przeszłyśmy do salonu.

– Usiądź. Napijesz się czegoś? – zaproponowałam.

- Nie, Zosiu – zaprzeczyła i uśmiechnęła się w sposób, który wydał mi się... smutny.
- Czy coś się stało?

Nie byłyśmy przyjaciółkami i wiedziałam, że nigdy nimi nie zostaniemy, choć ona w pewnym sensie chyba właśnie o taką relację zabiegała. Jednak różniłyśmy się od siebie zbyt mocno, by to mogło wypalić. No i coś jeszcze całkowicie niszczyło szansę na bliższą znajomość...

- Rozmawiałam wczoraj z Kubą. Powiedział mi.

Stos ciężkich kamieni wypełnił mój żołądek w przeciągu sekundy.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Te dwa zdania wystarczyły, by zrozumieć nietypową energię bijącą od Martyny. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Stres w ciąży nie był wskazany, a ja miałam go mnóstwo i bałam się, że zaszkodził Tosi. I teraz jeszcze to.

– Martyna, ja... – Próbowałam coś wydukać, ale czułam się całkowicie bezradna wobec jej wypełnionego smutkiem spojrzenia.

Cierpiała. Czy mogłam się temu dziwić? Przecież kochała swojego narzeczonego, długo byli razem, tworzyli wspólne plany. I nagle to wszystko runęło jak domek z kart. Czułam się tak bardzo winna.

– Nie jestem na ciebie zła. Nie przyszłam tutaj, by zmieszać cię z błotem. Po prostu wszystko ułożyło się w całość. – Zaśmiała się pod nosem bez ani krzty rozbawienia, po czym pokręciła głową, jakby odganiała niepotrzebne myśli. – Zastanawiałam się, dlaczego tak uparcie trzymasz mnie na dystans, choć się starałam, byśmy mogły poznać się lepiej. Nie wiedziałam, co robię źle, a ty po prostu nie chciałeś mnie polubić.

- To nie tak... – zaoponowałam.

Bzdura. To było właśnie tak, jak mówiła.

– Zosiu, spokojnie. – Uśmiechnęła się blado. – Nie mam pretensji do Kuby. Nigdy też nie będę mieć pretensji do ciebie. Myślę, że tak po prostu musiało być. On nie jest facetem, który działa pod wpływem impulsu. Jeśli postanowił powiedzieć mi o tym, co do ciebie poczuł, to znaczy, że jest o tym w pełni przekonany i dobrze wszystko przemyślał. A uczucia to taka specyficzna sfera, która lubi wymknąć się spod kontroli w najmniej spodziewanym momencie.

I wtedy jesteśmy bezbronni.

Nie mieściło mi się to w głowie. Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami i zastanawiałam się, czy żartuje... Która skrzywdzona przez narzeczonego kobieta zachowałaby się w taki sposób jak ona? Bił od niej spokój, a choć starałam się doszukać też cienia złości, to niczego takiego nie zauważałam. Powiedzieć, że mi zaimponowała, to jakby nie powiedzieć nic.

– Dlaczego nie jesteś wściekła? Przecież planowaliście ślub i nagle wszystko się posypało... – wyszeptałam, bo naprawdę czułam, że niczego z tej sytuacji, a przede wszystkim jej zachowania nie rozumiem.

- Kuba zachował się fair. Nie przeciągał, nie udawał, nie kłamał.

Nie wiem, czy doszło do czegoś między wami, zanim się dowiedziałam, ale...

– Nie, Martyna. Nie doszło – odpowiedziałam od razu, by nie miała co do tego wątpliwości.

Uśmiechnęła się łagodnie, jakby poczuła ulgę.

– To dobry facet. Taki doskonale niedoskonały, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wiem, że jeśli istnieje kobieta, która należycie doceni go takim, jaki jest, to właśnie na nią patrzę –

powiedziała z przekonaniem.

Odebrało mi mowę. Stałyśmy naprzeciwko siebie, patrzyłyśmy sobie w oczy i milczałyśmy. Dopiero po kilku sekundach dostrzegłam pojedynczą łzę spływającą po jej policzku. Niemal słyszałam, jak pod ciężarem wyrzutów sumienia pęka mi serce. Wiedziałam, jak boli rozstanie. A ją mogło boleć jeszcze bardziej, bo przecież ona i Kuba mieli być za moment małżeństwem.

Podeszłam do Marty i po prostu ją przytuliłam.

– Przepraszam. – Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydobyć, choć wiedziałam, że to stanowczo za mało.

– Nie przepraszaj. – Pociągnęła nosem i odsunęła się. – Dbaj o siebie i córeczkę... – dodała i wykonała krok w tył.

– Co teraz będzie? – zapytałam szybko, bo czułam, że jeszcze nie wszystko zostało powiedziane.

– Ze mną?

– Tak.

– Mam swoje mieszkanie, dobrą pracę, pasję, które dodają mi skrzydeł. Lubię podróżować, za czym z kolei Kuba nigdy nie przepadał, więc pewnie wybiorę się na jakiś zagraniczny urlop i odreaguję. Dam sobie radę. – Kolejny raz ukryła się za uśmiechem, który jednak nie dotarł do jej błyszczących od łez oczu.

Przytaknęłam i w myślach odpowiedziałam, że trzymam za nią kciuki. Była dobrym człowiekiem, serdeczną osobą. Z godnością zniosła cios, jaki wspólnie z Kubą jej zadaliśmy.

Pożegnaliśmy się zdawkowo. Coś właśnie nieodwracalnie i ostatecznie dobiegło końca. Miałam świadomość, że nasze miasto nie było na tyle duże, byśmy już nigdy się nie spotkały. Może pewnego dnia zdołam spojrzeć na nią, nie czując się przygnieciona przez wyrzuty sumienia. I zrozumieć jej akceptację dla tego, co się wydarzyło, bo dziś była dla mnie wprost niewyobrażalna.

*

Pokoik Tosi był już gotowy. Pod koniec października wzbogaciłam wnętrze o ostatnie drobiazgi, włożyłam do ramek zdjęcia Sebastiana, moich rodziców i babci. Życie potoczyło się tak, że moja córka nigdy ich nie pozna, więc chciałam, by patrzyli na nią chociaż z fotografii.

Pewnego dnia opowiem jej, jak cudownymi i ważnymi byli dla mnie ludźmi.

Na barierkach łóżeczka zawiesiłam karty kontrastowe, bo to właśnie kontrasty jako pierwsze zaczynał rejestrować wzrok noworodka. Stworzyłam również kontrastową girlandę nad przewijakiem i byłam naprawdę zadowolona z efektu. Wszystko czekało na moment, gdy maleństwo zdecyduje, że chce już przyjść na świat.

Podczas ostatniej wizyty doktor poinformował, że Tosia ułożyła się już główką w dół. Na tym etapie ciąży istniały już niewielkie szanse, by jeszcze zmieniła pozycję, dlatego zgodnie z zaleceniami pani położnej każdego dnia po kilka razy ćwiczyłam techniki oddechu, które na sali porodowej mogły przynieść mi jakąkolwiek ulgę.

Zaczynałam od oddechu przeponowego, następnie skupiałam się na oddechu relaksacyjnym, a kończyłam „dmuchaniem świeczki” – tak nazwano technikę służącą do powstrzymywania parcia, gdyby poród postępował zbyt szybko.

Czułam się gotowa na to, by całe moje życie uległo zmianie na zawsze. Nie chciałam być już jednostką, marzyłam o wzięciu odpowiedzialności za istotę, którą... będę kochać tak, jak nigdy nikogo na świecie.

W dziewiątym miesiącu każdy dzień traktowałam jako ten, w którym wszystko się może zmienić. Torba do szpitala leżała w pełni spakowana na komodzie w korytarzu, podobnie jak nosidełko i ubranka, które przygotowałam na dzień wypisu. Żyłam już tylko tą jedną chwilą.

W oczekiwaniu towarzyszył mi Kuba. Przychodził do mnie niemal każdego dnia. Był obok, otaczał swoją troską, lecz niczego na mnie nie wymuszał. Chyba czuł, że to dla mnie jeszcze zbyt wcześnie.

Wera także trzymała rękę na pulsie i powtarzała mi, że mam dzwonić, jeśli się zacznę. Była przy mnie też Sabina, która ekscytowała się niesamowicie na myśl o trzymania w ramionach noworodka.

A pani Stasia... Dzwoniła codziennie od momentu powrotu ze szpitala. Jej głos brzmiał całkiem raźnie, choć przeszło mi przez myśl, że może udawać, by oszczędzić mi zmartwień przed porodem.

Był dwudziesty trzeci listopada, gdy znów miałyśmy siebie na linii.

Staruszka zdawała mi relację z popołudnia spędzonego z wnuczkami, z którymi wypiekała kruche ciastka, ja starałam się zaangażować w rozmowę, ale borykałam się już ze skurczami. Nie były specjalnie bolesne, ale brzuch twardniał i robił się kwadratowy.

– A ty jak się czujesz, kochana? – zapytała radośnie pani Stasia.

– Całkiem w porządku, chociaż od rana mam lekkie skurcze, które się powtarzają.

– Och! Myślisz, że to już?

Wyłapałam nutę poruszenia w jej głosie. Jeśli to rzeczywiście było „już”, to oznaczało, że... doczekała tego momentu. Choć spodziewała się, że będzie inaczej.

– Ciężko stwierdzić. Towarzyszą mi już kilka godzin, ale nie są ani regularne, ani mocniejsze niż rano – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Jeśli sytuacja się rozwinie, to daj mi, proszę, znać. Będę się modlić za ciebie i Tosię – powiedziała rozemocjonowanym głosem, a ja obiecałam, że poinformuję ją, gdyby coś się zmieniło.

Gdy po skończonej rozmowie telefonicznej udałam się do toalety, dostrzegłam na bieliźnie coś, co w czasie ciąży z pewnością ani razu się nie pojawiło. Była to grudka brązowej galarety, którą od razu zidentyfikowałam jako czop śluzowy. Serce zabiło mi mocniej. Po powrocie do salonu natychmiast wpisałam w wyszukiwarkę Google zapytanie, czy oderwanie czopu śluzowego jest jednoznaczne z rozpoczęciem porodu. Dowiedziałam się, że nie, ponieważ czop często wypada nawet dwa tygodnie przed faktycznym porodem. Ale aż do wieczora skurcze powtarzały się co dziesięć lub piętnaście minut. Czułam, że coś się dzieje, ale miałam zakodowane w głowie słowa położnej: nie ma sensu jechać do szpitala, jeśli skurcze są nieregularne i niezbyt mocne.

W nocy jednak nie zmrzyłam oka – bolało nieco bardziej niż w ciągu dnia, ale nadal nie było wymaganych odstępów i regularności.

Kolejnego dnia wpadłam na pomysł, by ściągnąć sobie aplikację, która liczy skurcze i ich długość. Nie miałam ochoty na jedzenie, byłam wymęczona brakiem snu i marzyłam o choć krótkiej drzemce dla minimalnej regeneracji.

Kuba wpadł do mnie po południu. Wcześniej poprosiłam, by nie pukał, tylko od razu wchodził, bo zostawiam drzwi otwarte. Zastał

mnie wyciągniętą na kanapie i od razu zauważył, że coś jest nie tak.

– Źle wyglądasz – zaniepokoił się.

– Od wczoraj mam nieregularne skurcze i nie spałam w nocy nawet minuty – odpowiedziałam z ciężkim westchnieniem.

Zmarszczył brwi i podszedł bliżej. Przyłożył dłoń do mojego brzucha akurat w chwili, gdy ten ponownie zrobił się twardy jak kamień, a ja poczułam ból promieniujący aż do pleców.

– W skali od jeden do dziesięciu, jak boli?

– Sześć – odparłam ciężko. – Bardziej niż wczoraj. Ale skurcze trwają krótko i nie ma regularnych odstępów.

– Może to już czas, żeby jechać do szpitala? – zapytał z przerażeniem w oczach. Wtedy oboje poczulśmy silne kopnięcie prosto pod jego dłoń. Zaśmiał się z czułością.

– Wygląda na to, że zbierasz się do wyjścia na świat, księżniczko. Bardzo na ciebie czekamy.

Te słowa całkowicie roztopiły mi serce. Miałam ochotę sięgnąć do twarzy Kuby i pogłodzić ją z wdzięcznością i...

Przełknęłam ślinę. Tak, z jeszcze jednym uczuciem, które coraz śmieiej opanowywało moje serce, choć nie miałam odwagi, by wyrazić je na głos.

Po tym, co zgotował mi Radek, byłam przerażona. Ale wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że Kuba jest inny.

– Za wcześnie. Musi się jeszcze rozkręcić – odparłam. – To może jeszcze potrwać.

Długo. Bardzo długo.

W końcu zdecydowałam się zadzwonić do położnej. Nie miałam lepszego pomysłu, a zmęczenie zaczynało dawać mi się coraz bardziej we znaki. Kuba cały czas był przy mnie i widziałam, że bardzo przeżywa to, co się dzieje.

– Zosiu, ciężko mi ocenić, czy są to już skurcze porodowe –

powiedziała kobieta po drugiej stronie. – Odstępy są jeszcze duże, brak regularności do tego. Myślę, że dobrym wyjściem będzie ciepły prysznic. Woda często weryfikuje skurcze. Albo się rozejdą, albo nabiorą mocy.

Poszłam za jej radą. Udałam się do łazienki i spędziłam w niej kwadrans, podczas którego przeszłam dwa mocne skurcze. Po powrocie do salonu czekała już na mnie rozłożona kanapa, poduszka oraz kołdra, a do tego kubek ciepłej herbaty. Popatrzyłam na Kubę, który wyglądał, jakby czekał na moją reakcję. Miał niepewną minę.

– Jak ja mam ci się za to wszystko odwdziaczyć? – spytałam wzruszona.

Wyglądałam niewyjściowo. Luźne spodnie od piżamy, zbyt duża koszulka, szary szlafrok i mokre po umyciu włosy. A on patrzył na mnie tak, że wprost brakowało mi tchu. Z błyskiem w oku, czułością, troską i czymś bardzo intensywnym, ważnym i trafiającym prosto w najczulsze struny moich emocji. Jakbym... była najpiękniejsza na świecie.

– Pozwól mi być przy sobie – odpowiedział głębokim, niskim głosem.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Choć żadne z nas nie złożyło żadnej deklaracji, wiedziałam, że dzisiejszej nocy Kuba zostanie ze mną. A bardzo tego chciałam, niepewna, co wydarzy się w kolejnych godzinach. Z nim było mi łatwiej, różniej i przede wszystkim czułam otulające mnie z każdej strony bezpieczeństwo.

Położyłam się na kanapie, a chwilę później uruchomiliśmy telewizor i zaczęliśmy oglądać jakiś film komediowy na jednym z kanałów.

Kuba siedział na podłodze blisko mnie. Mogłam sięgnąć dłonią i dotknąć jego włosów, gdybym tylko zebrała się na odwagę. Był tak blisko, ale coś ciągle mnie powstrzymywało.

Leżałam na boku, popijałam herbatę małymi łykami i znosiłam kolejne, coraz mocniejsze skurcze. Pojawiały się co siedem lub pięć minut. To nadal zbyt rzadko, a jednak wiedziałam już, że czeka mnie kolejna nieprzespana noc.

A ja nie miałam już siły, co brzmiało dosyć niedorzecznie, biorąc pod uwagę, że od porodu dzieliło mnie już niewiele. Wszystkie znaki wskazywały na to, że przytulę moje maleństwo już niebawem. Tak bardzo tego pragnęłam. I równie mocno się bałam.

– Jak się czujesz? – zapytał Kuba.

Patrzył na mnie z bliska. Widziałam w jego oczach tyle przeróżnych emocji, ale każda działała na mnie kojąco. Chciałam się w tym zatracić bez reszty.

– Nasilają się... Nadal nie są regularne – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Pomyślałem, że może... zostanę tu dzisiaj. Masz coś przeciwko? – zapytał niepewnie.

Gdyby tylko wiedział, jak ogromny kamień spadł mi z serca.

– Nie. Wręcz przeciwnie – odpowiedziałam z nagłą śmiałością. –

Możesz... położyć się obok mnie? – zapytałam po chwili.

Popatrzył na mnie przenikliwie. W jego wyrazie twarzy coś znacząco się zmieniło. Wyglądał, jakby miłe zaskoczenie mieszało się z niedowierzaniem. Wstał bez słowa, a po chwili usadowił się za mną i... przytulił na łyżeczkę.

Zastanawiałam się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy tylko w mojej głowie. Ciepło jego ciała zaczęło przenikać przeze mnie, rozgrzewać od środka i roztapiać wszelkie obawy, burzyć mur.

Poczułam, jak nieśmiało przesunął dłoń na mój brzuch. To była tak intymna chwila, że na policzki wstąpiły mi rumieńce.

Ten chłopak, który lata temu stanowił podporę dla mnie i mojego brata, z którym kiedyś łączyła mnie wyłącznie przyjaźń, platoniczna więź, teraz sprawiał, że pomimo nasilającego się bólu i ogromnego ciężowego brzucha czułam się... niezwykle. Przykryłam jego dłoń swoją i splotłam nasze palce. Serce biło mi jak szalone.

Doświadczałam emocji, które ekscytowały mnie jak nastolatkę.

Drżałam od środka, po plecach przebiegały mi dreszcze.

W tej chwili umacnialiśmy naszą więź, jednak na zupełnie innym poziomie. Czuliśmy wspólnie każdy kolejny skurcz, Kuba tulił mnie do siebie, szeptał, że wszystko będzie dobrze, dodawał sił i otuchy, która była mi potrzebna z minuty na minutę coraz bardziej. Słabłam, a jeszcze tyle wysiłku przede mną...

Westchnęłam cicho, gdy pocałował delikatną skórę pod moim uchem. Przymknęłam na moment powieki i pozwoliłam, by zrobił to jeszcze dwa razy.

– Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy – wyszeptał.

On za to nie wiedział, co działo się ze mną pod wpływem jego bliskości.

– Kuba... – Tylko tyle zdołałam wypowiedzieć.

– Będę cierpliwy. Wierzę, że na wszystko przyjdzie czas, a my mamy go dużo. Jeszcze wiele przed nami. Poczekam tyle, ile będzie trzeba, żebyś otworzyła dla mnie serce. Bo w moim już jesteście. Ty i Tosia. Nie jest moja, ale... będę ją kochał, jakby była.

Po policzkach popłynęły mi łzy. Obróciłam się do niego i wtuliłam twarz w zagłębienie jego szyi.

Ten zapach, to ciepło... Chciałam się w nim zatracić bez reszty.

*

O czwartej rano nie byłam w stanie już wytrzymać. Kuba się zdrzemnął koło drugiej, a ja nie dałam rady zasnąć nawet na minutę.

Skurcze były już bardzo silne, bolało mnie mocno w części lędźwiowej pleców i w mięśniach ud. Z trudem usiadłam i starałam się pomóc sobie oddechem.

Zaczęło się na dobre.

Obudziłam śpiącego obok mnie mężczyznę najdelikatniej, jak potrafiłam.

– Co się dzieje? – spytał zaniepokojony.

– Czas jechać – odparłam z przerażeniem przebijającym się przez mój pozornie spokojny głos.

Kuba usiadł natychmiast i potarł twarz rękami.

– Jesteś pewna? To już?

– Zdecydowanie. Z tego bólu nie jestem już w stanie leżeć.

Dalej wszystko potoczyło się szybko. Ubrałam się, sprawdziłam, czy mam wszystkie niezbędne dokumenty, wzięłam torebkę, a Kuba od razu przejął torbę czekającą w korytarzu. Pomógł mi założyć płaszcz, zadbał o to, żeby zamknąć mieszkanie, i razem zeszliśmy po schodach, po czym opuściliśmy kamienicę.

Samochód miał zaparkowany na szczęście w pobliżu bramy, więc dotarliśmy do niego szybko.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział pełnym emocji głosem, a ja zastanawiałam się, czy w ten sposób chce uspokoić mnie, czy bardziej siebie.

Denerwował się. Ja z kolei odczuwałam lekki stres, ale ogólnie rzecz biorąc, towarzyszył mi spokój. Nie miałam siły skupiać się na negatywnych myślach, bo całą moją uwagę skoncentrowałam na wzmagającym się bólu skurczowym.

Do szpitala powiatowego dotarliśmy piętnaście minut później. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Kuba pomagał mi na każdym kroku, niósł torby, zaprowadził do wejścia. Po ostatnich zmianach i przebudowie znacznej części budynku nie musieliśmy na szczęście zgłaszać się najpierw do recepcji, pielęgniarz kręcący się po korytarzu na parterze od razu wszedł z nami do windy i pokazał drogę na oddział ginekologiczno-położniczy. Z emocji zapomniałam, jak bardzo bałam się tych ciasnych przestrzeni wind...

Wszędzie panowała cisza jak makiem zasiał. Jakby w pobliżu nie było nikogo poza nami. Stanęliśmy przed przeszklonymi, dwuskrzydłowymi, opisanymi drzwiami i popatrzyliśmy na siebie.

– Dalej muszę iść już sama – powiedziałam z przejęciem. Dopiero teraz zaczynało do mnie docierać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Przypomniało mi się, że zawsze nienawidziłam szpitali, przerażały mnie. – Jesteś błądny ze strachu – dodałam dla rozładowania atmosfery i uśmiechnęłam się lekko.

– To dla mnie spore emocje – przyznał i zawstydzony podrapał się po karku. – Wiem, że sobie poradzisz. Jesteś jedną z najsilniejszych

kobiet, jakie znam. Po prostu chciałbym, żebyś miała to już za sobą.

– Jeszcze trochę i będę miała. Dam radę – odpowiedziałam i przytaknęłam, by samej sobie dodać odwagi i przekonania, że wszystko pójdzie gładko.

Kuba przesunął powolnym spojrzeniem po mojej twarzy. Sekundę później ujął ją w swoje dłonie i zagłębił się w moich oczach. To była jedna z tych kradzionych, ważnych chwil, które pozostają w człowieku na zawsze. Staliśmy w szpitalnym korytarzu, skąpanym w półmroku, ani żywej duszy wokół nas. Tosia kopała intensywnie, brzuch twardniał w coraz mniejszych

odstępach czasu, a ja miałam dość siły, by jeszcze na moment zatracić się w bliskości Kuby i pozwolić sobie na to, bym roztopiła się od środka...

Widziałam, jak się zbliża, nieznośnie wręcz powolnie, a ja tak czekałam. Nie istniał bardziej odpowiedni moment na to, by mnie pocałował. Chciałam tego właśnie teraz.

Jego usta opadły na moje miękko i delikatnie. Był czuły i skupiony, a ja zachłannie zapisywałam w głowie każdą sekundę. Pachniał sobą i jakimiś ładnymi, nieprzesadnie intensywnymi perfumami. Gładził kciukami skórę na moich policzkach, jego klatka unosiła się szybko, kosmyki ciemnych włosów łaskotały mnie lekko po czole.

Lata temu nigdy bym nie pomyślała, że ja i Kuba możemy się pocałować. Traktowałam go jak brata. Nigdy nie patrzyłam jak na chłopaka, który mógłby mi się podobać. Teraz podobał mi się bardzo. Ten mężczyzna. Nowy, dojrzały, a jednak tak doskonale znajomy. Magnetyczny i opiekuńczy, jak dawniej. Czasem niepewny, zagubiony i skryty. Skomplikowany, ale spragniony tego, by ktoś go zrozumiał.

Odsunął się ode mnie po dłuższej chwili, która i tak była zbyt krótka. Popatrzyliśmy na siebie w milczącym, obopólnym porozumieniu. Uśmiechnęłam się. On odpowiedział mi w ten sam sposób.

A później wzięłam od niego rzeczy – choć oddał mi je niechętnie – i otworzyłam drzwi szpitalnego oddziału. Obróciłam się raz jeszcze przez ramię. Niepokój na jego twarzy mieszał się z otuchą. Ruszyłam dalej. Skurcze przypominały, że muszę. Na oddziale panował półmrok, ta sama co w całym szpitalu cisza, zapach sterylności... Po lewej stronie dostrzegłam otwarte drzwi. Na gumolit w kolorze bladej żółci padała smuga światła. Zajrzałam do środka i zapukałam we framugę.

– Dzień dobry – powiedziałam spokojnie do dwóch kobiet w białych kitlach.

Siedziały obok siebie zmęczone i znużone, bo przecież było kilka minut po piątej, a za niespełną godzinę następowała zmiana personelu. Nic dziwnego, że nie tryskały dobrym humorem.

– Dzień dobry. Pani do porodu? – zapytała starsza z położnych.

Miała obcięte na krótko ciemne włosy i okulary osadzone na czubku nosa.

– Tak. Dwie doby temu wypadł mi czop śluzowy, mam skurcze, które są coraz silniejsze – odpowiedziałam, a wtedy druga z pań zaprosiła mnie do środka.

Usiadłam na kozetce i zaczęłam po kolei przekazywać im wszystkie wymagane dokumenty. Wiadomo, najważniejsze są robota papierkowa i formalności, dopiero później można myśleć o jakichkolwiek badaniach.

– Który to tydzień ciąży? – zapytała młodsza położona w jasnych, ściągniętych w kok włosach.

– Kończy się trzydziesty ósmy – odpowiedziałam i podałam jej moją kartę ciąży.

Przepytywanie i notowanie trwało przez kilka minut. Później musiałam złożyć w dokumentach kilka podpisów, aż wreszcie młodsza poleciła, żebym przebrała się w koszulę ciążową, i zaprowadziła mnie na badanie. W kolejnej ciemnej sali czekał na mnie wiekowy, niemilo wyglądający lekarz. Rozmawiał ze mną,

ziewając ostentacyjnie, a burczał pod nosem tak cicho, że musiałam się bardzo skupiać, by wyłapać, co mówi.

– Płeć: żeńska – wymieniał podczas badania USG, a kobieta siedząca za jego plecami szybko notowała. – Waga: dwa kilogramy, dziewięćset gram. Ułożone głową w dół.

– Damy na piątkę, co? – zaproponowała położna.

Wtedy lekarz uniósł wysoko brwi znad okularów i zgromił ją spojrzeniem tak ostrym, że aż się wzdrygnęłam.

– Czy ty oszalałaś? Ta pani jest już do porodu! Trzy centymetry rozwarcia, miękkie ścianki. Koniecznie na salę przedporodową i pod KTG. Natychmiast.

Kobieta nie ośmieliła się więcej dyskutować. Zaciśnęła usta w cienką linię i oschłym, służbowym tonem poleciła mi, bym za nią poszła. Nie odzywałam się, bo byłam tak zestresowana, że brakowało mi słów. Gdzieś z tyłu głowy miałam zapisane, by dać znać Werze, że jestem już w szpitalu. I zadzwonić choć na chwilę do pani Stasi, bo przecież obiecałam.

Sala przedporodowa znajdowała się przy samej porodówce.

Otrzymałam łóżko w pobliżu drzwi, podłączono mnie do KTG i kazano czekać. Oczywiście panie z personelu niezwłocznie założyły mi wenflon, a później pobiegły do rodzącej za ścianą kobiety, która wyła tak strasznie, jakby ją żywcem obdzierano ze skóry.

Podobno krzyk nic nie pomagał. Za to oddech tak. Tak przynajmniej głosiła teoria, choć wiadomo, że w praktyce, na granicy wytrzymałości bólowej, każda osoba mogła reagować inaczej.

Napisałam wiadomość do Wery: Jestem w szpitalu. Dzisiaj Tosia będzie z nami.

Było jeszcze wcześniej i nie spodziewałam się odpowiedzi, ta jednak nadeszła niemal od razu: Jak to?! Przecież miałaś po mnie dzwonić!

Odpisałam: Kuba był przy mnie i to on mnie przywiózł.

Jakby wywołany do tablicy, odezwał się i on.

Jak sytuacja? Wszystko okej?

Nawet te dwa pytania pobrzmiwały jego ogromnym zmartwieniem.

Jestem na sali przedporodowej. Leżę pod KTG. Czy mógłbyś, proszę, zaopiekować się Prymulką pod moją nieobecność?

W całym tym zamieszaniu wcześniej zapomniałam go o to poprosić.

Jasne! W ogóle nie martw się tym teraz, twoja kicia ma zapewnioną kompleksową opiekę. Dajesz radę ze skurczami?

Jeszcze tak – odpisałam. I po chwili wysłałam drugiego SMS-a: Zaraz zmiana personelu, pewnie znów pójde na badanie.

Zalała mnie adrenalina. Nagle te dwie doby bez snu przestały mieć znaczenie. Czułam się pobudzona przez stres i oczekiwanie na spotkanie z moją córeczką. Tylko godziny dzieliły mnie od tej wyczekiwanej chwili, gdy wreszcie będę mogła wziąć ją w ramiona.

Wera odpisała, bym w miarę możliwości informowała ją na bieżąco o tym, co się dzieje. Sabina, która najwyraźniej dowiedziała się już o wszystkim od Kuby, zapewniła, że trzyma za mnie mocno kciuki i czeka już na Tosię. A ja leżałam na szpitalnym łóżku, gładziłam brzuch, który podskakiwał co chwilę pod wpływem ruchów mojego maleństwa i twardniał naprzemiennie, myśląc z bólem o tym, że ani mój brat, ani rodzice, ani babcia nie mogą przeżywać ze mną tych najważniejszych chwil.

W głowie pojawił mi się mgliście Radek. Był biologicznym ojcem.

Tylko. Nikim więcej. Nie spędził przy mnie jednego dnia, nie zaoferował żadnego wsparcia. Wiedziałam, że czekała mnie z nim jeszcze batalia i bardzo się tego bałam...

*

Miałam ogromne szczęście, że na dyżur przyszedł mój lekarz prowadzący ciążę. Zbadał, dodał otuchy i pokierował działaniami położnych tak, że o godzinie dziewiątej byłam na porodówce.

Trafiłam pod opiekę młodziutkiej położnej o imieniu Daniela.

Otoczyła mnie opieką, proponowała aktywności na piłce, prysznic, zachęcała do spacerowania, by przyspieszyć powiększanie się rozwarcia. Gdy się dowiedziała, że nie spałam od ponad czterdziestu ośmiu godzin, zasugerowała znieczulenie, bym zdrzemnęła się choć trochę.

Poskutkowało – na godzinę straciłam kontakt z rzeczywistością. Obudziłam się, gdy ból skurczy powrócił. Były już częste i mocne, więc pan doktor zdecydował o przyspieszeniu akcji poprzez przebicie pęcherza płodowego.

Towarzyszyły mi przedziwne emocje, ale nie strach. Znosiłam wszystko, co było konieczne. Polegałam na radach pani Danieli i chętnie z nią rozmawiałam, bo to odwracało moją uwagę od bólu, który z godziny na godzinę robił się coraz trudniejszy do wytrzymania.

Kuba powtarzał mi ciągle, że jestem silna. Kiedyś powiedziałam mu, że ja się taka nie urodziłam, po prostu życie nie pozostawiło mi wyboru i musiałam zawalczyć o tę cechę charakteru.

Później zadziały już instynkty. Skupiłam się na swoim cielem, na skurczach partych, zaciskaniu zębów w chwilach nieopisanego bólu, pomaganiu sobie oddechem. Położna dopingowała mnie dzielnie, powtarzała, że zostało mi już naprawdę niewiele i wreszcie ją zobaczę. Moją małą, ukochaną, wyczekaną córeczkę...

– Jeszcze dwa skurcze i będzie z nami, widzę już burzę ciemnych włosów – powiedziała motywująco pani Daniela.

Straciłam poczucie czasu, otoczenia, wszystkiego, co poza mną i moim napiętym od niewyobrażalnego bólu ciałą.

Siła jest kobietą. Dam radę, dam radę, dam radę – powtarzałam w głowie jak mantrę.

– Jeszcze tylko raz, Zosiu!

Zrobiłam to. Jeszcze raz. Ostatni. Zacisnęłam powieki, wydałam z siebie tylko jeden krzyk, kropelki potu spływały mi po skroniach i nagle... Nastąpiła niewyobrażalna wręcz chwila ulgi.

– Mamy ją! – powiedziała głośno położna, a wtedy do moich uszu doszedł najpiękniejszy dźwięk na świecie.

Płacz mojej córeczki.

Po policzkach popłynęły mi łzy. Radości i dumy, bo udało nam się.

Zrobiliśmy to. Byliśmy wreszcie razem.

*

Absolutnie doskonała. Idealna. Najpiękniejsza na świecie.

Leżałam na szpitalnym łóżku, w ogóle nie czułam zmęczenia, chociaż pewnie powinnam, i absolutnie urzeczona wpatrywałam się w twarz mojej córeczki.

Zdążyłam już zrobić jej pierwsze zdjęcie i wysłać Kubie, Sabinie, Werze oraz pani Stasi. Miała czarne włoski, duże niebieskie oczy, mikroskopijny nosek i paluszki, które chciałam zacałować.

Wyglądała jak wszystkie inne noworodki, ale dla mnie była najpiękniejsza na świecie. Położne ubrały jej jasnoróżowy kaftanik i śpioszek do kompletu. Leżała w kwiatowym różku, spokojna, nakarmiona i słodka do granic możliwości. Przepięknie mnie nieopisywalna miłość.

Zapomniałam o całym bólu, który dręczył mnie przed jej narodzinami. O lękach, smartwieniach i smutkach.

To nie było idealizowanie, przecież wiedziałam, że wyleję jeszcze mnóstwo łez i nadejdą gorsze momenty. Liczyłam się z brakiem snu, niekończącym się płaczem Tosi, bezsilnością i stanem określanym jako baby blues. Jednak w tej jednej konkretnej chwili byłam bezgranicznie szczęśliwa i wiedziałam, że nikt nie jest w stanie mi tego odebrać.

Szpitalne łóżeczko stało tuż obok, ale nie mogłam zdobyć się na to, żeby odłożyć tam moją córeczkę. Chciałam, by była w moich

ramionach, bym mogła w każdej chwili wtulić nos w jej włoski i poczuć, jak cudownie pachnie.

Moje obycie z małymi dziećmi znajdowało się na minimalnym poziomie. Bałam się, że nie będę umiała przebrać mojej córki, zmienić jej pieluszki, odpowiednio i bezpiecznie chwycić, nie wspominając o kąpaniu. A jednak już pierwsze chwile z nią pokazały, że siła instynktu macierzyńskiego potrafi zdziałać cuda. Działalam tak, jak czułam, i poszczególne czynności chyba całkiem dobrze mi wychodziły. Podobnie z karmieniem piersią. Początkowo kilka razy nie udało się Tosi pochwycić brodawki, ale już po chwili złapałyśmy rytm i było tylko lepiej.

– Jak się czujesz, moja droga? – Do sali, w której leżałam sama, a obok stały jeszcze dwa puste łóżka, weszła położna, którą widziałam po raz pierwszy.

– Wszystko dobrze, dziękuję – odpowiedziałam spokojnie i uśmiechnęłam się pod nosem, bo moje maleństwo właśnie ziewnęło i ten widok całkowicie roztopił moje serce.

Zostałam mamą. Zaczęła się najważniejsza rola w moim życiu.

Nadeszła chwila, która zmieniła mnie na zawsze.

– Zmęczona?

– Tak, ale w ogóle tego nie czuję.

– Trzymają cię emocje, ale lada moment w końcu opadniesz z sił.

Musisz się zregenerować, by mieć siłę do opieki nad tą małą księżniczką – powiedziała z uśmiechem i podeszła bliżej, patrząc na twarz mojej córeczki. – Jak ma na imię?

– Antonina.

– Pięknie. Spróbuj zasnąć, dopóki malutka śpi, a później przyniosę ci kanapki na wzmocnienie. Wiesz, która godzina?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Dochodzi trzecia w nocy. Czas po porodzie płynie inaczej.

Byłam w szoku. Rzeczywiście straciłam poczucie upływających godzin. Pamiętałam, że gdy urodziłam, tuż po tym, jak zabrano

Tosię, wezwano do mnie anestezjologa, który podał mi narkozę, aby lekarz mógł usunąć niewydalone łożysko, obudziłam się dwadzieścia minut później, gdy było już po wszystkim. Następne chwile pamiętałam jak przez mgłę, pierwszy wyraźny moment to dopiero ten, gdy pielęgniarki z oddziału noworodkowego przyniosły mi moją córeczkę.

Wtedy wszystko inne przestało mieć znaczenie.

Poszłam za radą pani położonej, odłożyłam Tosię do łóżeczka.

Zasnęłam, wpatrzona w jej cudowną, słodką buzię.

Choć najbliższe tygodnie i miesiące pozostawały dla nas jeszcze wielką niewiadomą, to jednego byłam pewna już teraz. Nie ma większej miłości niż ta, którą matka obdarza swoje dziecko. Od pierwszego wejrzenia.

Epilog. Zośka

3 miesiące później

Moja codzienność zmieniała się o sto osiemdziesiąt stopni. Żyłam dla Tosi, oddychałam dla niej, płakałam już niezliczoną ilość razy, gdy dopadały mnie myśli, że wszystko robię nie tak jak trzeba, i uważałam, że przyjęcie czyjejś pomocy, a zwłaszcza poproszenie o nią, będzie wyrazem tego, że jestem najgorszą matką na świecie.

Dlatego wszystko chciałam ogarnąć sama. Nocne wstawanie, dbanie o dom, adaptacja Prymulki do nowej rzeczywistości, pranie malutkich ubranek, kąpiele, wyparzanie butelek. Do tego musiałam pamiętać, by sama od czasu do czasu coś zjeść.

Poddałam się po tym, jak przez trzy wieczory Tosia płakała bez opamiętania, bo męczyły ją kolki. Okazało się, że konieczna jest zmiana mleka. Mojego było zbyt mało, a to modyfikowane zaczęło jej szkodzić. W ciągu trzech miesięcy przeszliśmy cztery zmiany pokarmu, aż stanęło na mleku hipoalergicznym dla najwrażliwszych dzieci. Dopiero wtedy wszelkie problemy – wysypki, kolki, odparzenia przy pupie i problemy z niemowlęcą kupą – skończyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

W całym tym szaleństwie cierpliwie towarzyszył mi Kuba. To on nosił Tosię, gdy płakała. Mył butelki po nocnych karmieniach. Tulił ją, całował po główce, śpiewał kołysanki... Patrzyłam na to z boku i niemal nie dowierzałam w piękno tego obrazka. Czułam, jak serce rośnie mi od nadmiaru miłości. Do mojego dziecka i tego wspianego mężczyzny.

Docieraliśmy się z każdym dniem. On rozumiał moje granice, nigdy ich nie przekraczał, a ja sama dawałam znak, gdy potrzebowałam bliskości. Wtedy mnie przytulał, skradał pocałunki i... był. Całym sobą, tak jak tylko on potrafił.

Choć z formalnego punktu widzenia byłam samotną matką, to wcale się tak nie czułam. Radek dopiero po dwóch tygodniach od narodzin Tosi dowiedział się o tym fakcie. Nie wykazał zainteresowania, by ją zobaczyć, odwiedzić, dać od siebie cokolwiek, jak na biologicznego ojca przystało.

Gdy skończył się wreszcie mój połów, zebrałam się w sobie, zostawiłam córkę pod opieką Wery i pojechałam do mieszkania mojego byłego partnera na ostatnią rozmowę. Chciałam zachować się wobec niego fair, nawet jeśli on nie zachował się tak wobec nas.

Na miejscu zastałam człowieka zniszczonego psychicznie i fizycznie.

Znów był pijany, na szczęście nie na tyle, by nie kontaktować.

– Zajmę ci tylko chwilę. Chcę prosić cię, byś dobrowolnie zrezygnował z praw rodzicielskich do mojej córki. Ona i tak nic dla ciebie nie znaczy.

– Wypowiedzenie tych słów bolało, ale oboje wiedzieliśmy, że właśnie takie są fakty.

Radek przez bardzo długi czas zachowywał się, jakby mnie nie usłyszał. Już myślałam, że niczego nie uda mi się z nim załatwić i odejdę z kwitkiem, gdy w końcu odpowiedział. I przy okazji mocno mnie zaskoczył. Zgodził się zrezygnować z wszelkich praw do dziecka.

Powiedział, że nie będzie robił mi problemów, bo za kilkanaście dni wyjeżdża do innego miasta, by zacząć od nowa i zostawić za sobą to, co ciągnęło go na dno. Zabrzmiął na tyle szczerze, że postanowiłam po raz ostatni mu uwierzyć. Jak się później okazało, dotrzymał

danego słowa i zniknął, a ja podziękowałam mu za tę ostatnią przysługę. Chociaż za to mogłam mu być wdzięczna – po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Wyglądało więc na to, że zaczynałyśmy z Tosią nowy rozdział w naszym wspólnym życiu. Była tylko moja. Kochałam ją za siebie i Radka. Nawet nie wiedział, co stracił na własne życzenie.

A Kuba... on dokładał jeszcze swój własny ocean miłości dla tej malutkiej istotki. Poświęcał jej swoją uwagę, troszczył się, dbał.

Zabierał na spacer, gdy ja tonęłam w brudnym praniu, a w lodówce miałam tylko światło. Często zanim zabrałam się za ogarnianie życia, stałam przez kilka minut w oknie i patrzyłam na tego mężczyznę jeżdżącego po brukowanej ścieżce podwórza z wózkiem w kolorze butelkowej zieleni, który kupiłam tuż przed porodem, gdy wreszcie miałam odłożoną całą kwotę.

Po wszystkich sztormach, które uderzały we mnie raz za razem przed narodzinami córki, wreszcie nastąpił etap spokojnego, dobrego życia.

Macierzyństwo, choć niełatwe, stało się dopełnieniem mojej osoby.

Wreszcie czułam, że jestem kompletna, mając przy sobie to największe szczęście, jakie może spotkać kobietę, która pragnie dziecka.

Bałam się wierzyć, że wreszcie wyszło dla mnie słońce, lecz Kuba dbał, by mój nabyty przez trudne doświadczenia pesymizm nie zdominował codziennych radości oraz małych i wielkich cudów.

Jednym z tych wielkich cudów było chociażby to, że pani Stasia, choć nieuleczalnie chora, nadal cieszyła się życiem i zapewniała nas, że póki co nie wybiera się na tamten świat. Zaskoczyła rodzinę, lekarzy, mnie i Kubę, ale chyba najbardziej samą siebie. Dużo odpoczywała, dobrze się odżywiała i nie przemęczała pracą – dzięki temu jej ogólny stan uległ znaczącej poprawie. Uwielbiała, gdy odwiedzałyśmy ją z Tosią. Wtedy na twarzy tej przemiłej staruszki wykwiatał szeroki uśmiech, który wciąż miał niesamowitą moc oddziaływania także na mnie.

Grono moich najbliższych było niewielkie, ale każda z tych osób wносиła do mojego życia coś pięknego i ważnego. Kochałam tych

ludzi, choć nie zapominałam o rodzinie, którą straciłam. Chodziłam na cmentarz regularnie, zabierałam ze sobą Tosię i w dalszym ciągu godziłam się z tym, że Sebastian, mama, tata i babunia nigdy nie poznają tego małego-wielkiego szczęścia.

Zdążyliśmy z Kubą poukładać sobie w głowie to, co zaszło między nami a Martyną. To ona zajęła się odwoływaniem rezerwacji związanych ze ślubem. Później dała tylko znać, że wszystko załatwione, i więcej się nie kontaktowała. Jak do tej pory żadne z nas jej nie spotkało.

Zaczęła żyć po swojemu.

Zupełnie jak my.

– Straciłem dla niej głowę – powiedział pewnego razu Kuba, gdy staliśmy razem przy łóżeczku Tosi i obserwowaliśmy, jak śpi. – Jest najwspanialsza na świecie.

– To prawda – odpowiedziałam głosem wypełnionym miłością. –

Nie sposób jej nie kochać.

– Ciebie też, Zośka – wyszeptał tuż przy moim uchu i objął mnie ramieniem.

Spojrzeliliśmy na siebie w milczącym porozumieniu. Oboje wiedzieliśmy, jakie wyznanie właśnie padło.

Odważyłam się, by dodać swoje.

– I ciebie, Kuba. Nie sposób cię nie kochać.

Pocałunek, który nastąpił sekundę później, był przypieczętowaniem nowego wspólnego początku we troje.

KONIEC

Od autorki

Oto powieść napisana prosto z serca. Zawiera trochę moich wspomnień i emocji z okresu pierwszej ciąży. Choć Zośka opowiedziała Wam swoją własną historię, to jednak mimo wszystko sporo nas łączy. Jak chociażby to, że podobnie jak ona, i ja dowiedziałam się o tym, że zostanę mamą, dokładnie w czwartą miesięcznicę śmierci bliskiej mi osoby – mojego dziadka. Ja, podobnie jak moja bohaterka, również dopatryłam się w tym wydarzeniu znaków, bo bardzo wierzę w ich istnienie, i uważam, że dziadek Heniu jest aniołem stróżem mojej Córeczki. Cięża w obliczu żałoby wywołuje mnóstwo ambiwalentnych uczuć. Mam nadzieję, że dobrze udało mi się je przekazać na kartach tej powieści.

Zdradzę Wam również, że piszę te słowa, będąc w ostatnich tygodniach mojej drugiej ciąży i oczekując momentu, gdy na świecie pojawi się nasza druga Córeczka. Dlatego ta opowieść jest dla mnie tak wyjątkowa. Powstawała w szczególnym i nie zawsze łatwym dla mnie czasie. Uważam, że każda kobieta znajdzie w niej coś dla siebie. Jest smutna, ale przynosi też nadzieję, a to właśnie nadzieja dodaje skrzydeł, gdy czujemy, że na głowę wali nam się cały świat.

Chciałabym podziękować przede wszystkim moim Córeczkom – tej starszej, bo pozwoliła mi stworzyć tę historię do ostatniej kropki, dzięki czemu wyrobiłam się w terminie! Młodszej, która wysłuchała moich prośb i nie wybrała się na świat przed bezpiecznym terminem.

Jesteście sensem mojego życia, a tego, jak bardzo Was kocham, nie da się opisać żadnymi słowami.

Dziękuję też mojemu Mężowi, który okazywał mi wsparcie i słuchał moich wyczerpujących monologów o tej powieści. Ty jeden wiesz, jak mi zależało, żeby zdążyć i oddać Zośkę w ręce Czytelników!

Bardzo Cię kocham i niezmiennie uwielbiam kroczyć z Tobą przez nasze (nie)idealne życie.

Nie mogę zapomnieć o mojej cudownej redaktor prowadzącej Zuzannie Sołtysiak, która ma do mnie niespożyte pokłady cierpliwości i potrafi stanąć na głowie, byleby tylko pomóc mi z deadline'ami. Mamy tę Zośkę! Udało nam się!

Dziękuję również Oli Wróblewskiej, która z czułością i ogromną pomysłowością podchodzi do tworzenia planu marketingowego każdej mojej powieści. Współpraca z Tobą to ogromna przyjemność!

Podziękowania należą się także Wam, moi drodzy Czytelnicy. Cieszę się, że mogę dla Was pisać, że czekacie na kolejne książki i zawsze otrzymuję ogrom dobrych słów z Waszej strony. Doceniam to każdego dnia!

Posłuchaj przy lekturze Nie ma większej miłości: You are my sunshine – Christina Perri

Bez końca – Lanberry

Before You Go – Lewis Capaldi

Spis treści

* * *

1. Zośka
 2. Zośka
 3. Kuba
 4. Zośka
 5. Kuba
 6. Zośka
 7. Kuba
 8. Zośka
 9. Kuba
 10. Zośka
 11. Kuba
 12. Zośka
 13. Kuba
 14. Zośka
 15. Kuba
 16. Zośka
 17. Kuba
 18. Zośka
 19. Kuba
 20. Zośka
 21. Kuba
 22. Zośka
 23. Kuba
 24. Zośka
- Epilog. Zośka
Od autorki